NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM I NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 9

STANISŁAW BALIŃSKI

KAROL ESTREICHER

JANINA KONARSKA

JULJAN TUWIM

KSAWERY PRUSZYŃSKI

ŁUCJAN ŁAGNIEWSKI

MARJAN PIOTROWSKI

HENRYK GOTLIB

TADEUSZ KOPER

EDWARD RACZYŃSKI

BOLESŁAW ZUBRZYCKI

SIR STAFFORD CRIPPS

DOROTA FALSKA

LONDYN
GRUDZIEŃ
1942

Published by
NOWA POLSKA
91, Great Titchfield Street,
London, W.1
Phone: MUSeum 2077-8-9

Przedstawicielstwo
na U.S.A.
"POLAND FIGHTS"
Polish Labour Group
55 West 42nd Street
New York City

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM I NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 9

LONDYN GRUDZIEŃ 1942



OD REDAKCJI

Gdy pierwsza gwiazda zabłyśnie na niebie londyńskim, zbierzemy się, aby wspominać dawne wigilijne wieczory, aby składać sobie życzenia świąteczne, życzenia rychłego zwycięstwa i rychłego do Kraju powrotu.

Pomyślmy wtedy o tym, że zwycięstwo oręża to ledwie początek nowej walki o świata przebudowę. I pomyślmy o tym, że nie ma powrotów.

Nie ma już miast, któreśmy opuścili, bo tam gdzie jedne mury runęły, stanęły mury nowe. Dzielić nas będą i te mury zburzone miast naszych i te inne, które podźwignięto. Nie ma powrotów, bo nie w miłą sercu przeszłość nam patrzeć—ale w surowe i trudne jutro. Módlmy się więc aby dzień zwycięstwa wydobył ze znużonych serc naszych nową wiarę i siłę, która nam będzie potrzebna do budowania Polski nowej, Polski złączonej braterstwem z ludami całego świata. Módlmy się, aby ta gwiazda wigilijna była zwiastunem przemian radosnych i straszliwych, które wstrząsnęły światem, kiedy nauczać począł Ten, który obrócił się od możnych i dłoń wyciągnął ku poniżonym i skrzywdzonym. Módlmy się, aby nam danem było dożyć nowej wiosny ludów, owej chwili rzadkiej w dziejach, gdy w blasku objawionej prawdy ginie małość i nienawiść, gdy niebo i ziemia drży od gromów a serca ludzkie przenika dreszcz nowej wiary i nowej nadziei.

STANISŁAW BALIŃSKI

NIEBO SZEKSPIRA

Poemat

„*By night an atheist half believes a God.*“—Edward Young.

1

Kiedy Sen Nocy Letniej w bezbłędnym ogrodzie
Zakańcza się pogodnie akordem anielskim
I na otwartej scenie, gdzie światło lśni blade,
Oberon wypowiada ostatnią tyradę
I kłania się widowni z umiarem angielskim,
— Nie wychodź z Regents Parku, zaszyj się w ogrodzie,
Gdzie pachną cierpkie róże i rosy drżą dreszcze :
Przedstawienie skończone, ale noc trwa jeszcze
I gwiazdy błyszczą dalej w lipcowej urodzie.

Oprzyj głowę o drzewo i patrz, jak noc żywa
Rozwija się nad tobą i fantazję wzywa,
I jak tknięty czarami ów ogród panieński,
Gdzie ucichł wiatr, a w ciszy zadźwięczała lira,
Zamienia się powoli w złoty gaj ateński,
Nad którym wschodzi niebo tajemne Szekspira.

2

W takie to noce jasne, w takie noce bez dna,
Unosi się ku gwiazdom wieczny cień człowieka
I szuka przeznaczenia, gdzie alfa lśni gwiezdna,
I patrzy w głębię świata, rzekłbyś, wróżby czeka.

Ku nim to groźny Makbet chmurne zwraca lica,
Budując sen ku gwiazdom wytrwały i cichy,
I obnaża w tem świetle wieczną tajemnicę
Najsmutniejszej rozpaczy — tajemnicę pychy.

Ku nim Shylock tragiczny drżące wznosi pięście,
Przeklinając ból życia i bezkarność krzywdy,
I wielkim głosem woła o to jedno szczęście,
Którego sen o szczęściu nie zastąpi nigdy.

Pod ich arkadą złotą nad czerwienią trumny
Dotąd przemawia jeszcze, wsparty o kolumny,
Młody Marek Antoniusz do Rzymian gromady,
I odkrywa raz jeszcze, namiętny i blady,
To jedno, co ma w życiu sens ludzki i ważny :
Odwagę sprawiedliwych i przyjaźń odważnych.
A gwiazdy, kiedy mówi, krwawią się posępnie,
Jak sztylet, wbity w serce Cezara podstępnie.

Cały korowód cieni wznosi się ku górze,
Niby las ludzkich ramion w górę wyciągniętych :
Kochanków zaplątanych w nienawiść, jak w róże,
Wodzów zbyt niecierpliwych i zbyt wiotkich świętych,
Zdradzonych dobroczyńców i zwycięskich katów,
Co szukają trwałości wśród nietrwałych światów.

3

O nocy, ileż razy wołano do ciebie,
Porównując do maski i lutni na niebie.
Byłaś promem i arką, koroną i tiarą,
Wieżą z kości księżyca i Orfea czarą,
Trampoliną Odyssa i eolskiem kwieciem. . . .
A do gwiazd dobierano najpiękniejszych w świecie
Określeń i porównań, jakby tą przeróżną
Mową chciano je zdobyć dla siebie, — przyciągnąć,
Jak miłość tajemniczą na zawsze osiągnąć
I na zawsze ujarzmić . . . I zawsze na próżno.

On jeden w twarz im spojrzał w niedbałem skupieniu
I nie szukając imion — nazwał po imieniu.

On jeden zajrzał w sekret naszych serc tajemnych,
Jak gwiazdy goręjących i jak otchłań ciemnych,
Tak samo pulsujących, tak samo realnych,
Tak samo osiąganych . . . choć nieosiągalnych.

On jeden nazwał miłość, nienawiść i zdradę,
On jeden przyjaźń — nazwał — samotność i pychę,
On jeden namiętności pokazał paradę,
Jak astrolog, co gwiazdy pokazuje ciche
Gwiazd przenaczonych ludziom, gdy będą umierać
I z pośród wszystkich blasków — jeden blask wybierać.

4

I nic się nie zmieniło od tragedii czasów,
Gdy zbliżała się północ i koguty piały, —
Choć akcesoria inne : schrony zamiast lasów,
Bombowiec zamiast łuku, pocisk zamiast strzały,
To samo się powtarza co tam, co na scenie,
Gdy iskra namiętności sięgała zenitu
I aktor zdzierał z siebie tiule i półcienie,
By odkryć twarz człowieka, jak gwiazdę u szczytu.

W tej godzinie historii, wśród zdarzeń tragicznych,
Niema uczuć pośrednich, ani połowicznych.
Jak aktorzy tragedii — z wolą czy bez woli —
Musimy poznać wszystko, co najmocniej boli.
Musimy poznać podłość, czystą, absolutną,
Musimy przejść przez kłamstwo, jak przez rzekę smutną,
Przez zawiść bez litości, rozpacz bez uśmiechu,
Przez nieczystość sumienia i przez czystość grzechu. . . .

A gdy materia bólu się wreszcie wyczerpie,
Musimy ją ujarzmić — i wtedy zobaczyć
Mądrość, tę najtrudniejszą, co kazała cierpieć,
A teraz każe westchnąć z żalu — i przebaczyć,
Na kształt świtu letniego, który oczy złoci
Rumieńcem przebudzenia, jak łaską dobroci.

5

Już świta. Noc opada ciężko, jak kurtyna,
Zakrywając powoli sens tych wszystkich znaczeń,
Które dajemy życiu wśród nocy majaczeń,
Póki dzień się nie zacznie. Właśnie się zaczyna.

Stróż nocy wszystkie bramy otwiera ogrodu,
Przez które wpływa fala zielonego chłodu,
Mieszając w porankowych obręczach błękitu
Ostatnie wiersze nocy i pierwszy wiersz świtu.

Wsparci jeszcze o drzewo, co wiatrem westchnęło,
Pątrzymy zadumani w to, — co przeminęło
Zostawiając po sobie fijołkową mglistość,
Co wiruje w powietrzu, plącząc rzeczywistość,
Aż rozdarte na dwoje w pierwszym słońca blasku
Upada — z gwiazd strącone — i zamiera w piasku.



KAROL ESTREICHER

WŁADZA I URZĄD

„Różnie ludzie poznają po raz pierwszy władze i urzędy, a w zależności od warunków w jakich to poznanie nastąpi wynoszą na całe życie wrażenie ujemne lub dodatnie. Często nie zdajemy sobie sprawy, że człowiek buntowniczy zawdzięcza swe usposobienie jakiemuś wspomnieniu z czasów młodości. Tymi względami kierując się Sokrates“. . . .

Zamyśliłem się nad słowami starego profesora greki, który objaśniwszy tekst Platońskiej „Obrony Sokratesa“, takie oto przed nami rozsnuwal uwagi. Zamyśliłem się i spojrzałem przez okno, gdzie w ogrodach błyszczały kwiaty malowane słońcem. Wisiało nad dachami domów czyste niebo, w dali kopiec Kościuszki przyciągał wzrok, Sikornik wabił zielenią, szkola nudziła śmiertelnie.

Profesor Jan Pawlikowski swą polszczyzną trącącą okresami Liviusza, wygłaszał często takie poglądy „które — zwykł był mówić — ocenicie kiedyś, gdy umysł wasz dojrzeje a charakter się wykształci i gdy sprawami publicznymi zajęci, sięgniecie do tych zasobów wiedzy, jakie szkoła wam dała“.

Zamyśliłem się, by przypomnieć sobie w jakich to okolicznościach poznałem po raz pierwszy urzędy i co mi też z tego na cale życie przyjdzie. Czy będę Katyliną, jak mnie niedawno przezwała Krzysia za to, że Irkę Nitschównę przestraszyłem zza portiery, czy może Alcybiadesem, który bogom nosy poutrącał, bo z lubością przed dwoma laty strzelałem z procy do popiersi sławnych Polaków w Parku Jordana. Raz władza domowa wkroczyła w moje postępowanie, a drugi raz uciekać musiałem przed parkowym dozorcą. A może będę sławnym footbalistą jak Kałuża i będę grał „na centrze“ Cracovii, bo Felek Gross, kapitan naszej drużyny klasowej, wykluczył mnie na tydzień za ostrą grę, choć wie dobrze, że taki już mam zryw do piłki. Felek także władza . . .

Niedawno mieliśmy z Felkiem przygodę, która i mnie i jemu nie wróży nic dobrego w myśl tego co mówi Pawlikowski. Głupia historia i wstyd

mi z jej powodu. Poszliśmy na Błonia za szkołę patrzeć się jak się gimnastykują panny z gimnazjum żeńskiego i ułożyliśmy plan, żeby zakraść się do szatni i wszystkim wyciągnąć sznurowadła z bucików.

Po drodze zmieniliśmy plan. Felek przewodził jak zwykle, ale pomysł był mój. Dojrzałem z daleka że przez Błonia jedzie wolno hycel z budą. Poddałem myśl, a Felek zakomenderował :

— Leć przodem i patrz czy hycel widzi. Daj znak ręką, że można.

— Byczo ! Spotkamy się pod altaną w Parku Jordana.

Kiedy wedle umowy dałem znak ręką, Felek jako wyższy, czepił się z tyłu budy i podniósł skobel u drzwi. Odskoczył zgrabnie a potem rozbiegliśmy się w dwie przeciwne strony, jak to zawsze czynił Rinaldo Rinaldini z towarzyszami. Woźnica na koźle drzemał.

Uciekałem w bok chcąc dopaść krzaków w Oleandrach. Po chwili usłyszałem radosne szczekanie i obejrzawszy się ujrzałem jak psy wyskakiwały z budy na wszystkie strony.

Nagle doszły mnie straszliwe przekleństwa oprawcy i szybko spostrzegłem grożące niebezpieczeństwo. Rozwścieczony zamknięciem i głodem sadził ku mnie duży brytan szczerząc zęby i wystawiwszy ozór. Krwią nabiegłe miał ślepia i pianę na pysku. Wziąłem nogi za pas. Ale pies był coraz bliżej, czułem że spodnie mi szarpie, że wyrwał ich cały kawał. Strach zwiększył niebezpieczeństwo, gnałem co sił, daremnie szukając schronienia. Raz i drugi uskoczywszy w bok uniknąłem kłów brytana, lecz wątpię czy udałoby mi się raz trzeci, gdyby nie nagła a niespodziewana pomoc. Oto śmignęła koło mnie linka niczym lasso indiańskie i osadziła psa w miejscu. Równocześnie ktoś złapał mnie za ramię. Odwróciłem się i ku zdumieniu zobaczyłem, że jest to rakarz, którego znałem. Nazywał się Wyzimucha.

— Tyś żaku budę otworzył ? — pytał mój wróg a zarazem wybawiciel groźnie zdyszany.

Mieliśmy stałą umowę z Felkiem, że w razie przyłapania jednego z nas na gorącym uczynku, winę będzie się zwalało na drugiego.

— Nie panie hycel — bąkałem — to tamten chłopak, którego nie znam.

— Z której szkoły jesteś ? — wrzasnął — ładnie się studenci bawią ! Jak się nazywasz ?

— Od Świętego Jacka — łgałem, bo byłem z gimnazjum Sobieskiego i powiedziałem jakieś zmyślone nazwisko.

Puścił mnie.

— Dam znać panu dyrektorowi.

Ale czułem, że nie da znać, bo nie dawał nigdy. Zdarzały mu się wypadki otwarcia budy i między nim a sprawcami psich uwolnień stała jakby niepisana umowa, polegająca na tym, że jeśli udało się drzwi otworzyć, rakarz uważał się za zwyciężonego. Dogonił mnie, bo chciał schwytać brytana. Powiedział to zresztą wyraźnie, z filozoficznym akcentem w głosie :

— Widzisz coście narobili, ja cię od psiej wdzięczności zratowałem. I co ze spodniami będzie ? Tyłek ci poszarpał ?

Przygoda skończyła się szczęśliwie. Nie dowiedział się o niej nikt z wyjątkiem matki, której musiałem ją opowiedzieć i naturalnie z wyjątkiem profesora Kota, który zawsze wiedział o mnie wszystko, mimo że uczył w innym gimnazjum. Ale byłem pewny, że on mnie przed ojcem nie zdradzi.

Nie, nie . . . — to nie było moje pierwsze spotkanie z władzą. Nie miałem dotąd nic do czynienia z policją, bo żeśmy z Antkiem Filipkiewiczem wybili szybę u starego Szragera, to była zemsta plemienia Siuxów, o której nikt się nie dowiedział. Po co mówił o nas, że jesteśmy rozpuszczeni jak „dziadowskie bicze" i nawet tak napisał do dyrektora.

Awantura z hyclem nie była także pierwszym poznaniem się z jego

zawodem. Znałem owego oprawcę, bo poznałem go przed laty, o czym on oczywiście nie pamiętał.

Ale ma rację Pawlikowski. Na całe życie zostaje u człowieka niechęć do władz, jeśli pozna je z niedobrej strony. Tak właśnie jest ze mną i bynajmniej nie z mojej winy, ale mamy.

Tak mamy . . .

Byłem wtedy bardzo mały, jeszcze nie chodziłem do szkoły i lubiłem się bawić lalkami sióstr o ile tego nie widziały, bo śmiały się ze mnie. Pamiętam, że w całym domu tego rana pachniały konfitury, bo matka smażyła truskawki i nawet dała mi łyżkę słodkiego syropu.

Konfitury ! konfitury ! Wspomnij czytelniku te pyszne konfitury przez nasze matki smażone. Czemuż to zapomnieliście o konfiturach i ty Antoni i ty Julianie gdyście swoje pisali poematy, w których gastronomii polskiej tak czułe poświęcaliście ustępy ? O, dwaj mistrzowie polskiej liry ! Należało i konfiturom poświęcić co najmniej takie słowa jak te, za których pomocą odmalowaliście Jordaensa godny obraz martwej natury polskiego bufetu : różowi się u was i szynka i pachnie kiełbas dwanaście gatunków, ugarnirowanych zielenią szczawiu ; kontrastuje wieprzowinka biała z czernią kawioru, a światło odbija się w lodowej wódce, którą srebrny śledzik podgląda ; jest zółty majonez i barszczu amarant, ceglastość papryki i bronzy wszystkich sosów — a niema szklistości konfitur. Przecie słodycz życia i delikatność smaku, matczyną łaskawość i przychylność, poznaliście na pewno przez konfitury.

Zatem nędzne pióro moje w ręce trzymając, błąd wasz naprawić pośpieszam. Nie mową wiązaną, bom nie poeta, nie barw doborem, bo malować nie umiem, lecz posługując się pamięcią dzieciństwa Was o Konfitury przyzywam ! Nagrodo, którą jakże rzadko otrzymywałem za dobre stopnie, lekarstwo na bolesne guzy, a także pierwsza pokusa, by naruszyć siódme przykazanie. Przedziwna spiżarni amunicjo ładowana w baterie słoików, którymi matka moja osobiście dowodziła, trafiając z nich wedle planu swojej strategii serdecznej.

W czerwcu przez tydzień trwała kampania truskawkowa. Brońcia Żołdaniowa, która wyszła od nas za mąż za ogrodnika na Czarnej Wsi (pochodzenia włoskiego jak ojciec mówił, opowiedziawszy o królowej Bonie i jej zasługach dla ogrodnictwa polskiego) znosiła do kuchni truskawki w ilościach hurtownych, ale po cenach detalicznych. Twierdziła zawsze, że truskawki nie obrodziły, bo albo wypaliła je susza, albo deszcze je zmyły i stąd cena ich musi być wyższa. Brońcia zrobiła się gruba i wyniosła, chodziła w płaszczu i w kapeluszu, mówiła do mnie „paniczu“ i wcale nie była już tak wesoła jak dawniej. Zastąpiła ją u nas Magdusia a nadto przybyła Walentyna kucharka, ponieważ myśmy podrośli i jak Ewa mówiła trzeba było więcej gotować. Walentyna nie lubiła Brońci, nazywała ją przekupką, co o tyle było prawdą, że Brońcia jeździła z jarzynami na Plac Szczepański.

Pełno truskawek było wtedy w kuchni. Czerwieniły się ich kopce w kilku cebrzykach pod stołem i w dużym koszyku, zazwyczaj używanym na ziemniaki, lecz teraz z powodu braku naczynia wsypano weń truskawki. Obrane składano we formy do bab wielkanocnych i na głębokie talerze od zupy. Matka kropiła je spirytusem, a butelkę z tym ostrym płynem zamykała pod klucz bo twierdziła, że przy Walentynie niezamknięty spirytus wietrzeje.

Do trzech wielkich rondlów miedzianych na kuchni rzucano truskawki, które bulgotały tak długo, póki syrop ich nie gęstniał na łyżce. Matka cały dzień nie wychodziła z domu, mieszała ciągle truskawki i kosztowała je, czego jej zazdrościłem.

— Jeszcze trzeba dodać cukru tym wczorajszym, Walentyno i jeszcze trzeba je dosmażyć, bo są twarde, a tu proszę szum zdjąć i odcedzić. Niech

panna Salcia rzuci szycie i te ostudzone przeleje do słoików, tylko szkło trzeba przedtem wyparzyć. Zawiążę papierem pergaminowym sama, etykiety z datą napiszę.

Tak w ciągu paru dni czerwcowych gotowano truskawki, a po nich przychodziła kolej na sok ostrężynowy. Ostrężyną nazywa się bowiem po krakowsku owoc do maliny podobny, a nie jeżyną ani nawet ożyną, choć tak sam Mickiewicz napisał. Sok ostrężynowy o smaku i zapachu leśnej jagody karpackiej dziećmi pijaliśmy cały rok jako dodatek do herbaty lub leguminy, a był on specjalnością mojej matki, której tajemnicę obiecała przekazać córkom.

Gdy w wiele lat później szła Krzysia za mąż — w co jakoś nigdy nie mogłem uwierzyć że nastąpi — odbyła się lekcja wtajemniczenia mej siostry w fabrykację soku ostrężynowego, czego byłem przypadkowym słuchaczem. Wydzieliwszy wieczór wyprawę, wśród której dostał się Krzysi obrus po prababce na czterdzieści osiem osób wraz z ogromnymi serwetami tak, że zajmował osobny kosz, matka powiedziała :

— A teraz zapamiętaj jeszcze przepis na sok ostrężynowy, który mam od babci Longchamps. Przebrane ostrężyny zagrzej w szabaśniku z połową ilości cukru aż puszczą cały sok. Nie dolewaj wody broń Boże. Potem przetrzyj ostrężyny przez sito, oddziel pestki i zagotowany sok zlej szybko do flaszek, aby nie stracił aromatu. Korki sparz i zalakuj dokładnie. Z kolei flaszki z sokiem wygotuj raz jeszcze w baniaku z sianem. Pamiętaj nalepić etykiety z datą.

Zdradzam tajemnicę mej matki, ale sądzę, że ten niepublikowany przepis stanowi cenny przyczynek do wiedzy kulinarnej polskiej i że względy te uważać należy za ważniejsze od względów dyskrecji rodzinnej. Dla ścisłości i z doświadczenia dodam, że o ile w domu jest mały chłopiec, przetarte pestki należy natychmiast wyrzucić bo zjedzone wywołują bardzo niepożądane skutki.

Odsłaniając przepis soku ostrężynowego wiem, że czas już nastąpił kiedy uczynić to wolno a może i należy. Po wojnie obecnej obiecują nam przecie nasi socjalni ekonomiści tak rozumne kierowanie gospodarką narodową, że żywnościowy przemysł wysunie się na pierwsze miejsce w Polsce, aby każdemu były dostępne jego tanie a smakowite wyroby. Jakież zmiany to za sobą pociągnie ! Wyzwolenie kobiety z trudów gospodarstwa domowego głoszą zagorzali zwolennicy planowego dobrobytu przyszłości. Widzę w myśl haseł społecznych i gospodarczych naszego stulecia, wielkie — państwowe oczywiście — przetwórnie na Podkarpaciu, które z jagód leśnych produkują beczki konfitur oraz butle soków. Zawitaminowane odpowiednio, higienicznie przyrządzone, hermetycznie zamknięte, o standardyzowanym smaku pływają w puszkach konfitury. Nie ma więcej słoików i niepraktycznego wiązania ich papierem pergaminowym. Nikt nie czyni zapasów, bo znakomity system socjalny przez wydzielnie, spółdzielnie i rozdzielnie dostarcza do domu wszystko to, co dawniej dom wytwarzał. Gospodyni czy pani domu, służąca czy pomocnica domowa, wyzwolona z trudów kuchni i spiżarni umie jedynie rozcinać puszki. Będzie wolna, rzeczowa i samodzielna lecz pytam czy będzie szczęśliwsza? Zostanie jej odebrana sztuka, którą uprawiała.

Tak, sztuka ! Bo matka moja lubiła smażyć konfitury, choć twierdziła że to ciężka praca, którą koniecznie musi robić sama i choć cała zaróżowiona była od ognia kuchni. Czym rozumiał, że szczęśliwe dzieciństwo jest konfiturą życia, czym myślał kiedy kategorią tak ckliwego i sentymentalnego porównania ? To pewne, że wspomnienie należy się konfiturom, bo w sztuce ich smażenia kryła się chęć osłodzenia nam życia.

Matka narzekała że musi robić konfitury, ale wiem, że widoczną radość sprawiały jej pytania, na które znajomym, krewnym, czy przyjaciółkom odpowiadała nieodmiennie :

— Przepis mam ze Lwowa jeszcze, a nie pokrywa się on ani z przepisami Ćwierciakiewiczowej ani Monatowej. Nie zalewam nigdy owocu syropem i tylko przez wygotowanie na cukrze sok otrzymuję. Oczywiście, że jest to sposób kosztowniejszy, ale tylko wtedy nie traci się aromatu.

Ten aromat zanim zamknięto go w słoiki i w butelki, unosił się po całym domu w dniu, do którego wracam myślami. Krzysia i Ewa miały lekcję francuskiego, a ja siedziałem pod stołem gdzie mieściła się Smocza Jama i smoka reprezentowała poduszka z kanapy. Ojciec wyszedł przed chwilą na wykład, śpiesząc się bardzo, bo do Uniwersytetu było daleko, coś około 5 minut piechotą. Głos Matki zalatywał z kuchni, kiedy nagle u drzwi zadzwonił ostro dzwonek, tak jak pamiętam, zadzwonił tylko raz, gdy przyszedł telegram ze Lwowa, że wuj umarł. Poderwałem się pod stołem i głową uderzyłem o blat, ale namyśliłem się że lepiej nie beczeć, bo może w przedpokoju będzie coś ciekawszego. Zanim się wygramoliłem i zdążyłem dostać do klamki, w przedpokoju były Ewa i Krzysia i Magdusia otwierająca drzwi wejściowe. Mama nadchodziła.

We drzwiach stała Augustynowa, stróżka w kamienicy gdzie mieszkała babcia. Była zdyszana, zmęczona i przerażona. Włosy miała w nieładzie a chustka opadła jej na ramiona. Biegła widocznie przez ulice. Dyszała ciężko. Nie mogła z początku wypowiedzieć słowa.

— Na miłość Boską, Augustynowo, co się stało ? zawołała mama, i dojrzałem że Krzysia i Ewa już podejrzanie krzywią się i mrugają powiekami.

— Proszę młodszej Pani nieszczęście — głucho jęknęła Augustynowa — Dżimusia złapał hycel !

Zanim do dalszej przystąpię opowieści, wyjaśnić muszę kim był Dżimuś i jaką była jego rola w Krakowie. Czemu słów Augustynowej nie można było lekceważyć, ani przerażenia mamy, ani natychmiastowego płaczu moich sióstr. Mnie samemu zresztą nie wiele brakowało by ryknąć głośno, zwłaszcza, żem sobie przypomniał świeży guz na głowie.

Dziadek mój, pod koniec życia — pamiętają to starzy krakowianie i ci wszyscy, którzy w Bibliotece Jagiellońskiej kiedyś studiowali — miał małego charcika z dzwoneczkiem u szyi, biegającego z nim wszędzie. Stary dyrektor Biblioteki co rano przechodził jej sale, a przed nim sunął charcik dając znać studiującym i służbie, że zbliża się kierownik instytucji, który każdemu objaśnień udzieli, książki doradzi, a nawet sam przyniesie. Autor ,,Bibliografii Polskiej" był chodzącym katalogiem Jagiellońskiej książnicy, którą przez pół wieku kierował. Sam często dyżurując w lektorium baczył, aby każdy żądane dzieło otrzymał i wiedzy z niego zaczerpnął, w myśl dekretu erekcyjnego króla Kazimierza. Lubiał zwierzęta, które pomagały mu pisać tomy ksiąg bibliograficznych bo twierdził, że więcej od ludzi mają cierpliwości a mniej w sobie zawiści. Zanim Dzimuś biegał z nim, po salach latały wokół niego dwie małe i gadatliwe papugi, siadające mu na ramionach gdy pracował. Dżimusia darował ktoś dziadkowi na pociechę, gdy papugi spaliły się po wprowadzeniu gazowego oświetlenia w Bibliotece i mały charcik przywiązał się do dziadka, tak jak jego poprzedniczki. Nie opuszczał nigdy swego pana często noszony przez niego w ręku, lub siedział na biurku obok rosnących kartek rękopisu. Gdy wieczór dziadek szedł do teatru, a codziennie w nim bywał jako miłośnik i historyk sceny polskiej, Dżimuś biegł przodem i pierwszy zasiadał w loży. Znali głos jego dzwoneczka krakowianie, znali aktorzy i publiczność, a że był wesoły, lubiano go powszechnie. Stał się w ostatnich latach życia dziadka nieodłącznym jego towarzyszem, z którym go fotografowano, z którym uwieczniono go także na oficjalnym portrecie umieszczonym w Bibliotece Jagiellońskiej. Dżimuś przeżył swego pana. Zachował dziwny zwyczaj, że rano uciekał do Biblioteki i węszył po jej salach a wieczór leciał czasem pod teatr. Mieszkał u babki i był przedmiotem moich zabaw, dla których

był wyrozumiały i cierpliwy, czego ani babcia ani ciotki z nią mieszkające, nie chciały zrozumieć. Otaczało go powszechne przywiązanie naszej rodziny i przyjaciół, jakaś miłość muszę wyznać — długi czas niezrozumiała dla mnie. Znali go doprawdy wszyscy w Krakowie i jeszcze dziś zdarza się, że ktoś mówiąc o moim dziadku wspomni jego Dżimusia.



W tym stanie rzeczy, przerażenie Augustynowej i płacz moich sióstr i energia z jaką mama natychmiast wystąpiła, nie powinny się wydać nikomu ani nieuzasadnione, ani przesadne.

Augustynowa relacjonowała szczegóły niezmiernie ciekawe i ważne o tym, jak Dżimuś rano poleciał na Planty — ,,bo porządna to psina proszę młodszej pani" — a stamtąd do Biblioteki, jak nie wrócił, jak starsza pani zaczęła się niepokoić, jak Augustynowa pobiegła się dowiedzieć co się stało, jak służba w Bibliotece stwierdziła, że Dżimuś już wyszedł obwąchawszy ulubione kąty, jak chłopiec od piekarza widział hycla, który szybko porwał Dżimusia lewą ręką, bo w prawej trzymał pudelka, i jak oba psy wrzucił do budy, która stała za rogiem ulicy, po czym szybko odjechał.

— Może już i piesek nie żyje, bo to wiadomo jak sobie postępują te magistrackie pachołki z biednym zwierzęciem. Pewnie mu głowę ukręci i skórkę z niego ściągnie. Dla takiego to nic świętego nie ma.

Ale mama nie słuchała Augustynowej. Ściągnęła przez głowę fartuch, kazała Hani czym prędzej znaleźć torebkę, którą zawsze gdzieś gubiła, kazała sobie przynieść rękawiczki i kapelusz, Ewę i Krzysię zapędziła na lekcję, mnie porwała za rękę i szybko wyszliśmy z domu. Augustynowa pośpieszała zdyszana za nami.

Babcia mieszkała niedaleko. Kiedy wpadliśmy tam, siedziała w dużym fotelu koło okna i wydała mi się bardzo zmartwiona. Właśnie czytała ,,Czas", ubrana w ranny szlafrok, w czarnym czepeczku na

głowie, zawsze pełna dobroci i powagi. Mama zapewniła ją aby była spokojna, bo wszystko zrobi co trzeba i Dżimuś jeszcze przed obiadem będzie w domu.

— Nie gniewaj się moja Halko, że posłałam po ciebie, ale obie córki zajęte a ja sama nie mogę tego załatwić. Przed laty, gdy Kraków nie był taki ogromny i nie było tych nieznośnych porządków miejskich, tylko chore psy zabierał oprawca. Dziś są jakieś nowe przepisy, w których się nie wyznaję i wiem tylko, że Dżimuś miał opłaconą markę, którą nosił stale pod dzwoneczkiem. Bądź tak dobra wydobądź go szybko, bo jak Wanda i Marylka wrócą o pierwszej na obiad, zmartwią się ogromnie.

— Zaraz pojadę do Magistratu i zapytam co to wszystko znaczy, moja mamo. Użyję wszystkich dróg, by temu złośliwemu postępowaniu położyć koniec.

Mama chciała mnie zostawić u babci, ale przekonałem ją, że jej pomogę w walce o życie Dżimusia. Wobec tego zabrała mnie ze sobą i znowu znaleźliśmy się na ulicy. Przed domem czekał już fiakier sprowadzony przez Augustynową, oraz stał mały tłum złożony ze sklepiczarki, dwóch służących, pana Jaskulskiego emeryta, oraz dwojga dzieci. Oczywiście rozprawiali o Dżimusiu i udzielili mamie cennych objaśnień:

— To ten młody pachołek magistracki Wyzimucha, proszę pani profesorowej, co teraz z budą jeździ, taki złośliwy. On tu parę razy zaglądał, chociaż to nie jego rewir — Swój urząd na Wesołej ma i tam pewnie pieska zawlókł — mówili jedni przez drugich, kiedy matka pakowała mnie do powozu.

Jakże ważną rolę spełniały fiakry, wygodne i powolne, gdy aut nie było i tylko cztery wąskotorowe linie tramwajowe, techniczne postępy komunikacji skromnie reprezentowały w Krakowie. Dorożkarze znali obywateli miasta zawożąc ich wszędzie za opłatą paru szóstek, a w niedzielę na Błonia, Wolę i Bielany, kiedy krakowianin pragnął odetchnąć świeżym powietrzem. Od chwili urodzenia do chwili śmierci, z życiem prawdziwego krakowianina, związany był fiakier. Gdy pani Wolska jechała po naszej ulicy z wielką torbą, z której wystawały błyszczące obcęgi, mówiono że jeździ odbierać dziecko od bociana, potem za jakiś czas fiakier wiózł toż samo dzieciątko przybrane strojnie w towarzystwie rodziny na chrzest. Potem, gdy lata upłynęły, jechał ów krakowianin fiakrem do kościoła wioząc młodą oblubienicę, a po jakimś czasie fiakier odwoził go dyskretnie do domu i pomagał mu bramę otworzyć, gdy gość zmęczony bywał kolacją u Wencla lub Hawełki. Kiedy jechał na dworzec, życzył mu fiakier dobrej drogi, targował się o dodatkową opłatę za walizki, gdy jechał do sądu—żałował, gdy do lekarza—odradzał wizyty. Młodzieńcem będąc poznałem dyskrecję krakowskich fiakrów, którzy okazywali zrozumienie dla namiętności dwudziestu lat życia . . .

Ale prawdziwej życzliwości fiakrów krakowskich doznawał obywatel miasta w chwili swego pogrzebu. Gdy umarł po najdłuższym życiu, w ciągu którego dawał fiakrom zarobić, jechały wszystkie na jego pogrzeb i długim korowodem ciągnęły nieutulone w żalu. Konie szły wtedy ze spuszczonymi łbami, woźnice mieli miny pociągłe i smutne, jakie przybierali krakowianie z zasady w dniach pogrzebów i uroczystości narodowych. Za karawanem dr. Cetnarowskiego, przeszło tysiąc fiakrów tworzyło żałobny kondukt, bo nie tylko był to prezes „Cracovii", ale także ze względu na swą tuszę klient niezawodny. W rodzinach fiakierskich rzemiosło przekazywał ojciec synowi, a powozy czeskiego wyrobu, na angielskich jeździły częściach.

Stary Karpiel poprawił melonik, obrócił się na koźle i spokojnie zapytał:

— Do Magistratu pani profesorowo dobrodziejko — a potem za Angielski Ogród na Wesołą? Pieskowi nic nie będzie, proszę bez obawy.

Ale Augustynowa mówiła, że go hycel może sprawić — przerwałem

staremu przyjacielowi co z babcią jeździł na spacer i mnie brał często na kozioł, a nawet pozwalał trzymać lejce, którymi szarpiąc, na darmo starałem się poczciwą kobyłkę zmusić do galopu.

— Eh! ktoby tam Dżimusiowi zrobił krzywdę. Na pewno go do Bujwida nie odstawią.

— To do Bujwida oddają psy na zabicie?

— Tylko jak chore lub dziadowskie, rozwłóczone — rzucił Karpiel. Był on we wszystkich sprawach życiowych moją wyrocznią, a babcia lubiła go, bo opowiadał różne ciekawe historie. Był obywatelem „Półwsia Zwierzynieckiego", jak to w kilkanaście lat później wyczytałem na jego karcie pogrzebowej, a nadto właścicielem przedsiębiorstwa fiakierskiego złożonego z konia i powozu. Karpiel służył długo w wojsku, brał udział w wyprawie bośniackiej i z niej przyprowadził towarzyszkę wierną i zacną, nieco kulawą, która teraz wysługiwała się w dyszlu, spokojnie jeżdżąc co babce mej odpowiadało, ale mnie niecierpliwiło.

Jechaliśmy ulicą Szewską do Magistratu, do dziwnej instytucji, której zarysy widziałem w mej wyobraźni. Ciągnęła mnie do niej ciekawość połączona z dreszczem grozy. Magistrat musiał być ruiną, w której mieszkają potwory żądne krwi i dręczące ludzi? A może był to szpital wariatów? Wokół siebie słyszałem określenia, z których wyciągnąłem powyższe wnioski.

Raz pan Józef Muczkowski, który miał kamienicę na Karmelickiej powiedział „to dla mnie ruina zupełna, ten Magistrat", a mama, kiedy zapłaciła karę, bo nie zameldowała Magdusi, westchnęła iż „ma prawdziwą udrękę z Magistratem". Augustynowa tłumaczyła babci, że „pijawki magistrackie ludziom krew piją", ciocia Mania zaś oświadczyła że „w Wydziale Szkolnym Magistratu siedzi nie inspektor ale prawdziwy potwór". „To dom wariatów, taki tam bałagan" usłyszałem jak adwokat Szalaj krzyczał na ulicy z powodu Magistratu.

Ostatecznie moją ujemną opinię o Magistracie ustalił ojciec. Nasz krewny Pol, przyszedł do ojca i prosił go o protekcję na posadę. Słyszałem jak ojciec powiedział do mamy, iż „dał mu bilet polecający do Magistratu, bo taki niezaradny, że się do innej roboty nie nadaje".

O Magistracie mówiono zawsze źle i mówiono w związku ze wszystkim. Magistrat był winien drożyźnie, i winien był temu, że było ciasno w tramwaju i temu, że na Bielany było daleko i temu zdaje się także, że było ślisko na ulicy, że była powódź, bo deszcz padał. Jak u pani Mazarakowej naprzeciwko piał kogut przez trzy dni, to kucharka powiedziała, że z Magistratu kazali go zarżnąć, jak pani Dobrowolskiej tynk z Biblioteki spadł na głowę, to także był winien Magistrat.

— A tak, Magistrat, bo on powiniem był obtłuc stary tynk. Od czegóż jest magistracka straż pożarna? — słyszałem dyskusję, którą ciocia Grabowska prowadziła i widocznie ze skutkiem, skoro konserwator Tomkowicz napisał w „Czasie" artykuł w obronie starych tynków krakowskich, które niemiłosiernie obtłukują strażacy, chociaż posiadają one wartość zabytkową.

Ale już najgroźniejsi, przez wszystkie dzieci Krakowa i przeze mnie znienawidzeni, byli owi magistraccy urzędnicy zwani plantowymi, którzy snuli się po plantacjach z kijem zakończonym ostrym gwoździem. Zabierali oni piłki, które przeleciały na trawnik (tak wszyscy mówili), a Magdusia bardzo mnie przestraszyła bo wyznała mi, że niegrzecznych chłopców nabijają oni na kij. Gdy plantowy kroczył ścieżką koło pomnika Lilli Wenedy, pierzchały dzieci i trwożnie tuliły się do matek i nianiek. W serca nasze wstępowała trwoga i zamierała wszelka wesołość, by tym żywiej wybuchnąć, skoro już przeszedł plantowy. Na plantach wolno było, tylko grzecznie siedzieć. Ani nie można było rzucać piłką, ani sypać kopca na ścieżce, czy grzebać łopatką pod ławką. Plantowy magistracki to jedyny cień mego dzieciństwa, wcielenie wszystkich przykrości życia poza nauką

czytania i rachunków, no i poza Krzysią oczywiście która ciągle wyśmiewała się ze mnie.

Magistrat. Słowo twarde, groźne, tajemnicze. Bali się go wszyscy z wyjątkiem ojca, bo „szczęśliwie Magistrat nie ma nic do Uniwersytetu" — powiedział profesor Jaworski, gdy profesor Leo został Prezydentem Krakowa.

Do tego Magistratu jechaliśmy teraz, a mama była zamyślona i małomówna. Do wszystkich oskarżeń, które słyszałem o nim przybyło teraz nowe, a druzgocące : Dżimusia złapał hycel magistracki i dręczy niewinną, a wszystkim nam tak drogą psinę.

— Gdzie za tą sprawą chodzić ? — pytała matka więcej siebie niż nas, siedząc jak zawsze siadała, wyprostowana i nieoparta.

— Prosto do pana prezydenta, niech pani profesorowa wali — doradzał mądry Karpiel — kto by się tam po magistrackich biurach wycierał.

Choć mama nic nie odpowiedziała na uwagę Karpiela, czułem jednak że ją przekonał. I on to czuł, bo rzucił jeszcze krótką uwagę :

— Kartkę napisze i zaraz pieska muszą wydać.

Absolutna pewność głosu starego dorożkarza budziła ufność w los Dżimusia, który tak czarno przedstawiła Augustynowa. W imaginacji swej widziałem już poczciwą psinę z powrotem leżącą w koszyczku koło pieca u babki i poprzysiągłem sobie, że już więcej nie będę nigdy pakował Dżimusia do kubełka, tylko że mu dam cały tłuszcz z szynki, którego zresztą bardzo nie lubiłem.

Jakże miałem się zawieść i przekonać się, że Magistrat jest urzędem i że nie ma tak silnego określenia, które by odpowiadało tej instytucji.

Fiakier jechał wolno przez ulice Krakowa, wolno ale z szykiem. Na Rynku był właśnie targ, bo wtorek czy piątek to był, odwieczne dni targowe miasta. Pod Sukiennicami, w rzędach, rozsiadły się baby przed koszykami z nabiałem, z boku, piekarnia miejska na składanych straganach swe najbardziej nęcące wyroby wystawiła : chleby wielkie jak koła od wozów, buły i bułki wszelkiego gatunku, ciasta dobrze wypieczone, słodkie kołacze i babki pachnące. Pod Wieżą Ratuszową spętane kogutki i kury, gęsi i kaczki słabymi głosami o litość błagały, jakby przeczuwając, że czeka je nóż krakowskich kucharek. Dalej wystawione było na wolnym powietrzu mięsiwo wszelkiego rodzaju, przede wszystkim kiełbasy krakowskie, które w Krakowie zwano tuchowskimi, w myśl przysłowia, że nikt nie jest prorokiem we własnej ojczyźnie.

Kwiaty, owoce, ziemię ogrodową, jałowiec i garnki sprzedawano po drugiej stronie Sukiennic. Tam Czarna Wieś i Nowa, Krowodrza, Ludwinów i Dąbie słały swoje przedstawicielki, by pyskate i gospodarne z krakowian ściągały podatek za dary podmiejskich sadów. Raz w roku na Rynku wyrastał gęsty las choinek, o którym dzieciom mawiano, że go Aniołowie sadzą w okresie Bożego Narodzenia. Wierzyłem w to święcie, jak wierzę we wszystkie legendy krakowskie, które mi opowiadano.

Ale tym razem nie pytałem o nic, nie prosiłem ani o baśń o nożu wiszącym w Sukiennicach, którym brat brata zabił, ani o historię lajkonika, ani o dzieje weseliska Zamojskiego z siostrą królewską. Karpiel skręcił w ulicę Grodzką, gdzie zaczynały się sklepy żydowskie, swoje „heep — heep" wykrzykując na przechodniów co chodzili po jezdni, a po tym batem śmignąwszy dwa razy w powietrzu, jakoś dziwnie szybko zakręcił i stanął przed główną bramą Magistratu. Zarzuciło mnie na mamę i przytuliła mnie mocno. Widocznie także się bała.

Magistrat nie był wcale ruiną, jak to określił pan Muczkowski, ale wielkim pałacem na placu Franciszkańskim. Mnóstwo osób zamyślonych i spieszących wchodziło do niego, mając w nim jakieś ważne sprawy do załatwienia. Przypomniałem sobie, że raz babka na spacerze, pokazała mi kamienicę, która przytykała do Magistratu i powiedziała mi, że była

ona kiedyś jej własnością, którą Magistratowi sprzedała, bo jej bardzo dokuczał. Przy tej sposobności usłyszałem ciekawą historię o duchach, które straszyły w podziemiach tej kamienicy, a teraz nabrałem przekonania, że na pewno winne temu było sąsiedztwo Magistratu.

Wysiedliśmy. To znaczy mama, bo ja w ostatniej chwili przestraszony widokiem portiera w niebieskim mundurze, który u bramy głównej trzymał straż, wysiąść jakoś nie mogłem i dopiero matka wzięła mnie na ręce i szybko wysiadła. Ustąpił jej miejsca z wyrazem pełnym szacunku wyniosły portier, drzwi przytrzymał przed nami i tak znalazłem się w sklepionej sieni, skąd obszerne schody wiodły na pierwsze piętro.

Mama szła nie pytając nikogo o drogę i widocznie wstąpiła w nią jakaś pewność, która i mnie udzieliła się zaraz. Odsunąłem się trochę od matki, choć za rękę bezpieczniej było ją trzymać. Spojrzałem dokoła myśląc, że będę miał co opowiedzieć Krzysi i Ewie.

Otwarły się przed nami bezszelestnie jakieś drzwi wahadłowe, potem korytarz grubym dywanem nakryty, na który wszedłem wcale nóg nie wytarłszy, wreszcie stanął przed nami starszy pan z bokobrodami, o którym pomyślałem, że może on jest prezydentem Krakowa.

Ale nie, nie był prezydentem. Prezydenta Krakowa widziałem przecież w „Kościuszce pod Racławicami" i chodził w kontuszu z karabelą. Był to tylko jakiś zastępca prezydenta, który mamę widocznie znał:

— Padam do nóg pani profesorowej — usłyszałem, co bardzo mnie rozśmieszyło, bo stał wyprostowany i paść wcale nie myślał — Czym można służyć ?

— Chciałam się widzieć z panem prezydentem.

— Pan prezydent jest w tej chwili zajęty na posiedzeniu Rady Miejskiej.

— Ale to w bardzo ważnej sprawie — powiedziała matka głosem jakby mniej pewnym i jakby zniechęconym.

— Proszę do pana sekretarza.

— Nie, muszę koniecznie widzieć pana prezydenta — i tu zobaczyłem, jak mama bardzo zręcznie wsunęła coś w rękę swojego rozmówcy, który w odpowiedzi na ten dziwny gest, skłonił się nisko.

— Tak jest, chciałem powiedzieć, pan prezydent właśnie idzie na posiedzenie, za czym zrobi się meldunek, że pani profesorowa czeka na pilne przyjęcie w ważnej sprawie.

Matka uśmiechnęła się zadowolona i tryumfująca. Nie darmo babcia mówiła, że mama umie z ludźmi rozmawiać.

Siedzieliśmy na wygodnej kanapie, która stała w przedpokoju i czekaliśmy na dalszy bieg wypadków. Teraz dopiero mama zwróciła na mnie uwagę i spostrzegła, że jestem w starym ubraniu, które nosiłem tylko na „po domu", że niesforne włosy sterczą mi na wszystkie strony i że mam sandały zamiast bucików. Nie dojrzała tylko, że mam brudne ręce, bo schowałem je za siebie, ale włosy przyczesała mi grzebieniem wyjętym z torebki.

— Jak wejdziesz ze mną do Prezydenta Leo, nie zrób mi też wstydu i przywitaj się, jak na dużego chłopca przystało.

A więc prezydent Krakowa nazywa się Leo, a nie Lichocki, jak w „Kościuszce pod Racławicami" pomyślałem i chciałem się zapytać matki czy się nie pomyliła.

Drzwi otwarły się, usłyszałem głos :

— Pan prezydent prosi.

Gdyśmy weszli do wielkiego pokoju, w którym obok okna stało biurko, powstał z za niego człowiek wzrostu średniego o nadzwyczaj bystrym wzroku. Nie był prezydent ubrany w kontusz, jak święcie wierzyłem, że wystąpi. Zabrzmiał silny, serdeczny głos.

— Jakaż miła ranna wizyta pani Heleno. Czemuż mam ją zawdzięczać ?

Nabrałem nagle jakiegoś zaufania, przypomniał mi się ważny cel dla którego z matką tu przyszedłem, obiecałem że jej domopogę przecie i

nie czekając na nic, gdy mama ani słowa jeszcze nie powiedziała, krzyknąłem :

— Proszę Pana, Dżimusia hycel złapał !

Źlem zdaje się zrobił, bo mama coś powiedziała do mnie ostro, coś potem tłumaczyła prezydentowi, a ja przerażony moim zachowaniem się, gdym rękę prezydenta czuł na mojej głowie, tylko bardziej przycisnąłem się do mamy i twarz w fałdy jej sukni starałem się schować.

Ale matka usiadła, a nawet zapaliła papierosa, i gdym spojrzał na Lea widziałem, że uśmiecha się wesoło, wcale nie zagniewany moim wybrykiem.

Ależ oczywiście, któżby nie znał pieska starego Dyrektora ? Nawet imię pamięta. Niedawno spotkał pieska na plantacjach koło Biblioteki, z którą łączą go najmilsze wspomnienia. Dżimuś, tak Dżimuś. Rozumie doskonale nie tylko przykrość jaka panuje z tego powodu w rodzinie, ale — bez przesady mówiąc — jaka panowałaby w całym Krakowie, gdyby Dżimusiowi stało się co złego. Tylko, fałszywie do niego wybrano się z tą sprawą :

— Bo proszę drogiej pani, odkąd stworzyłem Wielki Kraków, sprawy psów w mieście przeszły z pod mojej kompetencji do kompetencji wiceprezydenta Sarego — dodał śmiejąc się.

Prezydent pośle jednak natychmiast z nami woźnego do wiceprezydenta, aby ułatwić szybkie załatwienie sprawy. Ma nadzieję, że jeszcze dziś rano piesek będzie z powrotem u babci i że będę się mógł z nim bawić — mówił już we drzwiach, gdy odprowadzał mamę i mnie.

Ów pełen godności woźny z bokobrodami powiódł nas o kilka drzwi dalej i zniknął. Siedliśmy czekając co będzie.

Tym razem trwało to dłużej. Widocznie wiceprezydent jest ważniejszą w Magistracie osobą od prezydenta, bo i tytuł jego jest dłuższy i dłużej czekać na niego trzeba — rozumowałem, patrząc na białą kartę przybitą obok jego drzwi.

— Mamusiu co tu napisane ? pytałem, bo nie lubiłem sam czytać.

— „Wiceprezydent Sare, przyjmuje codziennie od godz. 10-12, sprawy gminy izraelickiej, sprawy porządków, śluby cywilne".

Niczego nie rozumiałem. Wszytko musiała mi mama tłumaczyć i zabrało to sporo czasu. Wreszcie pokazał się woźny i sakramentalnym głosem obwieścił :

— Pan wiceprezydent prosi.

Dygnitarz, przed którym stanęliśmy, miał duży nos i ostre rysy. Był pełen uprzejmości. Nie odezwałem się tym razem nic, mamie pozwalając mówić.

Wiceprezydent wysłuchał sprawy. Kiwał głową i domyśliłem się zaraz, że uwolnienie Dżimusia napotka na jakieś trudności.

— Proszę pani profesorowej, co mogę, to zrobię dla pieska. Daję kartkę do radcy Kopytkiewicza, którego wydziałowi podlegają oprawcy miejscy.

Na korytarzu mamę objaśniał woźny z bokobrodami :

— Pójdzie pani na prawo korytarzem, potem na lewo schodami na trzecie piętro, gdzie znowu na prawo, potem na lewo, a potem prosto trzeci pokój za pokojem nr. 17.

Ruszyliśmy z mamą cierpliwie, a mnie już na drugim piętrze rozbolały nogi, bo schody były wysokie, do tego mama zapomniała jak trzeba iść, mnie zaś nie ufała kiedy jej radziłem.

— Czekaj synku czekaj, skądże ty masz lepiej znać drogę niż ja. Zapytam się.

Przechodzący nie wiedział oczywiście, jakiś woźny źle nas objaśnił, potem znowu mama się pomyliła.

— Może tutaj ?

— Nie tu, przecież widzisz, że to nr. 65. Ależ nudzisz zupełnie jak ojciec. Dam sobie radę . . .

Gdyśmy wreszcie dobrnęli na trzecie piętro do pożądanego lokalu, objaśniła nas jakaś blada panna z czerwonymi oczami :

— Pan radca wyszedł przed chwileczką służbowo na konferencję, zaraz wróci. Proszę siadać.

Siedliśmy na twardych krzesełkach pod piecem i czekaliśmy. Przeciągało się nasze czekanie w nieskończoność. Panna siedziała pod oknem i liczyła, od czasu do czasu grzebiąc piórem we włosach. Była zła o coś i niezadowolona a kiedy mamę zacząłem pytać, panna syknęła dając znać że trzeba siedzieć cicho, aby jej nie przeszkadzać. W pokoju choć dzień był słoneczny, było ciemno, okna zamknięte były szczelnie i panował nieznośny zaduch papierów, których pełno leżało na stole, na półkach, a nawet pod oknem na podłodze. Wszedł jakiś pan, który zbliżył się do liczącej panny i także pytał o radcę Kopytkiewicza. Zaczęli szeptać, ale i tak słyszałem.

— Niema go ? Służbowo ? To pewnie będzie u Hawełki ?

— Nie — dobiegł cichy szept — pan radca poszedł do Kuczmierczyka. Proszę mu powiedzieć, że tu na niego czekają.

Tak upłynęło dużo czasu, ale najgorsze było to, że bałem się bladej panny i nie śmiałem o nic pytać, ani niczego ruszać. Na biurku zobaczyłem spinacz, który za jednym naciśnięciem spinał papiery. — Muszę sobie taki kupić — i zacząłem obliczać czy mam wystarczającą ilość pieniędzy w skarbonce.

Nagle otwarły się drzwi i wszedł pewnym krokiem pan radca Kopytkiewicz, mężczyzna gruby, z wąsami. Był zmęczony, oczy miał zamglone. Nie zwracając na nas uwagi przeszedł do swego pokoju, a blada panna cicho wsunęła się za nim.

— Pan radca czeka . . .

Matka wstała, weszła śmiało, ale nie z taką pogodną miną jak szła do obu prezydentów miasta. Radca Kopytkiewicz zaś nie wstał, nie przywitał się, ale krótko i sucho oświadczył :

— Przychodzi Pani po godzinach przyjęć. W jakiej sprawie ?

Matka pokazała kartkę od wiceprezydenta Sarego, która na radcy Kopytkiewiczu nie zrobiła żadnego wrażenia, powołała się na swoją bytność u prezydenta Leo. Mówiła, że gotowa każdą należytość zapłacić.

— Proszę Pani, to nie takie proste, jak się panom prezydentom zdaje. Ja mam swoje przepisy i regulamin, za który jestem odpowiedzialny. Pani zechce usiąść. Panno Kamilo ! . . .

Weszła panna Kamila i radca kazał jej przynieść jakieś papiery. Zdawało mi się, że mrugnął do niej porozumiewawczo, jakby jej dał znak. Poza tym widać było zmęczenie i senność na jego twarzy. Wyjął z kieszeni wykłuwaczkę i dłubał nią w zębach. Czułem w pokoju zapach piwa, gdy oddychał.

— Chart, płci męskiej, wabi się Dżimuś, zamieszkały ul. Garncarska, własność Pani Stefanii Estreicherowej, niebadany, lat 9 — czytał głośno tonem którego się bałem.

Po chwili, ziewając dodał :

— Podatek w tym roku niezapłacony . . .

— Mówiła moja teściowa, że marka na ten rok została wykupiona z całą pewnością.

— Ale jeszcze nie została wpisana w papiery, co na jedno wychodzi, rzucił krótko radca Kopytkiewicz. Czy Pani ma kwitek dowodowy ? Nie. To w takim razie proszę pójść do kasy miejskiej na parter i po opłaceniu trzech centów, otrzymać kopię kwitu.

Zeszliśmy na parter, gdzie znowu musiano szukać w papierach, bo nie wiedziano kiedy nieszczęsną markę wykupiono. Mama chciała kupić nową, ale pokazało się, że można to było uczynić jedynie w styczniu. Wreszcie dano nam kwitek. Wróciliśmy do radcy Kopytkiewicza.

Nie mieliśmy szczęścia. Pan radca oświadczył, że z powodu wypadku wścieklizny na terenie Wielkiego Krakowa, o czym właśnie dowiedział się w międzyczasie, zatrzymany pies nie może być zwolniony bez zbadania Miejskiego Urzędu Weterynaryjnego. Trzeba wnieść podanie, które ze względu na wyjątkowe okoliczności i na życzenie pana wiceprezydenta Sarego postara się załatwić szybko, może w ciągu tego tygodnia jeszcze. Podanie trzeba wypełnić wraz z załącznikiem w Dzienniku Podawczym Magistratu, ale — dodał — teraz już jest za późno, bo już po dwunastej. Dopiero jutro. Innej drogi nie ma.

Wyszliśmy zrozpaczeni. Matka była widocznie zirytowana, ja byłem zmęczony, lecz los Dżimusia był nam droższym nad wszystko. Mama wzięła się do napisania podania na formularzu kupionym od woźnego i pełna determinacji postanowiła od tyłu dostać się do owego tajemniczego Dziennika Podawczego. Gdy stała przy jakimś pulpicie w korytarzu i wypełniała długi kwestionariusz nie wiedząc co odpowiedzieć na rząd pytań, mnie nawiedziły czarne myśli. Może już biedny Dżimuś nie żyje, zadręczony przez straszliwego oprawcę, lub nawet przez samego radcę Kopytkiewicza ?

Zrobiło mi się smutno, ale ponieważ obiecałem mamie pomagać przy ratowaniu Dżimusia, więc nie zdradzałem swych myśli które opadły mnie zewsząd jak kruki. Gdzie szukać ratunku, jak pomóc sprawie ?

Zrozumiałem czym był Magistrat ! To była otchłanna instytucja, żyjąca z dokuczania ludziom. Po raz pierwszy w życiu jaskrawo zobaczyłem, że los obywatela zależy nie od tych co rządzą u góry, ale od tych co załatwiają sprawy na dole.

I nagle wiercąc się koło matki, zobaczyłem z daleka osobę kuzyna Pola, tego o którym ojciec się wyraził, że nadaje się tylko do Magistratu, a który teraz przechodził w głębi korytarza niosąc plik papierów. Nie zauważony przez mamę pędem puściłem się w jego stronę i dogoniłem go właśnie gdy wchodził do pokoju.

Może był on niezaradny i nudny, jak o nim twierdzono, ale muszę powiedzieć, że go lubiłem, bo ile razy przychodził do nas to bawił się z nami, brał mnie na barana i obnosił po całym mieszkaniu, lub cierpliwie wylepiał odbijanki i śmiał się z moich figlów. Mówiłem do niego wujciu, choć on do ojca mówił „panie profesorze", a mamę dziwnie jakoś tytułował kuzynką. Był dalekim krewnym naszym, na tej podstawie, że matka Wincentego Pola była z domu Longchamps, tak jak moja.

Teraz ciągnąc go za rękaw tłumaczyłem jak mogłem straszne położenie Dżimusia. Bardzo się tym przejął i podszedł zaraz do mamy.

— Ależ kochana kuzynko, rzuć to podanie, siądź i zaczekaj. Nie trzeba było do nikogo chodzić tylko do mnie. Co tam panowie prezydenci, co tam radca Kopytkiewicz ! Wszystko załatwię natychmiast. Zaraz będziesz miała nakaz zwolnienia pieska.

Istotnie tak się stało. Nie upłynęło i pięć minut a już wrócił wujcio z papierem opatrzonym podpisami i pieczęciami i adresem oprawcy miejskiego Stanisława Wyzimuchy, na ulicy Lubicz.

Nie było czasu na podziękowania. Mama wypomniała tylko swemu kuzynowi, że tak rzadko do nas przychodzi, zaprosiła go na obiad i szybko wyszedłszy z Magistratu, skoczyliśmy do fiakra, który czekał na nas ciągle.

— Zmaglowali panią profesorową dobrodziejkę ? Oni to tylko potrafią ! A co dopiero z bidnym człowiekiem wyprawują ? — mówił przyjaciel Karpiel.

— Czy pan Karpiel zna tego Wyzimuchę ?

— Przecie krakowski, proszę Pani, to się zna. Jego ojciec był na Grzegórzkach kaflarzem i ze mną służył w 13 fanterii, nim do ułanów przystałem ; chłopak się kiedyś do fiakrowania brał, ale potem wolał isć na pachołka i tak mu na psy zeszło.

— Czy na pewno u niego Dżimuś będzie ?

— Trzech ich jest hyclów w Krakowie, bo miasto bardzo wielkie tera zrobili, choć nam taksy nie podnieśli. Na Dębnikach jest stary Bąk, ale mało już jeździ, na Prądniku Kobielewicz, na Wesołej—Wyzimucha i ten się najwięcej za psami ugania. Przecie go widzieli. W nie swoim rewirze łapał. On ta dobrze wie, że Piasek Kobielewiczowi przynależy.

Tak rozmawiając zajechaliśmy daleko na ulicę Lubicz, za nowy most kolejowy, za dyrekcję Parków Miejskich i stanęliśmy koło Angielskiego Ogrodu, w którym znajdowało się osobliwe a straszne przytulisko dla niedorozwiniętych dzieci. Kiedy matka wystarała się, że głupiego Felusia z ulicy Sobieskiego, niemowę, który nadto i nieprzyzwoicie się zachowywał, przyjęto do Angielskiego Ogrodu, Krzysia powiedziała, że wcześniej czy później i mnie tam oddadzą, bo także jestem idiota, któremu ciągle trzeba czytać podpisy pod obrazkami. Stąd zapamiętałem sobie ten dziwny Ogród, a teraz stanęliśmy przed jego bramą.

Matka pociągnęła za dzwonek. Otworzyła nam zakonniczka i ujrzałem przez drzwi duży dom parterowy. Na trawniku grupa dzieci kulawych, ślepych, garbatych, o starym wyrazie twarzy, trzymała się za ręce w koło, a zakonniczka uczyła je wspólnej zabawy. Dzieci były ubrane w niebieskie sukienki i w białe fartuszki i wcale nie wyglądały tak strasznie, jak to sobie wyobrażałem.

— Miejski Zakład dla Psów znajduje się niedaleko stąd, następna bramka za rogiem. Tędy przejścia nie ma, bo co prawda to w naszym ogrodzie, ale oddzielone parkanem — mówiła uprzejma siostrzyczka.

Mama podziękowała pytając jeszcze o Felusia.

— O ma się doskonale, proszę pani. Już się nauczył wyplatać koszyczki, utył i wyrósł nawet. Z Bożą pomocą będzie z niego pociecha.

Za rogiem, trafiliśmy na ową bramkę. Przez mur wychylały się gałęzie lipy, pachniała akacja a w okół panowała cisza południowa.

Jakby nie dowierzając, że to tutaj matka przeczytała napis na błyszczącej mosiężnej tabliczce :

„Stanisław Wyzimucha, Oprawca Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa".

— To tu — rzekła i zastukała lekko. Nikt się nie odzywał. Z za bramy doszła nas dziwna pieśń, męskim głosem śpiewana wesoło, mimo groźnych słów :

—„Hen tam nad dworem, już się schmurzyło,
„Już chmura wyszła i pada deszcz,
„Kochać nie wolno, zapomnieć trudno,
„Lecz w sercu moim, Twa miłość jest.

„Od dnia pierwszego, gdy Cię ujrzałem,
„Od pierwszej chwili kochałem Cię !
„Ty urągałaś miłości mojej
„Góralko piękna nie wartaś mnie.

„Pościelą twą niech będą Ci gady !
„Lekarzem Twoim niech będzie wąż !
„Żebyś konała, skonać nie mogła,
„I konająca patrzyła wciąż !" —

Mama zastukała mocniej, nawet gwałtownie, jakby przerwać chciała tę pieśń niesamowitą. Usłyszeliśmy za bramką kroki, ktoś zasuwę odsunął i w drzwiach stanęła młoda kobieta z dzieckiem na ręku.

— Przyszłam tutaj z Magistratu do pana Wyzimuchy po pieska.

— Proszę wejść i zaczekać, męża zawołam. A po którego pieska ?

— Po Dżimusia ! — wykrzyknąłem zdziwiony, że nie wie.

— Tego charcika co dzisiaj rano przytrzymany na Kapucyńskiej? Staszek! — wołała kobieta za dom, — pani po Dżimka przyszła, chodź że a ino!

— Zara przyjdę, tyko z ogarem skończę.

Staliśmy przed małą portierówką z czerwonej cegły. Wejście do niej prowadziło przez ganeczek opleciony dzikim winem. Na ganku suka w koszyku karmiła szczenięta, kot spokojnie wygrzewał się na schodkach a dwa kanarki skakały w klatce. Pod drzewami kura wodziła swą gromadkę.

Było tu pogodnie i wiejsko. Nic nie zdradzało strasznej kaźni, w którą wstąpiliśmy. Wyobrażałem sobie ponury dom, gdzie krwią umazany oprawca zabijał psy. Tymczasem ten wróg zwierząt mieszkał tak jak my, na wakacjach w Rabce.

Tym większa jednak obawa o los Dżimusia wstąpiła w me serce, że przecie słyszałem jak Wyzimucha krzyczał do żony iż „kończy z ogarem". Widocznie zarzyna biedne zwierzę i może już uciął głowę pieskowi babci, lub prędzej ukręcił, tak jak to raz zrobiłem lalce Ewy. Nie chciałem zdradzić się z moimi myślami, lecz wtedy to poprzysięgłem wieczną nienawiść hyclom, której dotrzymałem.

Zamknąwszy starannie bramkę od podwórza, bo skakały za nią psy, ukazał się On, Stanisław Wyzimucha. Chłop to był duży, rumiany na gębie, uśmiechnięty. Stanął przed nami w skórzanym fartuchu, wcale krwią nie powalany. Rękawy od koszuli miał odwinięte.

— Otrzymałam w Magistracie zwolnienie psa, złapanego dzisiaj przez pana — zaczęła matka bez żadnego przywitania, ostrym i pewnym siebie głosem. Widocznie była również usposobiona nieżyczliwie dla kata zwierząt. On za to był grzeczny, bo wyrzuty sumienia musiały go dręczyć za to co robił:

— Moje uszanowanie — powiedział — to ten mały charcik od pani dyrektorowej. Ależ nie trza było żadnego papierka z Magistratu, bo ja pieska znam i tylko go przetrzymałem do pary ze suczką pani hrabiny Tarnowskiej, żeby im było wesoło po kawalersku. Czemu pani nie przyjechała prosto do mnie?

— Gdzie jest Dżimuś? — zawołałem.

— A jest, jest, i zara go państwu pokażę. Miałem dzisiaj rano sporo roboty, bo mi pan doktór Kader przysłał swojego wyżła co se nogę wykręcił na polowaniu, a chocia pan doktór sam ludziom nogi zestawia, to pieska mnie odesłał. Dopirom skończył go składać.

Przeszliśmy przez bramkę na podwórko wysypane piaskiem. Psy kręciły się po nim a Wyzimucha wołał je po imieniu i głaskał.

W koszu leżał duży wyżeł z nogą ujętą w deseczki. Wdzięcznie patrzył na Wyzimuchę. Gdy oprawca głaskał go po łbie pies polizał mu rękę.

— Ładny pies ino trochę kulał będzie, bo ma porwane ścięgna. U mnie wogóle psom dobrze, krzywdy zwierzęciu nie ma, a ino obywatele krakowscy tego nie rozumią. Psy się tu leczy i na pchły i na krosty i na psią chorobę. Suczki przetrzymuję, jak której potrzeba. Tego dużego wilka to z policji przysłali. Rasowy. Łyżwińskiego wytropił jak se ręce w Parku Krakowskim umył.

W głębi podwórka stała szopa i w niej mieściły się mniejsze i większe klatki, zamknięte siatką drucianą. Psie więzienie było wyścielone słomą, zaopatrzone w wodę i w jedzenie.

W jednej z działek siedział Dżimuś. Nie sam jednak siedział lecz razem z czarnym pudelkiem, a raczej bawił się wesoło, tak wesoło jak tego nigdy nie widziałem. Dżimuś łapał pudełka za ucho, a czarna suczka starała się uwolnić. Warczały z zadowolenia. Kiedy zawołałem go po imieniu udawał, że nie słyszy. Wśród wesołych skowytów i chwytów zgubił swój dzwoneczek i bynajmniej się tym nie martwił.

Przeżyłem wielkie rozczarowanie. Dżimuś nie chciał wyjść ze swego więzienia i nawet pokazał zęby ze złości, kiedy go stamtąd wyciągano.

Wyzimucha triumfował. Oddając psa nie omieszkał zauważyć, że jest on wykąpany i nakarmiony.

— U mnie proszę szanownej pani zawsze zanim pies do klatki pójdzie to bierze kąpiel, jak się patrzy. O tu, to pies pana doktora Rosnera i zaraz po niego przyślą, tutaj śpi foksterier pani Pareńskiej, który blasku dostał po mydle. Pan Stryjeński to mi raz na miesiąc swojego szpica do kąpieli przysyła. Tylko tego czarnego pudelka od pani hrabiny nie oddam, bo lokaj mi już za poprzedni raz winien, a na Nowy Rok nic tam nie dają. Dłużej kredytować nie będę.

Matka zapytała ile ma zapłacić.

— Nic nie kosztuje, proszę pani, bo ja prowadzę Zakład Miejski. Tylko zwrot kosztów za kąpiel i za wikt Dżimusia.

Gdy nas odprowadzał do bramy mówił uprzejmie :

— To już na najbliższy rok będzie, a na święta, to sobie pozwolę starszej pani złożyć moje życzenia po kolędzie, żeby się pani nie fatygowała tutaj.

Wracaliśmy triumfująco do babci, Tylko :

— Dlaczego wszystko było inaczej ? — pytałem.

— Co było inaczej ?

— Dlaczego hycel Dżimusia nie zabił ?

— Oj nudzisz mój synku, gorsze, że pewnie mi konfitury przesmażą.

I kiedy pod wpływem słów starego nauczyciela przypomniawszy sobie moje pierwsze zetknięcie się z władzami starałem dojść co ono mi wróży, potężny cios sierpowy w plecy pięścią sąsiada zadany, przywrócił mi przytomność. Byłem wywołany, miałem odpowiedzieć na pytanie. Momentalnie zacząłem coś bąkać rozpaczliwie nadsłuchując, czy mi który z kolegów nie podpowie. Za późno.

— Co ty właściwie robisz na lekcji ? — zapytał Pawlikowski.

— Bo ja właśnie myślałem . . .

— Myślałeś, ty zawsze myślisz, tylko nic nie możesz wymyślić.

— . . . to co pan profesor mówił.

— To com ja mówił ? Gdybyś uważał to byś wiedział, gdzie czytamy.

— Bo ja . . .

— Już się nie tłumacz ! Mam dosyć tego lekceważenia ! Siadaj ! Na hycle zejdziesz z tym twoim ciągłym tłumaczeniem się. Będzie dwója na konferencji, a jak tak dalej pójdzie to na maturze, a potem hyclowski doktorat będziesz zdawać.

Od tego czasu dużo lat upłynęło, dużo wody upłynęło w Wiśle, dużo stało się rzeczy ważnych. Umarł stary nauczyciel i razem z Zygmuntem Nowakowskim spotkaliśmy się na jego pogrzebie. Niewielu przyszło nań uczniów. Nie wiem co autora ,,Rubikonu" przywiodło na ten pogrzeb, lecz zapewne także przywiodła go wdzięczność.

Co do mnie, mam szczególną wdzięczność dla Jana Pawlikowskiego. Biret bowiem doktorski otrzymałem za tezę istotnie hyclowską, którą na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego przedstawił mój czcigodny mistrz i promotor profesor Julian Pogaczewski. Pisząc w sposób analityczno — porównawczy i historyczno — genetyczny na temat ,,Miniatur kodeksu Bema oraz ich treści obyczajowej" szeroko rozpisałem się o dawnych prawach rzemieślników krakowskich zabraniających zajęć kata, oprawcy i łaziebnika. W średniowiecznym Krakowie, szanujący się rzemieślnik nie mógł zabić psa, ani nawet przestawać z rakarzem. Zajęcie uważane było za hańbiące i mistrza czy czeladnika, czy ucznia, który praw rzemieślniczych nie przestrzegał wykluczano z cechu. Rozliczne zakazy znamy już od XIV wieku, jak na to wskazuje fakt, że . . .

Tak, tak, nie ulega wątpliwości, że zarówno moja teza doktorska jak i niechęć do urzędów była rezultatem pierwszego zetknięcia się z municypalnymi władzami Stołecznego i Królewskiego Miasta.



JULJAN TUWIM

KWIATY POLSKIE
(FRAGMENT)

Loża jest sześcioosobowa,
A jedna siedzi w niej osoba :
Fryderyk Alfred Folblut. W skrócie :
Faf, Fafik, Fafa. Syn Artura
I „Muszki“ z Satansonów, która
Nawiasem mówiąc, wycierpiała
Gehennę mąk przy swym Folblucie :
Pan Artur bowiem, lew salonów,
Kankana bujny entuzjasta,
Z niewiarygodną werwą szastał
Rublami starych Satansonów :
W szampitrze topił je, w węgrzynie,
U Stempka i w Aleksandryńie,
W zawrotnych redutowych salach,
Na wszystkich balach i bazarach . . .
A śród „koryntek“ nasz Arturek
Używał jak w haremie Turek.
Ach, te śniadanka, kolacyjki,
Cyrkówki płoche, kamelijki,
Te lumpki, bibki, Ziutki, divy,
Nimfy z „ogródków“ i sylfidy,
Szelmutki, bałamutki ! . . . Słowem,
Postanowiła pani Muszka,
By mu w sypialni na Miodowej
W ogóle nie ścielono łóżka,
Przebirbantował ćwierć miliona
Pod fin de siecle. Ale po śmierci
Anastazego Satansona
Zostało jeszcze siedem ćwierci.
A gdy po latach i pan Artur,
Zwany powszechnie „Artiszokiem“,

Dał nagle susa w raj lampartów,
Rażony erotycznym szokiem,
T. j. gdy z ramion pewnej Ziutki
Zwalił się martwy w słodkich drgawkach,—
Rzewnie żegnała go Warszawka :
Szum żalu poszedł przez „ogródki“,
Chlipały, w trykot obciągnięte,
Skoczne szelmutki i filutki,
I żałowały go namiętnie
Panny od Wedla waniliowe
Dziecinnych naszych lat królowe,
Kwiaciarki i kwiaciarze z Alej,
Co zwinnie nocą wskakiwali
Na stopnie drynd dwukonnych w biegu,
I subiekt Piotr od Krzemińskiego,
I subiekt Leon od Fukiera,
I Schmandtke, agent Roederera,
I dwaj posłańcy spod Bristolu,
Bajeczne wspominając „kursa“,
I cwani pikolacy z hallu
I babcia w katakumbach Lursa,
I zmarkotniali, osowiali
Kelnerzy z Malinowej Sali,
A ober, który od Karowej
Prowadził raj gabinetowy
(Umysł sceptyczny i głęboki)
Zapisał w swoim pamiętniku :
„Artiszok klapł. Cios dla epoki“.
Prócz żalu, został po Arturze
Pstrokaty melanż majątkowy :
Pieniądze (dużo), domy (duże),
Folwark (olbrzymie tłuste krowy),
Ogród (olbrzymie, duszne róże,
Z których spleciono mu z mozołem
Wieniec, co mógł być młyńskiem kołem ;
Czterech musiało nieść przez miasto
Tę zgrozę ciężką i kolczastą ;
Nieśli, pocili się, sapali,
Zranione palce wysysali) ;
Sad (słynne śliwki „folblutówki“,
Soczyste, słodkie, tłuste, duże) ;
Akcje (—nirwana dla gotówki,
Pieniądze na emeryturze—),
Akcje—na mocnym, szeleszczącym,
Na znakowanym, żyłkowanym,
Na prężnym, na „opiewającym“
Lśniącym papierze drukowane ;
Przy nich—kupony, co z macierzy

Ciągnęły złoty sok pyszczkami . . .
Tak z przyssanymi prosiakami
Bezczynna świnia w gnoju leży ;
„Pakiety“ akcji ! kupy takich
Kopert pakownych i pękatych :
Węgiel „Buzowo“, szkło „Jaskółka“,
Stal „Rumpel, Loewenherz i Spółka“,
Cukrownia „Ćmierz“, garbarnia „Góral“,
Drożdże „Małeczno“, cement „Ural“,
Browary „Słód“, żegluga „Fala“—
Akcje przedsiębiorstw złotodajnych,
Niosących zyski z bliska, z dala,
Akcje kolei, nafty, lasów,
Nawet metalów Hondurasu,
I banków, banków . . . (Spamiętajmy
„Banco Ciudad de Guatemala“).
Zostały chytre cyrografy,
Przewidujące wszystko w świecie,
Pełne pułapek, jak na szczury,
Zasadzek pełne, kruczków, sieci,
Haczyków (spójrz na paragrafy),
Kontrakty, weksle, (dojne z góry),
Złodziejskim prawem prawomocne,
Kładące areszt na waszeci,
A nieraz z izby robotniczej
Na mróz „eksmitujące“ dzieci . . .
Zostały jakieś tajemnicze
„Salda dywidend“ i „rozliczeń“,
To z „conta tantiem“, to z „udziałów“,
Z wkładów, odsetków, kapitałów,
Z sum „wierzytelnych“ i „podzielnych“,
Z „nadzorczych rad“ i „rad naczelnych“,
Z jakichś zarządów i prezesur
Czterdziestu fabryk i byznesów—
Czterdziestu kolosalnych ssawek,
Wytresowanych, karnych nawet,
W imię „wspólnoty interesów“.
Czyich ? Familii. Bo familią
Stał Koncern Pomp, co ruble doił,
A każdy grosz i każdy milion
Rozdymał wspólne brzucho „swoich“.
Siecią pokrewieństw oplątane,
Spółżyły w kazirodztwie wiecznem
Banki braterskie i siostrzane,
Akcje cioteczne i stryjeczne,
Akcje—kuzynki, akcje—szwagry,
Firmy—synowe, firmy—teście . . .
Tak cielska banków, biur i fabryk

W rojnym płodziły się inceście.
Wzmagało się rodzinne tarło
I oto trzecie pokolenie
Narybek swój kosztowny żarło—
I znów miotało grudki złota,
Jak jesiotr, który ikrę miota :
Więc astrachańską smarowali
Bułeczki grubo namaślone,
Od polskiej słoty uprzykrzonej
Lux'ami się prześlizgiwali
W lazury adriatyckiej fali,
Łatwiej im było o Rivierę
Niż mamie do Bedonia z nami,
Krócej mówili z jubilerem,
Niż ona ze sklepikarzami,
Łatwiej im było o „chinchille",
Niż jej o kostium od Maszkowskiej,
A Fafikowi o . . . mantyllę,
Niż mnie o nowy płaszcz uczniowski.
Mieszkało to we troje, czworo,
W ośmiu pokojach, jedenastu,
Było się tedy gdzie rozhulać
Złośliwym, mieszkaniowym zmorom :
Latały niewidzialną sforą,
Bezczelnie wskakiwały na stół,
I w fałdach zblakłych aksamitów
Pełzły od podłóg i sufitów,
Właziły gęsto i powoli
Pod szklane dzwony żyrandoli,
W całun pokrowców otulone,
Na wachlarzowe parawany
Z samurajami i smokami,
Na etażerki ufrędzlone,
Na gobeliny idylliczne,
Na meble—raczej Meblozaury
Z samopoczuciem muzealnem,
Znieruchomiałe dynastycznie
W zaduchu milionerskiej aury :
Całym ciężarem smutnych istnień
Wpierały nogi w dąb posadzek,
By *wrócić*—wrosnąć, w swoje, bliskie . . .
I wspominały las dębowy,
Zielone wieki wielolistne,
I palmom w ziemi doniczkowej
Przypatrywały się zawistnie.
Na wszystkiem w ciężkim śnie, leżała
Nuda żałobna i stężała . . .
Była tu cnotą i nakazem.

Za dawnych lat, gdy się utrudził
Hulanką, i do domu wracał,
Artiszok ją czasami budził
I płoszył arią z operetki,
Nucąc: „Kobietki, ach, kobietki“ . . .
Potem już nikt. Już była głazem.

Gdy do ubogich przyjdziesz ludzi,
Od razu wszyscy są i *razem.*
Ubóstwo—płytkim jest obrazem.
Bogaci—zawsze w głębi, w głębi,
W ramie masywnej i głębokiej,
W domyśle, w perspektywie mrocznej,
Dalecy są i niewidoczni,
Zaszyci w ciszę jak w wojłoki . . .
Idzie się do nich, do bogatych,
Po matach miękkich i włochatych,
Po pluszach, po dywanach grzązkich,
Przez szereg uroczystych komnat,
Drogą amfilad i kolonnad,
Aż gdzieś, wgnieżdżeni w ciepłe ściany,
Za siedmią dźwierzy wyściełanych,
Siedzą i trwają i dumają . . .
Bogaci *nie są*: przebywają . . .
Kołem zaklętym otoczeni,
W zawiłej kryją się przestrzeni,
Którą architekt, niczym pająk,
W labirynt uformował kręty.
Tam za pokojem goni pokój,
A tajne pokoiki z boku,
Tam korytarze, schodki, schówki,
Nieokreślone przybudówki,
Tam nagłe ciemne zakamarki,
I gubisz się i błądzisz po nich,
Jak po wróżebnych liniach dłoni
Błąka się palec kabalarki.

Tak było wszędzie: u Heimwertów,
U Federgoldów, u Meisnertów,
U Wanderrotów, u Rosserów,
U Satansonów, u Mayberów,
U Czarnoborskich, u Reingutów,
A już klasycznie—u Folblutów.
W centrum królował Arcysalon
W lwich, płowych tonach. Lew był stary
I naśladował piach Sahary.
Salon, pustynna instytucja,
Był owej nudy głuchoniemej

Tronową salą i centralą.
Tam, w cieniu palmy, już nam znanej,
Na sofie o piaskowej barwie,
Jak Arab na wielbłądzim garbie
Rozmyślający o koranie,
Siedział Faf—krwisty, brwisty, czarny,
Żelaznoudy, muskularny,
Barczysty, z atletycznym torsem,
Jakby stalowy nosił gorset
Na rozłożystej piersi skalnej ;
Siedział w szlafroku orientalnym,
Piękny, dwudziestoczteroletni,
Ciepły, z kąpieli i gimnastyk,
W obłoku aromatów kwietnych
Z flakonów swych wielograniastych ;
Pił mocną, parującą kawę
I puszczał z ust obrączki mgławe
Dymków błękitnych i pierzastych.
Dzień był trzydziesty listopada,
A rok—o, roku ów!—przypadał
Tysiąc dziewięćset osiemnasty.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

CZŁOWIEK Z ROKOKOWEGO KOŚCIOŁA

Owa pierwsza wojenna histor a miała swoje antecedensa dosyć nieoczekiwane, bo odgrodzone, zdawało się, od życia czarnymi kratami śmierci. Zaczęło się to zupełnie przypadkiem. Był sierpień, czy wrzesień 1934 roku, datę tę pamiętam dobrze, bo był to właśnie rok śmierci *Roehma* i towarzyszy, a znajdowałem się sam w Bawarii, niedaleko od jeziora *Wiessee* gdzie o świcie 30 czerwca Hitler dokonał krwawej rzezi swych towarzyszy partyjnych. Spędziłem koniec lata na włóczędze w tej właśnie okolicy, było tanio i ślicznie. Pogórze bawarskich Alp czernieje o tej porze roku świerkiem, lub rudzieje od buków, w dolinach powietrze jest rzeźkie, a trawa o ciemnej, głębokiej zieleni. Piękne są kościółki wiejskie tych stron, ze swymi cebulami kopuł na białych, czworogrannych wieżach. Trudno wyobrazić sobie kraj bardziej tchnący pokojem, moglibyśmy pomyśleć, gdy z okien autobusu widziało się góry, wsie i te łąki.

Jechałem z *Oberammergau* do jakiejś zupełnie innej miejscowości, ale nim do niej dojechałem zobaczyłem, na którymś postoju, napis. Napis mówił, że idąc w tym kierunku jeszcze 500 metrów ujrzymy ,,najpiękniejszy kościół rokokowy na północ od Alp". Miejscowość nosiła nazwę o brzmieniu pozornie słowiańskim, bo nazywała się *Wies*. Pewno wymawia się ją ,,Wis". Nie miałem nigdy zaufania do rokoka jako religijnej ekspresji ; styl ten wydawał mi się zawsze bardziej dobrany do buduarów niż do kaplic, tak samo jak trudnoby chyba wyobrazić sobie garsoniery w stylu gotyckim. W Polsce kościołów rokokowych jest bardzo mało, a Włoch nie znałem. Ale właśnie myśl o pięknym kościele rokokowym zainteresowała mnie od razu, a zapewnienie, że jest to najpiękniejszy kościół roko-

kowy, na północ od Alp, jeszcze ciekawość tę wzmogła. Pomyślałem, że jakby nie było, warto zrobić pięćset metrów dla zobaczenia najpiękniejszego kościoła rokokowego po tej stronie Alp, zrezygnowałem z dalszej jazdy, wysiadłem z autobusu, i podczas gdy on jechał dalej drogą asfaltową ku *Landsberg am Lech*, ja piąłem się gorzej brukowaną drogą ku opactwu w *Wies*.

Był to dość imponujący kompleks budynków, zespolony w jedną białą całość, a cienista aleja, w którą wtłoczyła się droga, zasłaniała perspektywę. Podprowadziła mnie tak do kościoła, że wprost niemal spod drzew znalałem się w jego progu, a znalazłszy się, musiałem napisowi na drodze przyznać w pełni rację, uznać że owych pięciuset metrów nie zrobiłem tego dnia na darmo, i przeprosić kornie kapryśny styl rokokowy za niedocenienie jego wartości. Było to prawdziwe cudo, i zupełnie inne od wszystkich kościołów. Nigdy nie widziałem stylu, któryby tak doskonale wyrażał jakąś jasną, wesołą niemal, pogodę ducha jak styl, w którym zbudowano kościół w *Wies*. Proszę sobie wyobrazić wnętrze białe zupełnie, ogromnie białe, połyskujące tylko lekką pozłotą niektórych gzymsów. I do tego wnętrze owalne. Kościół nie walił nawami, jak kolumnami wojska, w stronę wielkiego ołtarza. Rozbiegał się po wszystkich stronach swą architekturą przedziwnie lekką, a potem zbiegał się z powrotem na drugim końcu. To samo było w górze. Łuki gotyckie strzelają wysoko, romańskie sklepiają się silnie, renesans zakreśla piękne, odmierzone jak krok rzymski, średnice, barok gnie się w ciężkich zwojach jak fałdy brokatu, a rokoko kościoła w Wies pulsowało liniami chwiejnymi, pogiętymi, które robiły wrażenie, że żyją i gną się nad naszymi głowami nieustannym falowaniem. Strop kościelny był pokryty malowidłem o barwach pastelowych, — jakieś niebo pełne aniołów, obłoków i świętych schylało się wprost z przestworzy na głowy klęczących. Byłem na prawdę olśniony tym całym niezwykłym pięknem, które teraz tak mi trudno opisać, albowiem rokoko jest u nas na prawdę mało-znane i nasze kościoły w niczym nie przypominają kościoła opackiego w Wies.

Obchodziłem go też powoli, wokoło, wzdłuż tej całej elipsy, nie tyle z nabożeństwem nawet, co jakby z ostrożnością, aby tej całej architektury ulepionej z obłoków i pianki ruchem nieopatrznym nie skazić. Kiedy już minąłem wielki ołtarz, natrafiłem naraz na coś, co w tej pogodzie i harmonii było jakby zgrzytem, jakby słowami hebrajskiego przekleństwa wypisywanymi tajemną ręką na murach sal Babilonu, jakby jakimś memento mori wypowiedzianym w świecie pełnym lipca i słońca. Zamiast białego muru była w tym miejscu szeroka, czarna krata, kuta grubo w żelazie i zatrzymująca na sobie mrok, który czerniał po drugiej jej stronie. Jak wiadomo w wielu klasztorach istnieją takie właśnie kraty i mnisi czy mniszki po tamtej jej stronie słuchają, niewidoczni z kościoła, nabożeństw w kościele. Była to właśnie taka krata. Po mojej, to jest kościelnej jej stronie, paliło się parę wotywnych świec i leżało chyba kilkadziesiąt kartek. Pamiętam, wyczytałem na jednej z nich: ,,Młode małżeństwo prosi o modlitwy dla wytrwania w swych postanowieniach''. Niektóre były zamknięte, jak szkolne ściągawki. Co było na innych nie pamiętam. Domyśliłem się, że w Bawarii jest widocznie zwyczaj podrzucania niejako tą drogą zakonnikom próśb o modlitwy, i że widocznie nie wszyscy odwiedzają kościół w Wies wyłącznie dla celów krajoznawczych. Ale nie wszystkie kartki były tylko takimi jak opisane. Większość, ogromna większość, były to tego rodzaju obrazki jakie i u nas drukuje się po śmierci bliskiej osoby i rozsyła potem znajomym. Obrazki takie, zawsze w czarnej obwódce, zawierają zazwyczaj jakieś zdjęcie zmarłego, jego nazwisko, datę śmierci, jakiś werset nabożny i prośbę o modlitwę. Otóż dziesiątki i dziesiątki, nie, setki takich czarnych obrazków leżało pod czarnymi kratami, które oddzielały kościół od klasztoru w *Wies* i prawie, prawie wszystkie

przedstawiały z jakimś natrętnym uporem młodych, młodych ludzi w mundurach wojskowych z tamtej wojny. W tym pogodnym kościele była to na prawdę jakaś dolina Jozafata, gdzie naraz tłoczyli się oni wszyscy, których prochy gdzieś gniły dawno w cmentarzach wojennych Verdunu czy po poleskich piaskach, i prosili, zaklinali o modlitwy, o pamięć, ze strony ludzi, którzy odgrodzili się od świata ową czarną kratą.—Począłem przeglądać obrazki. — Tyle lat minęło, zdawałoby się od wojny, a oni wszyscy trwali tu i czekali, w pogodzie owego rokokowego kościoła, w w żałobie swych czarnych obwódek i owej przed nimi kraty! Mieli te same mundury żołnierskie, wtedy, w 1934 zapomniane już dawno. Datami ich śmierci były daty odległe : rok 1916, 1917, 1918. Pamiętam, że najwięcej było z roku 1918, i najwięcej było młodych, młodziuśkich twarzy. Obok nazw takich jak *Verdun*, jak *Vittorio Venetto*, jak *Paashaendale*, jak *Amiens*, były też i inne, dziwnie swojsko brzmiące : *Luck*, *Oschmiana*, *Styr*, *Mogilew*, *Lodz*. Wymienione były i pułki : przeważnie wszystko bawarskie. Przypomniałem sobie wtedy, zasłyszaną skądsiś historię, nie wiem czy prawdziwą, że pułki bawarskiej piechoty w czasie tamtej wojny miały bagnety z zębami jak piły. Pewno to była nieprawda, ale wtedy to sobie przypomniałem. Niemiej, choćby nie wiem co by mi przyszło przez myśl na wspomnienie pułków bawarskich, nie mogłem się oprzeć temu wstrząsającemu wrażeniu z jakim czytałem teraz kolejno i przeglądałem jeden po drugim, leżące tuż przede mną dziesiątkami, setkami, owe obrazki. Jakby cmentarz wojenny, ale stłoczony na jednym miejscu, i mówiący nam nie tylko nazwiskami nieznanych ludzi, ale twarzami przede wszystkim, właśnie tymi twarzami, z których wszystkich wyzierała tragiczna, zmarnowana, sponiewierana młodość. I *Verdun* nie dźwięczało mi już heroicznie, a *Oszmiana* w swej wadliwej pisowni nie szumiała swojsko, ani *Vittorio Venetto* nie dźwięczało włosko. Wszystko to cuchnęło wtedy tak samo cmentarnie.

W parę lat później, już na prowincji francuskiej, wobec tylu krzyży i pomników w każdej mieścinie, wyliczających cały haracz krwi, jaki wycisnęła wojna, przypomniało mi się nieraz owo *Wies*, i uświadamiała ciężka ofiara jaką kraje Zachodu, zapłaciły już wtedy. Cała literatura pacyfistyczna i antywojenna, jaką wydały Niemcy Weimaru, *Renn*, *Remarque*, stała za mną owego popołudnia w rokokowym kościele w *Wies*. Prawdopodobnie nie jeden z nas otarł się o nią w owej umarłej dziś epoce, ale nawet gdyby się nie był otarł, musiałby drgnąć uczuciem zbliżonym do grozy na widok owego milczącego świadectwa wydanego wojnie. Była to nie tylko krata modlitw, ale jeszcze i krata oskarżonych : tylko, że oni byli tu ofiarami i oni mieliby prawo pozywać. W pewnym momencie zatrzymałem się dłużej na innej zupełnie kartce. Fotografia tu była dużo większa, dużo większa, i to może przyciągnęło moją uwagę. Podniosłem obrazek. Była na nim niezdarna, koślawa nawet, fotograficzna odbitka z jakiegoś zdjęcia zrobionego pewno w przypadkowej budzie jarmarcznej. Cała niedołężność takiej fotografijki biła z tego zdjęcia. Ale cała ta nieudolność była tu jakby poto, aby podkreślić, że nic na nim nie jest ujęte, ani nic dodane, że właśnie wszystko jest prawdą. Na zdjęciu stał wysoki, smukły chłopak, niemal że jeszcze młodszy od wszystkich innych. Był to typowy chłopak bawarski, za wcześnie wyrośnięty, ciemnowłosy, ciemnooki, o ciemnych, pięknych brwiach, nosie nieco zadartym, głębokim, zadumanym spojrzeniu, ledwo przechodził w mężczyznę. Był w mundurze niemieckiego frajtra i mundur ten był znowu jak dla kontrastu, komiśny, niezgrabny, był ciężki i sztywny i niewygodny i źle noszony i zupełnie się nie kojarzący z człowiekiem na którym go widziano. Tak samo jak nie godziły się ze sobą owa ciepła, parująca młodość, i śmierć chłodna, która ową młodość chwyciła ongi za gardło. Kiedy po raz pierwszy wziąłem ten biedny obrazek do ręki, przypomniały mi się kiście lilowe bzu, roz-

kwitłego przed czasem i mrożonego w tym rozkwitnięciu jakimś późnym nawrotem przymrozków. Chłopak miał, pamiętam, jedną rękę zatkniętą jakoś za pas wojskowy — taki w którego klamrze wije się gotycki napis „*Gott mit uns*" — ale też jakby dla dodania sobie jakiejś rozpaczliwie brakującej pewności siebie. Napis mówił o nim wszystko cobym pragnął tylko wiedzieć, jeślibym to wiedzieć pragnął i jeśli mogłoby to mieć jakieś dla mnie znaczenie. Okazało się, że nazywał się *Kurt Laube*, że był z *Wies*, że służył w 219 pułku piechoty bawarskiej, że padł w maju 1918 roku na froncie zachodnim. Dziś nie pamiętam ani miejsca, ani dokładnej daty śmierci, ale po powrocie do Polski może mógłbym jeszcze powiedzieć. Jeśli moje papiery norweskie przechowują jeszcze dobrzy Francuzi z C . . . w Bretanii, to mógłbym to powiedzieć także. Czy miałem jakieś przeczucie przyszłości ? Czy uległem atakowi kleptomanii ? Czy odezwało się we mnie jakieś uświadamiane własnej wstydliwości uczucie ? Dość, że w pół godziny później gdy śpieszyłem w dół na powrotny autobus z *Landsberg am Lech*, miałem w portfelu moim, schowany ostrożnie, ów niewielki obrazek z którego patrzał na świat, jak wiosną 1918 roku, nieznany mi żołnierz niemiecki, dzieciuch nieledwie, w swym mundurze, który do niego nie pasował tak samo jak wiekowi jego nie przystawała śmierć. Jakże był ogromnie chłopięcy, jakże pełen gorzkiego uroku. Jakie były moje myśli gdy naraz postanowiłem zabrać ów obrazek sprzed kraty w rokokowym kościele bawarskim ? Pamiętam, że myślałem przelotnie o tym, aby go złożyć gdzieś w jakimś polskim kościele : pamiętam, że szukałem w myśli kogoś, coby u nas mógł się za obcego modlić. Ale były to tylko takie tchórzliwe okłamywania samego siebie. Dwa razy brałem ten obcy obrazek do ręki, dwa razy odkładałem go z powrotem, ale nadaremnie ! Jakiś uparty wewnętrzny mus, niewyrozumowany, psychiczny imperatyw, kazał mi wziąć z tego bawarskiego kościoła ową pamiątkę po dawno zmarłym nieznanym mi nigdy niemieckim żołnierzu. Nie mogłem go nie wziąć! Nie mogłem. A przecież miałem wielu bliskich, którzy polegli walcząc z Niemcami w wojnie. Ale śmierć w wojnie nie wytwarza nienawiści. Wytwarza ją inna. Być może, że wziąłem ów obrazek jak zrywa się kwiaty w obcym kraju, jak żołnierz wlecze za sobą nieużyteczny, zdobyczny hełm. Dosyć, że wziąłem. Miałem u siebie pamiątki z Hiszpanii, z Grecji, z Rosji, z Wilna i z Wołynia, z Danii i Palestyny. Miałem rzeczy nawiezione ze wszystkich krajów, o które zawadziło moje życie, łakome i niespokojne. Wyniosłem z owej włóczęgi bawarskiej ów czarny obrazek, z którego patrzył zawsze smutno zdumiałymi oczyma młodziutki *Kurt Laube*, gefreiter bawarskiego pułku piechoty. Może nawet mam go i dotąd. To zależy od tego jaki był los moich książek, zbieranych z takim mozołem w latach młodych, trudnych i głodnych. Kiedy zimą francuską 1939 na 1940 roku myślałem o nich, — a wiedziałem, że Niemcy poddali je dokładnemu przeszukiwaniu, — zastanawiałem się czasem, jakie wrażenie wywołało na nich odkrycie w jednej z takich książek, owego wojennego obrazka ? Oczywiście ani na moment nie pomyślałem wtedy, jak nie pomyślałem i w *Wies*, że nie jest to jeszcze dla mnie zupełnie zakończona historia.

* * *

Nowe, drugie z kolei stanowiska, na jakie przesunięto nasz pluton, było już poprzedzone złą sławą, o której mieliśmy się niebawem dość dobitnie przekonać. Teren był tak samo pofalowany, tak samo poznaczony niskimi krzaczkami, i tak samo leżały na nim jeszcze siwe płaty śniegu, jak na poprzednim. Ale widziało się stąd jedynie skąpy skrawek fiordu. Port narvicki znikał zupełnie za wygarbem górskim, spoza którego wyzierało już tylko samo miasto. Narvik wydawał się stąd dalszy jakiś, bardziej niedostępny. Ale nie było czasu o tym i myśleć, bo pozycja

wcale nie nadawała się do kontemplacyj. Zdawna uważano ją za najgorszą na całym tym odcinku. Była tak złą, że musieliśmy czekać na mgłę, aby zluzować tamtych. Całe czternaście godzin w górach, bez ciepłego pokarmu.

Kiedyśmy ją już zajęli i kiedy mgła poczęła się rozpraszać, zobaczyliśmy przed sobą najbardziej nużący teren, jaki można sobie było wystawić na tych norweskich upłazach. Nikt nam nie umiał wskazać gdzie są placówki niemieckie, ale były blisko. Wszystko rozpadało się w jakichś zaroślakach. Nad tym niewyraźnym tle sterczała tylko samotnie, pomiędzy nami a Niemcami, grupa trzech świerków, czy sosen. Ich gęsta czarna plama przezierała nawet przez mgłę. Nie było dalej niż dwieście pięćdziesiąt metrów. Może i to nie. Ale poza nimi wszystko gięło się tam, ginęło w krzakach i trawach, w płowiźnie wyrudziałej pod śniegiem. Było nieruchome i czujne. Po godzinie mieliśmy już jednego trupa. Czujka, wyrzucona nieco przed naszą pozycję, odwróciła się od nieprzyjaciela i zapytała o coś, czy też chciała coś powiedzieć. Widocznie podniósł za bardzo głowę. Dostał w samą szyję i pobluzgało mu cały mundur. Leżał przy nas dwa dni, bo mgła nie nadeszła, a bez mgły baliśmy się ściągnąć go w dół.

Wszystkie opowiadania i przestrogi zapomina żołnierz po minucie. Ale trupa kolegi nie zapomina się tak szybko. Zwłaszcza gdy jeszcze leży tak przy was, z twarzą zakrytą płaszczem. Jakby spał. Nikt się już nie wychylał, i nigdy nie pracowano tyle peryskopami, co wtedy. A mieliśmy tylko dwa na pluton. Wyzierały swymi metalowymi rurami, ale nie dostrzegły niczego. A trupa dalej nie ściągnięto, bo właśnie kiedy z doliny, z kuchni, nieśli nam na drągach obiad na pełny stan, postrzelono dwóch. Ledwo tylko wyszli ku nam z lasu, na puste. Jeden był lekko ranny, ale drugi jakoś się źle kurował. Odwiedzałem go potem w *Balangen*, kiedyśmy już wiedzieli wszystko. Dopiero o drugiej w nocy, kiedy nawet ta północna norweska noc jest bardziej do nocy podobna, jeden podpełzł od nas ze sznurem i potem windowaliśmy na pozycję te porzucone przez rannych termofory. Były cholernie ciężkie i zaczepiały się o każdy wykrot. Jeden się otworzył i wszystko było zamrożone na kość, ale drugi był gorący. Usta sobie bractwo popiekło.

Następnego dnia odpełzł sobie na bok kapral Chudzik, z jedenastej drużyny. Był z Nowego Sącza i chwalił się, że zna góry i że za tamtym wykrotem nikt go nie dopatrzy. Dopatrzyli, ledwo tylko spodnie sobie spuścił, i ustrzelili. Dostał trzy kule, wszystkie w pierś i brzuch, zakręcił się tylko i zaskrzepł.

W plutonie już szedł pomruk :

— Jedzenia już nie dopuszczają, a teraz jeszcze i na stronę nie można. Niechby tak Katanów* tu dali, niechby zobaczyli!

Ale zawziętość poczęła podnosić się także, a ile razy kto popatrzył na te trupy, z których każdy swoje godziny przy nas przeleżał, to ją sobie jeszcze bardziej naostrzał. Było jasne, że ktoś podkrada się gdzieś pod nasze linie i potem stamtąd, zaczaiwszy się, wali. Kapral Gruda, który był w Hiszpanii, opowiadał coś niecoś o takich strzelcach wyborowych, których posyła się tak właśnie, i że z tym mieli dużo biedy w *Guadarramie* i w *Casa del Campo*. I nawet porucznik słuchał go uważnie, bo choć nie lubił go za pyskatość i brak fasonu, to jak dochodziło do frontu, z nikim się tak nie liczył.

Ale wieczorem wystarczyło aby się wychylił, nic, tylko aby stanowisko trawą opatrzyć, Józek Stanisz z mojej drużyny, i dostał w plecy jak nic. Nigdy tam nie padał strzał daremny. Te dwa w Józkowe plecy daremnymi nie były. Męczył się długo i próżno. Jedna kula musiała mu poharatać coś w stosie pacierzowym, bo sparaliżowany był zupełnie. Cały

* Francuzów

czas płakał. A gdy mu się usta wyprostowały, po skonaniu, miał je całe pogryzione do krwi.

Nim jeszcze skończył, już sytuacja była zupełnie nie do wytrzymania. Porucznik posłał meldunek o tym wszystkiem, a sztab odpowiedział, żeby nadesłał wnioski i że nas zmienią nie wcześniej jak przed tygodniem. Było źle. W trzech dniach straciliśmy pięciu, jakby ich kto zdmuchnął niewidzialny. I nic. Jedni zaczęli pyskować coraz głośniej, drudzy zacięli się jeszcze bardziej. Chudzik przyjaciół nie miał, chyba takich co mu tam jeszcze po śmierci wygarnęli z kieszeni co było. Ale Józek Stanisz był lubiany przez wszystkich. Przez Grudę chyba najbardziej. I wtedy właśnie Gruda zameldował się na czujkę i poszedł z peryskopem. Chłopcy mieli do Grudy zaufanie. Pomyśleli, że teraz coś będzie. Lepiej się poczuli także i dlatego, że poczęła nadchodzić mgła, górska, mokra, jak wata. Wtedy ślepia trzeba było wytężać w to białe, ale tamci też widzieć ani strzelać nie mogli.

A Gruda naraz, żeby go posłać na patrol.

Porucznik się nie godził. Raz że regulaminowo jednego na patrol posyłać nie wolno, po drugie, że już marnować ludzi nie chciał. Tam w dole, w sztabie, pewno mu nie będą wdzięczni za tych kilku. Ale wreszcie przystał. Gruda miał zejść sam i na swoją rękę „przepatrzyć teren". Gruda wysłuchał tego wszystkiego z obojętną grzecznością. Wiedziałem, i porucznik wiedział, i wszyscy wiedzieli, że on zrobi po swojemu, i że to po swojemu będzie najlepsze.

I poszedł.

— „Już ja wam tego sk . . . syna dostanę", powiedział na odchodnem.

I wtedy właśnie przyszła nam po raz pierwszy myśl, że tam jest tylko jeden określony wróg. Jeden człowiek. Zaczaja się gdzieś i śmierć nam posyła swymi kulami. Porucznik wprawdzie mówił dużo o słynnym ogniu pośrednim ckmów, o jakimś niemieckim punkcie obserwacyjnym na górze nad Narvikiem, o doskonałych szkłach, aleśmy coraz mniej wierzyli w to wszystko. Już bardziej wierzylibyśmy wkrótce w czary. Gdyby tak zeszło jeszcze kilka dni i padło jeszcze paru, wierzylibyśmy w nie chyba na pewno. W tych górach samotnych, tę niewidzialną, szybką w swym ukąszeniu śmierć, musiało nasyłać Złe.

Gruda miał wrócić po godzinie. Wrócił po trzech. Zbliżało się już chyba południe, i już mgła miała się przerzedzić. Jako pierwsza tego oznaka przebiło się wyraźniej smutne polarne słońce, potem zamajaczył, jak żagiel czarny, cień owych świerkowych gałęzi. Potem z mgły poczęło wyzierać wszystko, powoli, ale coraz wyraziściej. A Gruda jakby się śpieszył. Nawet nie opuścił się w dół do porucznika, tylko zaraz: „Panie podchorąży, podciągniemy my te maszynki, tamtą o, i tą ?" Było coś takiego w tym pytaniu, że jakbym ja nie podciągnął, to by chłopcy i tak podciągnęli. I był jakiś nerwowy, radosny pośpiech. — Tak, tak, mówił Gruda: tak, o, tak . . .

Pomyślałem, że tak wysunięte będą przecież widoczne od razu już za kilkanaście minut, gdy mgła odejdzie zupełnie. Ale Gruda nastawiał już mój erkaem, jakby nie ufając, że ja zrobię to dobrze. I znowu czuło się, że tym razem coś się odmienia na pozycji.

Leżeliśmy teraz przywarci, on do tamtego, ja w niskiej trawie. — Pomyślałem na moment, że tak właśnie leżał Józek Stanisz i że lepiej już w głowę odrazu, niż w kręgosłup.

Aż głosem do ziemi, jak warknięcie, poderwał Gruda:—Panie podchorąży, a teraz, długą serją, długą, najdłuższą . . . prosto w te świereczki, w te świerczynki . . . w górze, w górze. Tam on się utaił za tej mgły.—

— Na drzewie ?

Mgnienie olśnienia nagłego, niespodziewanego, przeszło przez mózg.

Na prawdę olśnienie. Nawykliśmy do tego, że przeciwnik leży, że czołga się, wtula w ziemię. Tego nas uczono. Drzew nie braliśmy pod uwagę. Czarna płachta świerków czerniła się przed nami obojętna, nie dostrzegana. A właśnie . . .

Obie ser'e rozświergotały się naraz i od tego huku samego zrobiło się nam wszystkim radośnie. Ten huk był potrzebny. I naraz doznałem tego samego uczucia, jakiego doznaje myśliwy, w mgle porannej poleskiej, kiedy z drzewa przed nim zrywa się szumiąc głucho łopotem, jakiś ospały a spłoszony, ptak. Tylko ptak się nie zerwał. Wielki czarny kształt odrywał się od czerni świerszczyny i spadał poprzez gałęzie wdół. Erkaemy trzęsły się rechotem swych seryj. Kiedy kształt obsunął się w niż już szybciej, kiedy ugiął się w upadku o ziemię, nabrał naraz wyrazistości. Był człowiekiem.

Gdzieś, z niewykrytych, wtulonych w mech pozycyj niemieckich, rozdzwoniło się ujadanie tamtych maszynek, ale było poniewczesne. Myśmy nawet odciągnęli nasze. Nie raczyliśmy odpowiadać. Pozycję całą, w owe mroźne dosyć rano, rozprężać poczęła rozkoszna, radosna ulga. Wszyscy cisnęli się do peryskopów, aby go widzieć. Tam, pod drzewem. Przez szkła widzieliśmy go dokładnie. Musiał konać dosyć długo, bo grzbiet jego podnosił się i opadał, jakby się krztusił. Aż ostatecznie opadł. Koło południa. I zesztywniał. Właśnie wtedy, gdy Gruda opowiadał jak to „przycupnąwszy se we mgle“, zobaczył Niemca, jak podkradał się korzystając z mgły pod drzewo. Nie mógł wtedy strzelić, nie ruszył się, i dopiero gdy zrzedła, wrócił do nas. Dzień w ogóle był mglisty, i kiedy popołudniu znowu zaczęło się mglić, porucznik wysłał dwuch ludzi aby obszukali zabitego i wzięli co przy nim było. Ochotników tym razem nie brakło. Wrócili dosyć prędko. Porucznik pisał meldunek o wszystkim do sztabu, goniec miał zaraz zanieść. Mnie kazał „podyktować dane“. (Sam po niemiecku nie czytał.) Na pniu leżały dokumenty Niemca. Portfel, książeczka wojskowa, pistolet automatyczny, lornetka Zeissowska. Był o 250 metrów od pozycji: jakżeby nie miał w nas bić jak do kaczek!

Porucznik pisał, a ja wziąłem właśnie do ręki wojskową książeczkę Niemca. Wszystkie wojskowe książeczni są jakieś sobie podobne. Ta była pisana gotykiem, dawno już nie czytałem gotyku, więc szło mi to trudniej. Porucznik tymczasem czytał, pisząc, i . . . urywał:

„*Z załączonej książeczki wojskowej NR . . .*“.

Podałem mu numer.

„*Wynika, że był to . . .*“.

„Starszy strzelec“ — przetłumaczyłem.

Nazwiskiem ? ciągnął dalej porucznik.

I naraz, zatrzymało mnie to nazwisko.

— Co, nie może Pan odczytać, pytał porucznik.

— Nie, mogę, odpowiedziałem, owszem. Nazwiskiem *Kurt Laube*. L, A, U, B, E, — *L, jak* . . .

Nie, nie widziałem jak L . . . Ale porucznik pytał dalej. Pytał jak w ewidencji:

„Urodzony?“

A ja odpowiedziałem, jak w ewidencji. Zupełnie jak w ewidencji. Tyle razy miało się z tym do czynienia.

„Urodzony w Wies, dnia 17 septembra 1917 roku. *Wies*, pisze się W, I, E, S.

— Wieś? przeczytał sobie porucznik. To może ze Śląska?

— Nie, panie poruczniku, odpowiedziałem znowu: to w Bawarii. Niewielka mieścina w południowej Bawarii.

— Skąd pan to wie, zaciekawił się naraz porucznik. Jeżeli niewielka

mieścina? W Bawarii? A to brzmi tak po polsku. Pan zawsze wszystko wie . . .!

— Odpowiedziałem jakimś niezwyczajnym sobie głosem, ale chyba przekonywująco :

— Wiem, bo kiedyś tam byłem : tam jest bardzo piękny rokokowy kościół. Najpiękniejszy rokokowy kościół na północ od Alp . . .

— Niech pan podaje dalej, przerwał porucznik, tu goniec czeka, do sztabu musi podać meldunek jak najprędzej! Po wojnie sobie pogadamy o rokokowych kościołach.

Podawałem dalej rzeczy zupełnie nieważne. Raz jeszcze drgnąłem trochę. Zabity miał Eisernes Kreuz piątej klasy za ,,Feldzug in Polen" nadany 1 października 1939 roku. Aktem datowanym z Dubiecka. Stało wyraźnie : ,,*Dubiecko*". Nawet pisownia była polska. Przez ,,c".

Porucznik wyszedł pokazać gońcowi którędy ma wracać gdyby nie było za powrotem mgły, ja zostałem w ziemiance. Raczej norze, wygrzebanej w ziemi i oszalowanej gałęziami. Otworzyłem jeszcze portfel, i przeglądałem papiery. Miał ich niespodziewanie sporo : żołnierz wysłany tak jak on, nie powinien mieć ich tyle. Jakieś listy kobiece z Deutsch Przemyśl, jakieś listy po niemiecku. — Pisma kobiece. — Poświadczenie jakiegoś dyplomu. — Nieważne.

— Co pan tak tam szuka? zapytał porucznik.

— Nic . . . , przyznałem się : . . . nic. Czy niema on fotografii? Takiej jak to po śmierci się robi? Z obrazkiem żałobnym. Z tamtej wojny . . .

Tym razem znowu porucznik musiał pomyśleć, że szukam nie wiem czego. Ale był to człowiek rzeczowy, więc rzekł tylko :

— Tam była jeszcze ta fotografia kobieca i ta pocztówka kolorowa. Kościół. Pewno ten, o którym Pan mówił.

Rzuciłem się na obie. Fotografia była rzeczywiście kobieca, nic mi nie mówiąca. Ale z kolorowej pocztówki z kilkoma słowami pozdrowień patrzyło na mnie białe, pogodne wnętrze rokokowego kościoła w *Wies*. Tak jasne i lekkie i świetliste i niezmącone, jakby nic się nie stało i nie zmieniło w świecie. Jakbym ja nie znał w nim takiej kraty, całej czarnej i z mrokiem za sobą, u której tłoczą się niewielkie obrazki w żałobnych obwódkach, i wśród których brak jednego który zabrałem ongiś, bardzo dawno, nie wiedząc ani wtedy, ani teraz, czemu to zrobiłem — i po co. —

ŁUCJAN ŁAGNIEWSKI

GRUDZIEŃ 1939

II.

Środa, 13 *grudnia*.

Po południu wyjazd z Y. Opuszczamy miły dom, który zresztą już ma nowego, takiego jak my, gościa . majora F., który pójdzie na Węgry jutro, ale innym szlakiem, aniżeli my. Dziękuję pani domu i szybko idę do furmanki, by nie być przy rozstawaniu się matki z synem. Człowiek w tej wojnie niby stwardniał, a jednak pożegnania takie kłują wspomnieniem innych, własnych rozstań, i zwiększają brzemię, które nam wypadło dźwigać, zawsze i wszędzie, gdziekolwiek losy nami teraz rzucają.

Jazda do X. nie obfitowała w ciekawsze wrażenia. Zgodnie z zapowiedzią Wojtka, patroli niemieckich istotnie nie było na tym szlaku. Także ze strony ludności ruskiej nikt nas nie niepokoił ; ufni w posiadane dokumenty niemieckie, przejeżdżaliśmy śmiało nawet przez takie osiedla, które

uchodziły za szczególnie „niebezpieczne“ : nikt w nich nie zwracał na nas uwagi i nigdzie nie natrafiliśmy na milicję ruską. Zastanawiałem się nawet, czy aby opowiadania o niebezpieczeństwie grożącym ze strony Rusinów nie były wyolbrzymione. Ale zarówno przewodnik, jak i Wacek, zapewniali, że istniało ono rzeczywiście i udowodniali to szeregiem przykładów.

Wojtek okazał się pierwszorzędnym gawędziarzem, to też z zainteresowaniem słuchaliśmy jego opowiadań o przygodach na wojnie światowej i bolszewickiej, oraz o przeżyciach w czasie ostatnich wypraw na Węgry. Chwalił się, że do tej pory przeprowadził szczęśliwie wszystkich ludzi, którzy mu się powierzyli—formujące się za granicą Wojsko Polskie zawdzięcza mu już coś ze dwudziestu i pięciu ochotników. Ba, przydarzył mu się nawet taki kapitan, co to nie mógł długo chodzić, bo miał poranione nogi : Wojtek przebrał go za chłopa, wsadził na wóz — z kozą, i podwiózł tak nieomal pod samą granicę, niby że kozę do capa wiezie. . . . Natknęli się aż dwa razy na milicjantów, ale ci ich nawet o nic nie pytali — przecie widzą kozę i rozumieją ten capi interes . . .

W X. zajechaliśmy do jakiejś chałupy, gdzie mieliśmy spędzić noc. Mogliśmy się tu przekonać, że wybierając Wojtka na przewodnika, weszliśmy w tryby mechanizmu ze sobą zgrane, wyregulowane i wypróbowane. Baba, które nas przyjęła, niczemu się nie dziwiła, o nic nie dopytywała, wiedziała co z nami począć i co nastąpi dalej. Wojtek gdzieś na noc pojechał, miał powrócić rano. W ciągu nocy miał ktoś do chałupy przybyć, kto wraz z Wojtkiem miał nam nazajutrz towarzyszyć w wędrówce. Tymczasem dano nam jeść i wskazano, gdzie ułożyć się do snu. Mnie z Wackiem przypadło duże, stosem pierzyn poprzykrywane łóżko małżeńskie, N. dostał szeroką ławę z dobrze wypchanym siennikiem. Poszliśmy spać wcześnie, bo wszakże na drugi dzień czekał nas długi i trudny marsz.

* * *

Czwartek, 14 *grudnia*.

A jednak w mechaniźmie okazały się jakieś niedociągnięcia czy niesprawności. Nie rozumieliśmy ich dobrze, bo Wojtek nie wtajemniczył nas we wszystkie szczegóły organizacyjne wyprawy. Faktem jednak było, że oczekiwany kompan nie pojawił się aż do rana. Gdy Wojtek wrócił ze swej nocnej wycieczki i dowiedział się o tym, zmartwił się, czy tamtego aby „psiekrwie nie trzasnęły“, po czym popykał w milczeniu fajeczkę i zdecydował, że zaczekamy na niego, choćby do jutra. Prosiliśmy go o wyjaśnienia, ale zbył nas krótkim-„tak trzeba“, więc nie było innej rady, jak poddać się losowi.

Nie wolno nam było wychodzić z chałupy, więc przez cały dzionek oddawaliśmy się rozmowie, słuchaniu gawęd Wojtka, spaniu, ba, nawet znowu kartom : N. próbował, czy szczęście się aby nie odmieniło na jego korzyść, wróżba jednak wciąż się potwierdzała, więc dał spokój . . . Wojtek okazał duże zainteresowanie dla zagadnień politycznych i prosił, by mu powiedzieć, jak te „Hitlery“ opanowały Niemcy ; wygłosiłem mu dłuższy referat na ten i na inne aktualne tematy — Wojtek był słuchaczem uważnym i wdzięcznym, a stawiane przezeń pytania dowodziły inteligencji i trzeźwości w podchodzeniu do zagadnień ogólnych.

Pewne urozmaicenie przyniosła nam wizyta — żołnierza niemieckiego. Sygnalizowano nam jego nadejście, nim zdążył przedostać się przez furtkę, przekroczyć podwórze i przejść przez ciemną sionkę. Dwaj z pośród nas przeszli do drugiej izby, by przybysz nie ujrzał tylu obcych twarzy. Był to znowu „pospolitak“, z oddziału wartowniczego ; przyszedł, by coś omówić, czy też coś kupić od naszej gospodyni. N. wdał się z nim w rozmowę, w trakcie której żołnierz zapytał go, co tu robi i obejrzał dokument, posiadany przez N. Tak okazało się, że na nasze papiery można

nabierać także i Niemców. Wojtek pokiwał co prawda potem sceptycznie głową :

— Świstkami tymi zaćmicie tylko takiego ćmoja od piwa i od pierzyny. Nie daj wam Panie Boże spotkać Gestapo . . .

* * *

Piątek, 15 *grudnia*.

Tajemiczy kompan nie zjawił się nadal, ale dał przez kogoś znać o sobie, wyznaczając Wojtkowi spotkanie tegoż wieczora, gdzieś na szlaku naszego dalszego marszu. Wobec tego o ósmej rano Wojtek zarządził odmarsz.

Zaraz za domem płynęła kotlinką rzeczka, poprzez którą nieco dalej przerzucony był drewniany most. Przez most ten szło właśnie kilku żołnierzy niemieckich w tym samym, co my, kierunku. Wobec tego przekroczyliśmy rzeczkę dołem, po kamieniach, a potem wzięliśmy od razu duże tempo, aby Niemców wyprzedzić.

Wyszliśmy na drogę, wijącą się w dolinie obramowanej pasmami zaśnieżonych wzgórz. Dzień był dobry do marszu, chłodny i suchy. Wchłaniałem pełną piersią górskie powietrze i z przyjemnością wsłuchiwałem się w rytm naszych kroków. Oto pierwszy mój taki marsz od września, od mego tragicznego powrotu z wojny ; marsz w przestrzeń, z silnie wytkniętym celem. Czułem, jak ściśle się ten marsz zazębia z tamtym poprzednim, i z tymi, które mię miały czekać później. Tak, wszystkie one stanowiły całość, wszystkie były warunkiem urzeczywistnienia się jednego, końcowego celu — to jest jednego, końcowego marszu . . .

Ruch na drodze nie był duży. Czasem wyprzedziła nas furmanka, czasem wyminął chłop, lub baba z koszem. Wojtek tłumaczył nam swój plan. Idąc tak drogą, doszlibyśmy do rejonu granicznego gdzieś w ciągu nocy. Sęk w tym, że wnet zaczniemy podchodzić do miejscowości bardziej przez Niemców pilnowanych. Żeby to był dzień targowy, moglibyśmy skorzystać ze wzmożonego ruchu i iść drogą dalej, ba, nawet jechać furmanką. Ale dziś byłoby to zbyt ryzykowne. Trzeba więc nam będzie za kilka godzin zejść z drogi i przedzierać się bokami, od wzgórza do wzgórza, poprzez zbocza i szczyty. Utrudni to nasz marsz i przedłuży ; czasem, w miejsce kilometra, wypadnie nam zrobić siedem wertepami. Trudno, inaczej nie można.

By jak najmniej zwracać na siebie uwagę, rozdzieliliśmy się na dwie grupki, posuwające się niezależnie od siebie w odległości około kilometra. N. szedł z Wojtkiem, ja z Wackiem. Jeden i drugi mówili biegle po rusku, co było ważne przy zetknięciach się z Rusinami. Wsi zresztą były gęsto przemieszane, polskie z ruskimi ; czasem były one w części polskie, w części ruskie. Wacek znał dobrze te strony. Gdy przechodziliśmy przez jakieś osiedle, przyczepił się do nas parobczak, idący w tę samą stronę. Przez jakiś czas patrzył na nas nieufnie, potem, zagadany po rusku przez Wacka, dał się wciągnąć w rozmowę. Brałem w niej pewien udział i ja, potakując i śmiejąc się wtedy, gdy sądziłem, że treść rozmowy tego wymaga — na więcej nie pozwalała mi moja zupełna nieznajomość języka. To też poczułem ulgę, gdy parobczak nas opuścił w następnej wsi.

Słońce już stało wysoko, gdy doszliśmy do wsi W., malowniczo położonej przy strumieniu i kolei ; wedle planu pierwotnego, jaki ułożyliśmy sobie w Warszawie, do tej miejscowości mieliśmy dotrzeć na własną rękę i tu właśnie wyszukać sobie przewodnika. Zaraz za wsią Wojtek dał sygnał do zejścia z drogi. Przekroczyliśmy strumień, potem poszliśmy kawałek bruzdą, aż dotarliśmy do lasu, pod samo wzgórze.

Zaczęła się wspinaczka nietrudna, ale niemniej męcząca. Przypomniały mi się dzieje mojej pierwszej wycieczki narciarskiej w Alpach gdy, jako narciarz zaledwie początkujący, przyłączyłem się do grupy narciarzy wytrawnych, udających się na wyprawę łatwą, ale dosyć daleką : gdy wtedy, po

szeregu godzinach wspinania się, dotarliśmy do szczytu, z którego mieliśmy zjechać, słaniałem się z wyczerpania, niemal niezdolny do kontynuowania wycieczki. Teraz wspinaczka trwała o wiele dłużej, a że nie mieliśmy nart, więc zapadaliśmy się raz po raz w śnieg, czasem po kolana. Z tym wszystkim trzymałem się nieźle, ale z pewnym niepokojem myślałem o tym, że po tym marszu czeka nas przeprawa całonocna, w warunkach jeszcze uciążliwszych. Wojtek prowadził nas tak, by nie wychodzić na zbocza widoczne od strony dróg i osiedli; gdy to było miejscami niemożliwe, przekraczaliśmy otwarte przestrzenie biegiem. Odpoczywaliśmy nie często i tylko na krótko: Wojtek nas ponaglał, bo chciał byśmy przybyli bez spóźnienia na miejsce spotkania z tajemniczym jego wspólnikiem. Tak przeszliśmy pasmem wzgórz ponad miejscowością X i potem Y; nad tym ostatnim miasteczkiem wypoczęliśmy nieco dłużej i posililiśmy się leżąc na śniegu i spoglądając poprzez zarośla na rozrzucone w śnieżno-białej dolinie miniaturowe uliczki i domki. W jednym z tych domków, w środku miasteczka, mieściła się placówka Gestapo — centrala niebezpieczeństw, wiszących nad nami w tej podróży.

Pod wieczór wzmogliśmy tempo naszego marszu jeszcze bardziej; schodziliśmy już teraz stale na dół, i to lasami, a więc nie musieliśmy się już troszczyć o ukrycie. Wojtek, który dotąd gawędził bez przerwy, umilkł, więc mogliśmy się oddawać własnym myślom. Słońce kładło się czerwoną tarczą na zachodzie, jakby wytyczając nam kierunek naszych dalszych przeznaczeń. Czy znajdziemy się we Francji już na Boże Narodzenie? Jak tam wygląda to Wojsko Polskie, do którego zdążamy? Starałem się zestawić sobie wszystko to, co o nim od października słyszałem: nie było tego dużo, a bezpośrednim źródłem mych informacji było mniej radio, aniżeli opowiadania ludzi, oparte nieraz nie wiadomo na czym. Naczelnym Wodzem był Sikorski. Wiedzieliśmy, że wśród dowódców znajdują się Sosnkowski i Burhardt-Bukacki. Ludzie twierdzili, że nasze wojsko we Francji liczy około stu tysięcy żołnierzy, z których część już bierze udział w walce — ktoś nawet mówił o dużych stratach. Pono przybywający z Polski oficerowie muszą wykazać się z swej roli w kampanii wrześniowej, a wobec nadmiaru oficerów przyjmuje się ich tymczasowo w stopniach podoficerskich. Wojsko jest pono dobrze wyekwipowane w sprzęt, zwłaszcza w samoloty i czołgi. Ba, ktoś nam w kawiarni w Warszawie opowiadał nawet o szczegółach umudurowania: żołnierze polscy noszą pumpy i wysokie, sznurowane buty francuskie. . . . Byłem skłonny wierzyć nawet w takie szczegóły—i cieszyła mnie myśl znalezienia się, oby wnet, w ramach zwartej, sprawnej, jednym duchem ożywionej, formacji.

Słońce opadało niżej, jeszcze przeświecało przez konary, w końcu zapadło się za wzgórze. Ciemno już było, gdy zeszliśmy w dolinę, przedostali się na drugą stronę drogi, obeszli łukiem jakieś osiedle i dotarli do dużego zabudowania. Po chwili leżałem w obszernej, niskiej izbie na ziemi, z głową opartą na zwiniętym płaszczu, i z rozkoszą wchłaniałem w siebie świadomość, że już tu jesteśmy, że mogę tak leżeć i czuć, jak krew pulsuje w zmęczonych nogach.

* * *

Nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego, co się dzieje naokoło mnie. Właściwie było mi to obojętne. Ale po pewnym czasie, bez mego wysilenia się, obrazy zaczęły mi się układać i odtwarzać kontury rzeczywistości, w której znaleźliśmy się. Budynek, w którym przebywaliśmy, był — nie dowiedziałem się tego dokładniej — gospodą, leśniczówką, czy może barakiem robotniczym. Zza ściany słychać było głośne rozmowy w języku ruskim i podśpiewywania większej liczby mężczyzn. Z nami w izbie przebywał tylko starszy, chudy wąsacz, gajowy czy może rządca. Przyrządzał nam herbatę, od czasu do czasu przysłuchując się głosom zza ściany i nakazując nam ciszę. Coś do nas też czasem szeptał — rozumiałem z tego, że

Niemcy każą mu się stąd wynosić, że jest to dla niego ciosem, ale że na pewno tu wróci, skoro tylko powrócą nasi. Herbata była gorąca i słodka ; piłem ją z rozkoszą, czując jak wlewają się z nią we mnie nowe siły.

Potem skądeś przyszedł Wojtek z młodym człowiekiem, odzianym w kurtkę sportową i w czapkę narciarską, o chytrej minie parobczaka silącego się na ,, miejskość.“ Wojtek nam wytłumaczył, że to jest właśnie kompan, o którym mówił nam uprzednio ; że on to doprowadzi nas do granicy, bo sam Wojtek musi już wracać. Coś to się nie zgadzało z jego dawniejszymi zapowiedziami, że pójdzie z nami dalej, a także mi żal było jego towarzystwa i gawęd; ale poza tym było mi ostatecznie wszystko jedno, byle szczęśliwie dotrzeć na Węgry, i byle tu jeszcze móc trochę wypoczywać. Lecz nowy przewodnik zaraz oświadczył, że jeżeli mamy dojść do granicy przed świtem, to nasz odpoczynek tu nie może trwać dłużej, niż przez półtora godziny, i zapowiedział odmarsz na dziewiątą. Zdziwiłem się, usłyszawszy tę godzinę — myślałem, że już jest o wiele później. Gorzej, że przerwa ta miała być tak krótka : czułem w nogach nie tylko zmęczenie po całodziennym brnięciu przez śnieg, lecz także pobolewanie w niedawno zabliźnionych ranach po obu postrzałach. Ale nie było rady ; rozumiałem, że marszu nie podobna odkładać. To też na dane hasło zwlekliśmy się z naszych legowisk do drogi. Wojtek pożegnał nas serdecznie, a Wacka nawet ze wzruszeniem. Chciałem wetknąć kilka złotych wąsaczowi, który nam dał gościnę, ale nie przyjął : położył żylaste dłonie na mych ramionach, musnął mi twarz wąsami, i wyszeptał życzenia szczęśliwego dostania się tam, dokąd zdążamy, i równie szczęśliwego kiedyś powrotu.

* * *

Noc z 15-16 grudnia.

Noc była ciemna, bezksiężycowa. Zagłębiliśmy się w nią za naszym nowym przewodnikiem, z trudnością odrywając się od nastroju izby, w której dopiero co drzemaliśmy, jej dusznego ciepła i zapachu nafty. Niełatwo było wżyć się w nowe środowisko, w ciemność, w zimno, w wilgoć, włożyć się w rytm marszu.

Śnieg był teraz twardszy, niż za dnia, to też już nie zapadaliśmy się weń tak często i tak głęboko ; za to, przy przekraczaniu strumienia, wpadłem jedną nogą w mroźną wodę aż po kostkę ; miało to tę dobrą stronę, że rozprószyło mi resztki senności i odrętwienia. Szliśmy teraz gęsiego, jeden tuż za drugim. Było nas już, prócz przewodnika, czterech, bo na ostatnim postoju przyłączył się do nas nowy towarzysz : nieduży, krępy, o ideowej twarzy inteligentnego rzemieślnika. Szliśmy lasem, przez zbocze góry. Nie byliśmy jeszcze bardzo oddaleni od wsi, więc mogliśmy mówić tylko szeptem ; ale i tak nie byliśmy skorzy do rozmów. W miarę, jak wspinaliśmy się wyżej, zarośla stawały się gęstsze i trzeba było torować sobie drogę przez nie rękoma. Starałem się posuwać się jak najbliżej pleców przewodnika idącego przede mną, nie tylko by się nie zgubić, ile przede wszystkim, by unikać uderzeń rozchylanych przez niego gałęzi. Niemniej już po niedługim czasie miałem twarz podrapaną i poobijaną, a ubranie podarte. Potykaliśmy się ustawicznie o korzenie drzew i raz po raz któryś z nas kładł się jak długi, tłukąc się boleśnie o drzewa lub kamienie. Byliśmy mokrzy, bo z zarośli zsypywała się na nas okiść mokrymi płatami śniegu. Marsz ten dawał mi się porządnie we znaki. Przy tym przewodnik nadawał mu tempo szybkie. Czasem wypoczywaliśmy, ale miałem wrażenie, że ledwie zdążyłem rozłożyć się na śniegu i odsapnąć, już trzeba było wstawać i iść dalej. Zmęczenie me powiększał fakt, że byłem zbyt ciężko ubrany : gdy w Y. likwidowaliśmy nasze plecaki, żal mi było rozstać się z wiatrówką i ze swetrem, włożyłem więc jedno i drugie na siebie, pod kurtkę i płaszcz. Teraz mi to wszystko krępowało ruchy i nieznośnie ciążyło ; niemniej uparłem się i niczego nie porzuciłem.

Doszliśmy do szczytu i schodziliśmy drugą stroną wzgórza. To zbocze nie było zalesione i stanowiło wspaniałą trasę narciarską ; cóż, kiedy nie mieliśmy nart. . . . Za to znowu częściej zapadaliśmy się w śnieg. Było tu mniej ciemno, niż przedtem w lesie, więc nie trzymaliśmy się już tak ściśle pleców poprzednika. Ale i tu widzialność nie była duża : ołowiane niebo nie rozjaśniało kładącej się przed nami przestrzeni śniegowej, przybierającej barwę od szarej do sino-granatowej i kończącej się zarysami wzgórz zlewającymi się z mrokami nocy.

Dotarliśmy do nowej góry, trzeba się było znowu wspinać i przedzierać przez zarośla. Potem zeszliśmy w dół, skosem przez pola, znowu przez wzgórze i przez las. Przewodnik zarządzał teraz odpoczynki częściej i na dłużej. Byłem z tego rad, po pewnym jednak czasie zaniepokoiło nas wszystkich, że w przerwach rozgląda się on niespokojnie po zarysach krajobrazu : czyżby nie był pewny drogi ? Gdy się to znów powtórzyło, zagadnęliśmy go. Nadrabiając miną wyjaśnił, że chcąc skrócić drogę, zeszedł ze znanego sobie szlaku i teraz kombinuje, który kierunek będzie najlepszy ; było jasne, że się poprostu zgubił i że idzie na oślep. Rewelacja ta zaniepokoiła nas mocno : groziło nam całonocne błąkanie się w ciemnościach, w nieznanym terenie górskim. Wobec tego nie dotrzemy przed brzaskiem do granicy, a skóra na nas cierpła na myśl o tym, co będzie gdy rankiem wyjdziemy na jakąś wieś ruską, strzeżoną przez Niemców . . .

N. miał przy sobie strzęp mapy sztabowej tej części pogranicza. Mapę tę zabrał z Warszawy ; chciał ją w pociągu zniszczyć, bojąc się rewizji, ale go wtedy nakłoniłem, by zatrzymał najważniejszy dla nas jej kawałek. Mapę tę zaczęliśmy teraz studiować gorączkowo, przyświecając sobie latarką ukrytą pod płaszczem. Ale próby zorientowania mapy okazały się, w tym terenie i w tych warunkach niestety, beznadziejne. Wydobyłem mój mały kompas, i oto nowa rewelacja : kierunek, którym posuwaliśmy się, nie był południowy, lecz właśnie północny — a więc powrotny . . . Pomimo to przewodnik upierał się, że ogólny kierunek naszego marszu jest właściwy. Byliśmy wściekli, nie miało jednak sensu sprzeczać się z nim. Ponieważ natrafiliśmy właśnie na ścieżkę leśną, postanowiliśmy iść nią aż trafimy na jakieś osiedle : bo z pośród niebezpieczeństw całonocnego błąkania się lub zetknięcia się możliwie rychło z ludźmi, wybraliśmy to drugie, gdyż jednak dawało nam ono większe szanse wydobycia się z matni. Po pewnym czasie las zaczął się przerzedzać i wyszliśmy w dolinę, gdzie zarysowały się przed nami kontury jakiejś wioski.

Co teraz ? Przewodnik bał się wejść do którejś z chałup i pytać tam o drogę ; byłoby to w samej rzeczy ryzykowne. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy, że pójdzie z nim jeden z nas i udawać będzie gestapowca ; przewodnik miał przy tym pełnić funkcje tłumacza. Chciałem iść ja, towarzysze jednak nie zgodzili się, bo byłem tak wyczerpany, że słaniałem się na nogach. Poszedł N., który nieźle mówił po niemiecku. Pozostali trzej rozłożyliśmy się w zaroślach. Przez krótki czas dobiegał nas odgłos kroków N. i przewodnika, potem ujadanie psa i kołatanie. W jakimś oknie rozbłysło światełko. Dosłyszeliśmy podniesiony głos N. w języku niemieckim i jakąś zaspaną odpowiedź po rusku. Potem ucichło wszystko. Wtuliłem się w śnieg, jak w pierzynę, i czekałem.

Trwało długo. Tak długo, że aż zaczęliśmy niepokoić się. Wreszcie obaj wysłannicy wrócili i dali znak do dalszej drogi, w kierunku, z którego przybyliśmy do tej wsi. Przewodnik, jakiś zgaszony, szedł przodem. N. szeptem opowiedział mi, jak było : gospodarze byli przerażeni nocnymi gośćmi ; dali potrzebne wyjaśnienia, a nawet, na żądanie przewodnika, poczęstowali herbatą (słysząc o tej herbacie, żałowałem, że jednak ja nie poszedłem . . .) N. próbował Rusina wyciągnąć na rozmowę o sytuacji politycznej, ale nie wydobył z niego nic poza lękliwymi potakiwaniami i pomrukami.

Spytałem N., gdzie się znajdujemy. Nie dostałem wyraźnej odpowiedzi: N. coś bąknął o jakiejś tajemnicy, którą przyrzekł przewodnikowi i obiecał mi wszystko wyjaśnić nazajutrz. Nic rozumiałem z tego nic, ale nie nalegałem.

* * *

Dalsza droga była chyba najcięższa ze wszystkich, jakie przebyłem dotąd w swym życiu. Nogi bolały mnie niesamowicie, ze zmęczenia, z odmrożeń i z ran. Chodząc, chwiałem się jak pijany, miałem wrażenie, że kolana nie są w stanie mnie utrzymać, w skroniach mi pulsowało. A jednak — szedłem, włożywszy się w rytm marszu innych, szedłem w jakimś zaciętym odrętwieniu, szedłem tak jakby moje maszerowanie i moje zmęczenie były zjawiskami od siebie niezależnymi i odrębnymi. Już nie zważałem na gałęzie i zarośla, może nawet szedłem z oczyma przymkniętymi. To też twarz miałem posiniaczoną i podrapaną. Myślałem tylko o jednym: o następnym odpoczynku. Gdy odpoczynek zarządzano, waliłem się na śnieg, jak kłoda, by znów na dane hasło dźwigać się i iść dalej. Nie chciałem mówić towarzyszom o mym zmęczeniu, oni jednak widzieli, co się ze mną dzieje, bo oto w czasie wspinania się na jakiś szczyt zauważyłem, że ręce trzymam zaciśnięte na kiju, którego końce trzymali przedwodnik i któryś z kolegów. Z szczytu tego schodziliśmy potem przez czas dłuższy w dół; wtedy czułem, że zmęczenie znikło z kolan a zostało tylko w stopach. Zapewne w związku z tą ulgą myśli me przestały się koncentrować na najbliższym wypoczynku i zaczęły krążyć koło rzeczy innych. Nigdy jednak nie zatracały rytmu, zgodnego z rytmem posuwania się. Myślałem teraz o tamtej ucieczce, sprzed trzech miesięcy, od bolszewików, o kołowaniu w nocy po ugorach i kartofliskach, o przedzieraniu się potem przez okupację niemiecką. Aż tak zidentyfikowałem się z tymi wspomnieniami, że zaczęło mi się zdawać, że oto maszeruję przez szosę lubelską; jest gorąco, szosa jest równiutka i prawie pusta, a monotonię marszu uwydatniają w jednakich odstępach osadzone słupy telegraficzne i kamienie kilometrowe . . . Silne uderzenie gałęzią w głowę przywróciło mnie do rzeczywistości. Posypał się przy tym na mnie śnieg, a gdy go z siebie ścierałem, stwierdziłem, że ucho mam we krwi. Schodziliśmy wtedy właśnie skosem z zalesionego zbocza.

Sam już nie wiem, ile tak przebyliśmy wzniesień, urwisk, pól, zarośli. Aż w jakiejś kotlince przewodnik nas zatrzymał, kazał usiąść przy sobie i wyjaśnił: jest godzina czwarta — do świtu jeszcze sporo czasu. Byłoby jednak rzeczą ryzykowną kusić się o dojście do granicy jeszcze tej nocy; dzieli nas od niej dwanaście kilometrów, a po drodze wznosi się „góra niczym diabeł" — szczyt gorszy od wszystkich dotychczasowych. A przecie już jesteśmy wszyscy mocno zmęczeni. Jeżeli do granicy przed świtem nie dociągniemy, będziemy musieli spędzić cały dzień w lesie, na mrozie. Dlatego przewodnik proponuje przeczekać do jutrzejszego wieczora we wsi T., do której właśnie zbliżamy się. Wieś prawie całkiem ruska, ale jest tam ktoś, kto nas u siebie ukryje.

Oczywiście zgodziliśmy się bez dyskusji i poszliśmy dalej. Bodaj, że te ostatnie kwadranse marszu były najcięższe. Nie mogłem złapać oddechu, w uszach mi łomotało. Ale szedłem, wypatrując w mroku konturów wsi.

Znowu las. Idziemy teraz ścieżką. Niema na niej śniegu, tylko gołoledź; widać zamarznięte koleiny po wozie i wklęśnięte ślady kopyt. W pewnym miejscu poślizgnąłem się, ale zdołałem utrzymać równowagę, tylko mi czapka spadła z głowy. Podnoszę ją i, jak często w ostatnich dniach, macam odruchowo miejsce, gdzie w niej ukryłem papiery i banknoty. Zmartwiałem: tym razem nie domacałem się tego zgrubienia. Przesuwam palcem: nie, nic się nie rozpruło, zatem zwitek musi się w czapce znajdować. A jednak go niema. Co się stało? Myśli przebiegają gorączkowo, ale nie znajdują wyjaśnienia. Rozglądam się za przy-

jaciółmi, by się z nimi naradzić; wzrok mój pada na przewodnika, w sportowej kurtce i w narciarce. W narciarce, takiej jak moja . . . Zatrzymuję go i sprawdzam: ależ tak, zamieniliśmy czapki, może jeszcze w U., może na którymś z postojów. Rozgrzała mnie ta przygoda i szło mi się już nieco raźniej.

Tak wypatrywałem tej upragnionej wsi, że aż nie chciałem uwierzyć, gdy raptem wyrosła przed nami ciemna masa zabudowania i gdy przewodnik powiedział, że właśnie tu mieszka jego znajomy. Kazał poczekać w krzakach, sam podszedł do okna i cicho zapukał. Musiał kilkakrotnie powtórzyć, nim się coś w chałupie poruszyło i ktoś się z niej wysunął. Słychać było dłuższy, podniecony szept: ktoś kogoś namawiał, ktoś się komuś tłumaczył. Słuchaliśmy tego w niepokoju, przeczuwając jakąś komplikację.

Jakoż przewodnik wrócił i powiedział zmartwiony, że Rusini zadenuncjowali jego znajomego Niemcom. Były u niego aż dwie rewizje; niczego nie znaleźli, ale go teraz mają na oku. Nie chce więc nas przyjąć i radzi próbować znaleźć schronienie u innego Polaka, na drugim krańcu wsi, stąd o półtora kilometra. Jeżeli tam się także nie uda, musimy schronienia szukać w lesie.

Nowy marsz. . . . Znowu myślę, że chyba ten jest gorszy od wszystkich poprzednich. Każdy krok wprost boli i już nie chodzę, a zataczam się. Trzeba po kamieniach przekroczyć potok. Po raz drugi tej nocy wpadam w wodę, tym razem obiema nogami i tym razem kąpiel ta nie orzeźwia mnie. Za to w butach chlupie woda i czuję, jak mi stopy drętwieją w zimnej wilgoci.

Wtem przewodnik stanął i zatrzymał nas ostrzegającym gestem: z mroku, za nami, słychać było jakby kroki . . . Tak, napewno, maszeruje kilku ludzi; pewnie patrol, chyba po naszym tropie. Jakoż, o jakie sto metrów od nas, za potokiem, zabłysła na chwilkę latarka i przesunęło się kilka sylwetek. Przewodnik rzucił nam: „biegiem!", poderwał się i puścił się pędem w stronę lasu. My za nim. Z tamtej strony słychać było także szybki tupot. Biegliśmy, byle prędzej, byle wgłąb lasu. Myślałem kurczowo jedynie o tym, by się w ciemności nie zagubić i nie zostać samemu. Wreszcie zatrzymaliśmy się, dysząc ciężko. Od strony potoku panowała już cisza — nikt nas nie ścigał. Nie było też obawy, by patrol zapuścił się w las, nocą. Przeczekaliśmy jakiś czas, po czym, dużym łukiem i prawie ciągle lasem, podążyliśmy w kierunku pierwotnym.

* * *

Sobota, 16 *grudnia*.

Gdy przewodnik skinął, by do chałupy wchodzić, nie wywarło to już na mnie większego wrażenia. Poprostu zobojętniałem. Przyjęli nas tutaj — to dobrze. Odmówiliby — powlókłbym się dalej, zresztą w poczuciu, że wnet położę się na śniegu czekać, aż los mój dopełnią zdarzenia, na które utraciłem wpływ.

Ale gdy znalazłem się w dusznej izdebce, w której rozróżniałem tylko lampę na stole, piec i kilka beztwarzowych postaci, nastąpiły doznania, które wyrwały mnie ze znękanej drętwoty. Doznań tych dostarczył mi kubek dymiącego mleka, wciśnięty mi przez kogoś do ręki. Trzymałem go przez chwilę kurczowo, jakby jedynym jego przeznaczeniem było dać trochę ciepła zesztywniałym palcom. Potem powoli podniosłem go ku ustom. Powiało ciepłą parą. Ale pić nie mogłem, bo ręka mi drżała, a i zęby szczękały po krawędzi glinianego kubka. A gdy wreszcie pierwszy łyk wlał się w me gardło gorącą rozkoszą, odstawiłem kubek na stół, usiadłem na ławie, i oto przelatywały mi przez myśl skłębione zrozumienia: że trzeba zrzucić buty i skarpety, bo prawie przymarzły do stóp; że trzeba położyć się i wyciągnąć nogi, aż ustanie to dotkliwe pulsowanie w bliznach; że potem, trzeba będzie przemyć twarz z brudu i z rozmazanej krwi.

Zamiast tego wszystkiego, podniosłem kubek znowu. Z drugim łykiem przyszła na mnie świadomość naszego położenia; zrozumienie słów, które ktoś w izbie wypowiadał, mówiąc, że przed dwoma godzinami dom ten opuściła, w drodze ku granicy, inna grupa takich jak my wędrowców nocnych, i że to na pewno na nich natknęliśmy się w ciemności, biorąc ich za patrol; oraz słów kogoś innego, bodaj że naszego przewodnika, opowiadających, że od wczorajszego ranka uszliśmy, po bezdrożach i zaśnieżonych pasmach górskich, kilometrów siedemdziesiąt, i że do granicy mamy jeszcze jeden skok: dziesięć kilometrów, które odwalimy po zachodzie słońca. Po zachodzie . . . Spojrzałem w okno: zarysowywał się w nim, bladym rozjaśnieniem sinego nieba, nadchodzący dzień.

Ktoś mnie trącił, bym dopił mleko i szedł za towarzyszami. Wyspinaliśmy się po drabince w ciemny kwadrat, wycięty w powale. Znaleźliśmy się na niskim stryszku, wypełnionym słomą nieomal po sam dach. Zrzuciłem z siebie wilgotny płaszcz, zzułem buty i powiesiłem je na belce, aby wyschły. Potem ułożyłem się koło kolegów. Było zimno, więc każdy z nas wkopał się głęboko w słomę.

Chłód nas przewiewał co prawda nadal, a kłosy wsuwały się za kołnierz i w rękawy, i kłuły. Ale jednak był to już odpoczynek. Z początku mąciła mi go jakaś natrętnie odczuwana potrzeba trwania dlaczegoś w pogotowiu; potem uprzytomniłem sobie, że tym razem nie muszę każdej chwili oczekiwać sygnału do dalszego maszerowania. Odtąd czułem, jak zmęczenie lekkim dreszczem przebiega od nóg poprzez tułów i równomiernie rozchodzi się po całym ciele. Potem głowa mi zaciążyła i zapadła się w miękką otchłań.

Nie był to jednak sen, a przynajmniej nie taki prawdziwy. Na stan mój składały się bowiem aż trzy świadomości, i to wszystkie trzy równocześnie. Pierwsza z nich była odczuwaniem otaczającej mnie rzeczywistości: ani bowiem na chwilę nie zapomniałem, że leżę na stryszku, zagrzebany w słomie, że czasem muszę zmienić pozycję, lub wkopać się głębiej. Drugą stanowiło wrażenie bezustannego maszerowania, z zapadaniem się w śnieg i przedzieraniem przez gąszcze. Obie te świadomości tworzyły tło dla trzeciej, składającej się z szeregu, szybko po sobie następujących, przerywanych obrazów sennych. A więc w jednym z nich ktoś patrzył na mnie z wyrzutem i czynił mi wymówki. Nim go dobrze zrozumiałem, obraz się rozwiał i ujrzałem swą żonę, cieszącą się z czegoś. Było to przyjemne, ale i tu nie zrozumiałem od razu, dlaczego. Chociaż tak, przecie właśnie zjawiam się w naszym mieszkanku, z dumą niosąc zdobyty gdzieś garnuszek soli: obywaliśmy się bez soli już od dziesięciu dni, bo jej zupełnie brakło w mieście. Cieszę się radością żony, ale oto zaraz siedzę przy stole nakrytym zieloną kapą i, jak przed miesiącem, udzielam korepetycji; uczeń jest tępy, trzeba mu powtarzać to samo po kilkanaście razy, a i to bezskutecznie. Ten obraz dobrze dostosowuje się do jednej z tamtych, drugoplanowych świadomości; chwilami bowiem zatracam poczucie, co jest wystękiwaniem lekcji, a co maszerowaniem przez zaspę śnieżną . . . Aż jedno i drugie przechodzi w rytm maszynki do powielania. Siedzę w komórce i odbijam ulotki. Z początku idzie ciężko, litery wychodzą nierówno, są wyblakłe lub zasmarowane tuszem. Potem nabieram wprawy, i za każdym przesunięciem walca dostaję dwie ładnie odbite, kwadratowe karteczki. Raptem rozumiem, za co ten ktoś poprzednio czynił mi wymówki; widzę go znowu, jak tłumaczy, że nie robi się tego bez zgody organizacji, że mogę ich wsypać. Tłumaczę, że o organizacji nie wiedziałem, że dotąd do niej nie trafiłem, ale czuję, że mamy rację obaj. Staram się tłumaczyć jeszcze, lecz w jego miejsce zjawia się uczeń, więc to, co tłumaczę, jest już znowu lekcją; aż uciekam od tego obrazu. Myśli moje nie chcą jednak przestać krążyć po ulotkach, tym razem niemieckich: widzę czarne litery, głoszące śmierć dwóch kobiet, wdowy i studentki, za zdzieranie w War-

szawie plakatów władz okupacyjnych. I z tego obrazu uciekam, i nareszcie widzę się przy moim synu. Synek stoi w łóżeczku, nie chce spać, i zrzuca na podłogę zabawki, śmiejąc się z ojca, który żartobliwie urąga, ale podnosi. Poleciał już niedźwiedź, książka, nawet poduszka. Aż poleciało coś ciężkiego, tak ciężkiego, że hałas uderzenia wyrywa mnie z z przekomarzania się z dzieckiem, płoszy z mego mózgu cały obraz, przez chwilę zostawia wtórną świadomość maszerowania, aż pryska i ona. Zostaje świadomość słomy, ciemności, stryszku, ale i, z poprzedniego obrazu, odczucie hałasu : jednak coś głośno wyrżnęło o ziemię, tam na dole. O, jeszcze raz, a teraz słychać głośne słowa. Oprzytomniałem całkowicie — bo słowa były niemieckie.

Do izby pod nami wchodzili właśnie żołnierze. Stawiali karabiny pod ścianą, przytupywali, pytali. Jeden z nich, łamaną śląską polszczyzną zapytywał o chleb, mleko, jaja, wspomniał coś o nocowaniu tutaj. Baba mu tłumaczyła, że ma chleb, ale bez omasty, że mleka ma tylko kilka kropel, że niema jaj, że brak u niej miejsca do noclegu w izbie, a na stryszku bardzo zimno.

— Ja, ja,— Niemiec ironicznie odpowiada, — ludzieście bidni, nimocie nic, zimno u wos tysz. My to wimy, wimy. Ino że docie co wom kożemy, nicht wahr ?

Jakoż po chwili słychać było, jak baba, z cicha narzekając, stawiała garnki na piecu. Żołnierze nie zwracali na nią uwagi, rozmawiali pomiędzy sobą. Wytężyłem słuch. Nie trudno było zrozumieć, bo prawili głośno. Że psia służba, że mokro i mroźno, że z urlopu na święta nic.

Czas mijał. Leżałem nieruchomo i zastanawiałem się, co będzie, jeżeli Niemcy jednak tu na tym stryszku wylądują. Chociaż, po co by mieli ? Chyba będą woleli spać w izbie, wyrzuciwszy z niej przedtem gospodarzy. Ale w jaki my wtedy sposób opuścimy ten dom ? I co, jeżeli który z nich zajrzy na strych ? Wysunąłem lekko głowę spod słomy : nie, żadnego z nas nie widać. Wacek i N. śpią w najlepsze. Tylko na belce wiszą moje mokre buciory i, niestety, są one widoczne z wejścia na stryszek.

Opodal mnie coś zaszeleściło i coś zaczęło się spod słomy wygrzebywać. Przestraszyłem się, że Wacek, który gdzieś w tej stronie powinien mieć swe legowisko, zbudził się i zacznie gadać, nie wiedząc nic o Niemcach pod nami. Ale strach mój ustąpił miejsca zdumieniu, gdy zobaczyłem twarz zupełnie mi obcego człowieka, i — co było bardziej zdumiewające — stwierdziłem, że człowiek ten miał na sobie kurtkę sierżanta Wojsk Polskich. Po trzech miesiącach widzę znowu mundur polski — i to w takich okolicznościach . . . Wytrzeszczyłem oczy : nie, wzrok mnie nie mylił : widziałem dobrze patki z wężykiem, a na naramiennikach srebrne obszywki. Miałem na tyle przytomności umysłu, że ostrzegająco pokazałem ręką na dół, a potem przyłożyłem palec do warg. Sierżant skinął głową, że rozumie, i zastygł w bezruchu.

Z dołu słychać było brzęk łyżek i talerzy i głośne mlaskanie, chwilami przerywane rozmową : Hans miał szczęście, że go przekomenderowano nach Krakau. Ale chyba pójdą oni stąd wszyscy, diabeł wie, dokąd, gdy tu granicę obsadzą S.S.—Leute. Ci naturalnie dostaną ekwipunek pierwszej klasy. Sportowcy . . . Będą sobie z tych przeklętych pagórków na nartach zjeżdżać, na Polaków polować. Żeby im tylko kazano Nachtdienst halten . . . Towarzystwo zgodnie zaśmiało się.

Jedzenie i rozmowa dobiegały końca. Któryś zapytał :

— Na, Kinder, was macht man ?

Ktoś coś odpowiedział, po czym rozległy się ciężkie kroki, kierujące się w stronę drabinki wiodącej na strych. Zmartwiałem z przerażenia. Co teraz począć ? Niemiec jednak brał karabin, widocznie postawiony w tym kącie izby, i słychać było, jak się wszyscy ubierają i szykują do drogi. Aż wreszcie wyszli.

* * *

Sierżant wysunął się bardziej ze słomy i usiadł, strzepując z siebie źdźbła. Po czym wyjął ze spodni gruby, niklowy zegarek i oznajmił, że do zmroku jeszcze mamy dosyć czasu, akurat by się przed odmarszem trochę ogarnąć, obmyć i podjeść. Mówił tak, jakbyśmy byli tu przymaszerowali razem i należeli do jednego zespołu. Zapytałem go, kto zacz. Wyjaśnił: sierżant szef którejś tam kompanii któregoś tam batalionu saperów. I zaraz opowiedział swe dzieje. Brał udział w kampanii. W drugim tygodniu został ranny w rękę, ale oddziału nie opuścił. Aż, już niedaleko granicy, zasłabł, więc zostawiono go gdzieś u chłopów, skąd potem sam się przedostał do swych teściów; mają oni spore gospodarstwo na Podkarpaciu, niedaleko stąd, i mieszkała u nich jego żona z dzieckiem, jeszcze od lata. Nikt go tam nie niepokoił, więc wypoczął i wygoił ranę. Potem dostał wiadomość o swoim baonie, że stoi na Węgrzech, w jednym z obozów. Tak, cały baon, a przynajmniej to, co z niego pozostało. Jego kompania utrzymała się, choć miała straty. No, to postanowił przedostać się do nich. Kapitan będzie kontent, a i chłopcy się ucieszą. Mundur wydobył z ukrycia i przywdział na tę drogę, pod płaszcz teścia; nie może przecie meldować się w oddziele w ubraniu cywilnym.

Zapytałem go, czy nie woli jechać z Węgier zaraz dalej, do Francji, do naszego wojska-tam ? Nie zrozumiał mnie dobrze. Do Francji ? Przecie już powiedział, że jego oddział stoi na Węgrzech. Internowany ? Ale oddział . . . baon . . . On sam żadnych własnych kombinacji nie będzie wyczyniać — wykona, co mu każą. Od rozkazywania są dowódcy. A do Francji pewnie pójdzie, ale z całym oddziałem, a może i będzie inaczej : pójdą do walki od razu od strony Węgier — przecie bliżej. I w kraju znajdą się z powrotem wcześniej, niż tamci, z tej Francji . . .

* * *

Czuliśmy nadchodzący wieczór, nie tylko że jasność już nie przeświecała poprzez szpary w deskach, ale także, że na stryszku było coraz zimniej. Niesposób było drzemać dłużej. Zresztą wypoczęliśmy już trochę i czas było myśleć o czekającym nas ostatnim etapie naszej wyprawy. Ostatnim — na ziemi polskiej : jeżeli nas tej nocy nie przyłapią, to jutro znajdziemy się na ziemi węgierskiej. Jutro, w niedzielę, dnia 17 grudnia 1939 roku.

A od jutra za tydzień . . . żona moja postawi w izdebce niedużą choinkę. Rozwiesi na niej trochę kolorowych bibułek, może nawet garść cukierków. Rozświeci ją, jeżeli tylko uda się jej dostać kilka świeczek. Potem zgasi lampę i wprowadzi syna. Dziecko rozpłomienionymi z emocji oczyma będzie patrzeć na to czwarte, a raczej zrozumiane dopiero drugie drzewko w jego życiu. Potem rzuci się na podarki. Cóż mu żona będzie w stanie kupić ? Chyba książkę z obrazkami. I co jeszcze ? Bo mu na pewno coś pod drzewkiem położy od ojca. Może to będzie konik drewniany. Od ojca . . . Zerwałem się z mego legowiska i zeszedłem do izby, by tym rozmyślaniom położyć kres.

Na dworze było już ciemno i zapewne nie groził nam już powrót żołnierzy niemieckich. Dostałem od baby miskę z wodą i obmyłem się. Musiałem się rozebrać, by się uwolnić od źdźbeł słomy, które mi powłaziły w ubranie i w bieliznę. Buty były nadal mokre ; postawiłem je przy piecu i przypatrywałem się, jak z nich wyparowuje wilgoć.

Towarzysze moi także poschodzili na dół. Sympatyczny rzemieślnik, który dołączył do nas w U., skarżył się, że rana, którą otrzymał we wrześniu, bardzo mu dolega ; aż tak, że postanowił przerwać podróż, i, przed dalszym maszerowaniem, przeleżeć tu w tej chałupie ze dwa dni. Był bez grosza przy duszy, więc wcisnęliśmy mu kilkadziesiąt złotych ; nie chciał z początku przyjąć, ale wytłumaczyliśmy mu, że to pożyczka od towarzyszy broni. Żałowaliśmy, że się z nim tu rozstaniemy. Za to do naszego zespołu przybył sierżant, oraz ktoś jeszcze, kto równie niespodzianie wylazł na

stryszku ze słomy: młody ochotnik do wojska, typowy ulicznik z przedmieść Warszawy.

Siedliśmy do kolacji, skombinowanej częściowo z własnych zapasów, częściowo z tego, co nam dała gospodyni. W czasie kolacji przysunął się do mnie N. i zapytał, przyciszając głos:

— Czy chcesz dowiedzieć się tajemnicy, o utrzymanie której przewodnik prosił mnie tej nocy?

Spojrzałem na niego z zaciekawieniem.

— Sprawa jest prosta. Oto przewodnik tak dalece zmylił w nocy drogę, że wtedy, gdy zasięgaliśmy języka, znajdowaliśmy się w U., to jest w tej samej wsi, z której przedtem rozpoczęliśmy nasz kilkogodzinny, uciążliwy marsz po górach i wertepach . . .

* * *

Kończyliśmy kolację, gdy rozległo się kołatanie. Zerwaliśmy się, ale gospodarz nas uspokoił i otworzył drzwi. Do chałupy wtargnęło kilkunastu, może nawet około dwudziestu, młodych ludzi, zdążających, jak my, na Węgry; wśród nich znajdowała się jedna kobieta. Nikogo z pośród nich nie znałem, utkwiło mi tylko nazwisko jednego z przybyłych, który był synem generała, znanego z czasów legionowych; spytałem się go o ojca i dowiedziałem się, że został aresztowany przez Rosjan i wywieziony. Przybysze zamierzali wypoczywać przez kilka godzin i tejże nocy pomaszerować dalej. Nie miało dla nas sensu czekać na nich, zwłaszcza, że mieli oni własnego przewodnika.

Około godziny ósmej byliśmy gotowi do drogi. Już żegnaliśmy się przy drzwiach z gospodarzami, gdy raptem coś sobie przypomniałem i pobiegłem do drugiej izby, w której się niedawno myłem. Miska z wodą jeszcze stała na stołku. Rozglądałem się uważnie, aż na ziemi, tuż koło stołka, dostrzegłem małą tubkę. Mało brakowało, a byłbym ją zapomniał, podobnie, jak poprzedniej nocy byłbym utracił cenną czapkę. Podniosłem tubkę i pomacałem: wyczuć w niej można było tylko twardo uciśniętą pastę do zębów; ale byłem spokojny, że znajdują się w niej także dwie złote monety. Te same, które — na wszelki wypadek, a raczej na szczęście — dostałem we wrześniu, w Łucku, od przyjaciółki. Schowałem tubkę troskliwie do kieszeni kurtki.

* * *

Noc z 16-17 grudnia.

Znowu, jak wczoraj, zagłębiliśmy się w mroki nocne. Tylko że dzisiaj przeniesienie się z izby, w atmosferę nocy, śniegu i zimna, nie było już dla nas takim dotkliwym, przykrym doznaniem, jak wieczoru wczorajszego. Byliśmy już zaprawieni. Oczy nasze nauczyły się już rozróżniać w ciemności, tak że nie odczuwaliśmy poprzedniego lęku przed zgubieniem się od towarzyszy. Łatwiej i sprawniej przedzieraliśmy się przez zarośla. Gładko wspinaliśmy się na zbocza, nie potykając się już tak często.

Tej nocy nie czułem już też potwornego zmęczenia, które wczoraj opóźniało mój marsz, plątało moje kroki, przyprawiało mnie o zadyszkę, zmuszało do myślenia o wypoczynkach. Nie, teraz szedłem raźno, nie czując bolu w nogach, wdechując ostre powietrze górskie z przyjemnością. Odmianę tę przypisywałem przede wszystkim temu, że nie dźwigałem już na sobie nadmiaru odzieży: płaszcz oddałem do noszenia przewodnikowi, a także zrzuciłem z siebie wiatrówkę, przewieszając ją sobie z wierzchu przez plecy. Ulga ta nie tłumaczyła jednak wszystkiego. Po prostu coś się we mnie przełamało. Szedłem, wyprzedzając towarzyszy, i dopiero w tym marszu mogłem odczuwać cały ogrom piękna nocy w górach.

Bo noc ta była rzeczywiście piękna. Od czasu do czasu, poprzez skłębione chmury przezierał wąski rąbek księżyca i nadawał krajobrazowi śniego-

wemu miękkość, zabarwiając go niebieskawym światłem. Pasma górskie nie brały tej nocy swego początku w pomroce i nie kończyły się w niej, lecz obramowywały horyzont liniami zdecydowanymi i śmiało zarysowanymi. Lasy, przez które wiodła nasza droga, już nie były wilgotnym kłębowiskiem poplątanych konarów, gałęzi i gąszczów; stanowiły one tej nocy sanktuarium ciszy i świeżości. Ciszy, świeżości, a także życia: kilka razy słyszeliśmy ciągnące przez puszczę sarny, a raz poderwał się sprzed mych nóg jakiś zwierz i zniknął, zanim zdołałem go rozeznać.

A potem przyszła ta góra ,,niczym diabeł", którą nam wczoraj groził nasz przewodnik. Spory to był szczyt, a miejscami tak stromy, że wdrapywaliśmy się na czworakach, chwytając się rękami gałęzi i konarów. Ale ostatecznie wylazłem nań w formie dobrej, może lepszej od niektórych mych towarzyszy, poprawiając choć częściowo swą reputację z nocy wczorajszej.

Nie byliśmy w tym marszu skłonni do rozmów. Wyjątek stanowił młodzieniec, który wraz z sierżantem przyłączył się do nas na ostatnim postoju. Z początku bawił nas jego podwarszawski akcent i dzieje jego łobuzerskich przygód; lub jego szczera radość, gdy wróciwszy z końcem września do Warszawy, przekonał się, że Kercelak ostał się cały . . . Ale wnet mieliśmy jego gadaniny dosyć, zwłaszcza, gdy program swego pobytu na Węgrzech wyraził przekonaniem, że ,,wino się tam pić będzie niczym wodę, a i dziewuchy są tam namiętowe . . ." N. go wtedy ofuknął, mówiąc o konieczności żołnierskiego zachowania się na obczyźnie; na co on, skonfudowany, mruknął:

— Zachowanie się zachowaniem się, a ja, panie, wesoły chłopak byłem i jestem . . .

Schodziliśmy teraz szybko w dół. Gdy już doszliśmy do skraju wzgórza, przewodnik skupił nas koło siebie, kazał zachowywać się jak najciszej, zabronił palić, i udzielił nam instrukcji w sprawie dalszego posuwania się, pokazując palcem szczegóły terenowe wyłaniającej się przed nami doliny. Słuchając go, stwierdziłem w duchu z zadowoleniem, że szczegóły te znam już dobrze, gdyż studiując w Warszawie z mapy rozmaite przejścia graniczne, zapamiętałem dobrze ten jej odcinek.

Zatem — przewodnik tłumaczył — o jakie pięćset metrów przed nami ciągnie się, wzdłuż tej doliny, droga. Tam dalej krzyżuje się ona z drugą, a jeszcze dalej z torem kolejki. Z drugiej strony drogi zaczyna się wzgórze, ostatnie, jakie musimy przebyć przed dotarciem do granicy. Cały ten kawałek będzie w naszej wyprawie najniebezpieczniejszy, bo zarówno droga, jak i tor, są dniem i nocą strzeżone przez Niemców; patrole chodzą tu w odległości pięciuset metrów od siebie choć czasem więcej, czasem i mniej. Z miejsca, w którym teraz stoimy, musimy cicho przedostać się przez otwarte pole w kierunku drogi. Przewodnik dojdzie do niej pierwszy, a gdy upewni się, że patrolu niema, da nam znak. Wtedy musimy szybko przebiec przez drogę i przez leżące za nią pole i wdrapywać się na wzgórze. Wzgórze to jest na dużej przestrzeni odkryte, a ślady w śniegu mogą na nas naprowadzić patrol. Zatem, trzeba się śpieszyć i śpieszyć, póki nie dopadniemy, nieco wyżej, lasu.

Gdy już wszystko było nam zrozumiałe, wysunęliśmy się z naszego ukrycia. Drogę widać było przed nami wyraźnie. Na dalszym planie coś przy niej czerniało, jakby zabudowania, ale mogły to być i zarośla. Pole, które kładło się przed nami, było gładkie, jak stół. Przebiegliśmy krótkimi skokami do kupy kamieni leżącej w połowie pola, starając się jak najbardziej przywrzeć do ziemi i biec możliwie najciszej. Ale miejscami trafialiśmy na zamarznięte kałuże i wtedy odgłos naszych butów odbijał się jaskrawie od ciszy nocnej, napawając nas lękiem.

Przy kamieniach przewodnik ledwie słyszalnym głosem nakazał nam

przeczołgać się pojedynczo do kępki krzewów, widocznej pomiędzy nami a drogą.

— Tylko, na miłość boską, — szeptał, — sprawcie się cicho, patrol może być tuż przed nami. Gdy jeden się doczołga, niech zaczyna drugi — nigdy dwu naraz. Ja tymczasem przedostanę się aż do drogi i stamtąd dam znak gwizdem. Wtedy galop . . .

Podczołgaliśmy się do kępy jeden po drugim, jak kazał. Każdy z nas krytykował przy tym w myśli sposób posuwania się drugich: że niedość ostrożnie, że za szybko, że zbyt głośno . . . Wreszcie znaleźliśmy się wszyscy pięciu znów razem.

Czekamy. Od strony przewodnika cisza — widocznie patrol niedaleko. Podnoszę rękę do oczu, by rozeznać godzinę: jest właśnie północ. Wtem czuję koło siebie swąd: odwracam głowę i widzę, że leżący koło mnie łobuziak podwarszawski ćmi papierosa, starając się zakryć ognik dłonią. Chwytam jego rękę i wciskam ją wraz z papierosem, w śnieg. Chciał coś protestować, więc cichcem skląłem go przez zęby, krótko, lecz ordynarnie. Umilkł, ale za to z drugiej strony N., nie rozumiejąc, syczy. W tej chwili od strony drogi dochodzi nas gwizd, tak cichy, że nie byłem pewny, czy mnie słuch nie myli. Ale koledzy zerwali się.

Zrywam się i ja, i pędzę przed siebie. Pole jest tu bardzo oblodzone, więc kroki nasze dudnią. Tuż przede mną ktoś potyka się i kładzie się, jak długi, ale zaraz wstaje i goni. Dobiegamy do drogi. Przewodnik stoi na jej skraju, wpatrzony niespokojnie w mrok. Ponagla nas. Przebiegamy przez drogę, wpadamy na jakiś mostek czy inne licho drewniane, tupot naszych kroków się wzmaga. Pędzimy przez rów, ktoś się znowu wysypuje. Potem przez pole.

Na prawo od nas coś zdala daje się słyszeć. — Psy . . . — rzuca przez zaciśnięte zęby biegnący koło mnie sierżant. — Myślę, że mu się przyśniło, ale oto i ja słyszę jakby ujadanie. Dobiegamy do zbocza i wdrapujemy się na nie szybko. Nie jest strome, ale śnieg jest tu głęboki. Przewodnik posuwa się teraz na końcu, wciąż się ogląda w stronę drogi i wciąż nas popędza.

Nareszcie dobiegamy lasu. Ale przewodnik i tu nie folguje nam: wygnietliśmy w śniegu ślady wyraźne i z daleka widoczne, musimy się od nich oddalić. Trudno, pędzimy dalej, choć nie wydobywamy z siebie tej samej szybkości, co tam niżej. Wreszcie przewodnik każe zwolnić. Idziemy powoli, zasapani. Aż wyszliśmy na szeroką, regularną przerębię. Przewodnik przystanął i pozwolił nam się położyć. Wolno mówić, i wolno palić.

* * *

Leżałem na śniegu, oparłszy głowę o jakiś wysoki kamień. Obok mnie stał przewodnik i pykał fajkę. Nad nami, na granatowym tle nieba, migotało kilka gwiazd. Nic nie przerywało ciszy, która miała w sobie coś dziwnie nastrojowego.

Aż odezwał się przewodnik, zwracając się do mnie:

— Przyjrzeliście się kamieniowi, na którym się opieracie?

Chłop oszalał, pomyślałem z niechęcią. Człowiek ledwie zipie, a on każe oglądać kamienie. Coś więc tylko odburknąłem. Ale przewodnik pytanie powtórzył. Więc podniosłem głowę i spojrzałem na kamień.

Na kamieniu były wyryte jakieś litery. Spojrzałem uważniej.

Był to słup graniczny.

* * *

Nie byłem w stanie wziąć udziału w ożywieniu moich towarzyszy, którzy poklepywali przewodnika, rozrachowywali się z nim, snuli plany dalszej podróży. W miejsce zmęczenia fizycznego, w mózg mój wpełzło dziwne odrętwienie. Usiłowałem je opanować, uprzytomniając sobie, że oto

wydostaliśmy się cało z tego piekła . . . Nie przychwycili nas wrogowie, nie zmogły te noce wędrowania. Wydobyliśmy się, i żyjemy . . .

Tuż przede mną szarzał las. Za mną, z tyłu, także był las. Oba stanowią jeden i ten sam las, tylko że przerwany grzbietem góry, na którą przed chwilą wyspinaliśmy się, tylko że rozdzielony kamieniem, przy którym oto leżymy. Za chwilę, oderwiemy się od tego kamienia, wejdziemy w ten las, by zejść w dolinę, wgłąb obcego kraju, do którego nie dotarli nasi wrogowie. Stamtąd przedostaniemy się na drugi kraniec Europy, gdzie toczy się wojna, gdzie ciągle walczy Wojsko Polskie, w którego szeregach jest nasze miejsce.

Tak, ale . . . Ale w tej innej dolinie, w tej, którą zostawiliśmy poza sobą, byliśmy także żołnierzami, i to nawet po rozstaniu się z bronią, po zrzuceniu munduru. Walczyliśmy i tam, choć już tylko słowem szeptanym, naradami tajemnymi, ulotkami. Wyrazem tej walki była groźba, wisząca nad nami zawsze i wszędzie. Groźba, która już tylu towarzyszy wyrwała z naszego grona na zawsze, i tylu innych odosobniła w więzieniach i obozach. Walczyliśmy samym naszym istnieniem i samym naszym trwaniem.

Idąc oto walczyć inaczej, zostawiamy tu tę walkę, i zostawiamy — Polskę.

Ręka odruchowo głaszcze kępkę zeszłorocznej trawy, wyłaniającej się spomiędzy płatów śniegu. Ucho wsłuchuje się w poszum wiatru od tamtej strony, skłaniającego ku nam gałęzie drzew, posrebrzone okiścią. Myśl przenosi się ku tym, którzy pozostali.

Czuję w sobie lęk przed zostawieniem za sobą tego kamienia, który rozgranicza nie tylko dwa lasy, nie tylko dwa państwa, lecz także dwie drogi mojego życia.

Wtem przemówił znowu przewodnik :

— Dziwny z was człowiek, panie. Narażaliście się, męczyliście się, aby tu dojść, a teraz tak, jakbyście się tym martwili . . .

Pisane w Achiltibuie (Szkocja)
i w Londynie,
sierpień-październik 1942.

MARIAN PIOTROWSKI

STADION W NORYMBERDZE

Wielki białokamienny stadion zjazdów partyjnych w Norymberdze robi wrażenie niedokończonego. Dworzec w Marzfeld, przystanek obsługujący stadion, również niedokończony. Dzieło jakby porzucone w pośpiechu. Jakby nagle stało się coś tak ważnego, że trzeba było rozpoczętą pracę porzucić i wziąć się do czegoś innego.

Takie wrażenie zrobił na mnie stadion Norymberski, gdy ujrzałem go po raz pierwszy w końcu sierpnia 1940 r. jako jeniec wojenny.

Przed wyjazdem z Francji komendant obozu jeńców, porucznik niemiecki, zapowiedział nam, że jedziemy do Norymbergii, że będziemy ulokowani w obozie SS czy SA, mieszczącym się koło stadionu partyjnego. Dał nam do zrozumienia, że spotyka nas wielka łaska i zaszczyt. Będziemy ulokowani w barakach, w których mieszkali hitlerowcy, w warunkach rzekomo cieplarnianych. Przy tym będziemy w centrum nowoczesnych Niemiec.

Marzfeld. Wyładowaliśmy się z wagonów i w grupach po 50 czekaliśmy z mizernymi tobołkami na dalsze losy. Niepokoiła nas głównie

myśl, czy oddadzą nas pod straż wojska, czy też dostaniemy się pod dozór oddziałów SS lub SA.

Po chwili otoczył nas oddział żołnierzy, starych rezerwistów. To już lepiej.

Panorama stadionu Norymberskiego przez dłuższy okres czasu syciła codziennie nasze oczy.

Opuszczony stadion zarósł już trawą. Pasło się na nim stado baranów, pilnowanych przez pastucha w oryginalnym płaskim kapeluszu, pelerynie do ziemi i o długim kiju biblijnym. Od białych kamiennych murów wiała martwota. Na horyzoncie, w odległości jakichś pięciu czy sześciu kilometrów, widać było wieże Norymbergii.

Stadion obejmował teren kilku boisk sportowych. Otaczały go kamienne, stożkowate wieże, jakby baszty fortecy rzymskiej, wyraźnie jednak niedokończone. Przestrzeń tych boisk jest istotnie tak duża, że może pomieścić kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Przylepione do stadionu, na przestrzeni kilku kilometrów kwadr., rozpościerało się miasteczko drewnianych baraków, przygotowanych dla uczestników zjazdów. Miasteczko to składało się jakby z kilku oddzielnych obozów — miasteczek. Był więc obóz S.A., obóz S.S., obóz Hitlerjugend itd. Baraki przypominały baraki letnich ćwiczebnych obozów wojskowych, jakie się widzi w każdym kraju. Długie drewniane jednopiętrowe budy. Wewnątrz — z jednej strony trzy kondygnacje drewnianych prycz, z drugiej strony stoły i ławki. Baraki, pomalowane na zielonkawy kolor, stały w ordynku jak wymusztrowane oddziały. Żadnego odchylenia od linii prostej, od wyznaczonego szematu.

Cała przestrzeń podzielona jest przecinającymi się drogami. Przy przejściu z jednego bloku do drugiego, np. z obozu Hitlerjugend do SS, lub do SA, stoją drewniane strażnice, niby dla dekoracji. Obecnie służą do nadzorowania jeńców.

Z boku osobne miasteczko straganów, Widnieją jeszcze napisy: „Schokolade", „Confiserie", „Fruechte", itd. Napisy te tchną takim samym anachronizmem jak niedokończone rekwizyty zjazdów partyjnych. Niema dziś czekolady, niema słodyczy, Hitlerjugend rozbite, starsi chłopcy w oddziałach spadochronowych lub w lotnictwie, SS jako odrębne formacje walczy gdzieś na froncie.

Kilkakrotnie dowództwo obozu, liczącego przecież kilkadziesiąt tysięcy jeńców, zabierało się do wykończenia stadionu. Odkomenderowywano całe oddziały jeńcow do robót przy stadionie, potem jednak nagle przerywano, zapotrzebowanie rąk do pracy w rolnictwie, czy w przemyśle było i ważniejsze i pilniejsze niż stadion. Stadion może poczekać, i czeka. Zastanawialiśmy się czy w ogóle będzie kiedykolwiek wykończony.

Jak w każdym obozie jenieckim, tak też i w naszym specjalną rolę odgrywały lazarety. Dostanie się na kilka dni do lazaretu, to zawsze pewna zmiana, pewna nowość. Mieliśmy w obozie dwa lazarety, wojskowy i lazaret S.A. W lazarecie wojskowym jednym z chorych był kpt. de Gaulle, brat Generała. Nazwisko, które nosił wzbudzało sensację nie tylko wśród jeńców, ale i wśród niemieckiego personelu sanitarnego.

Interesował mnie lazaret S.A. Oddziały sanitarne S.A. zamiast krzyża noszą oznakę runiczną — znak w kształcie litery Y. Widocznie znak krzyża drażnił szturmowców S.A. Tajemicze „Y" widniało na samochodach sanitarnych Partii i przed lazaretem.

Lazaret S.A. nie był zresztą przeznaczony dla jeńców. Nie byliśmy widocznie godni tej instytucji. Jednak nie bardzo nas to martwiło, przeciwnie — nikt z nas nie miał najmniejszej chęci wejść w kontakt z tą instytucją humanitarną reżimu. Odstraszał nas nietylko tajemniczy znak runiczny, ale i twarze sanitariuszy S. A. Twarze hitlerowców mają jakiś specjalny wyraz. Wyraz ponurej brutalności. Coś odpychającego w

swej ostrości. Po rocznym pobycie w Niemczech doszedłem do takiej wprawy, że poznawałem członków Partii, nawet przebranych po cywilnemu, tylko po wyrazie twarzy. Sanitariusze S.A., wygoleni, wystrzyżeni, o grubych karkach, byli uosobieniem jakiejś brutalnej siły, w żadnym razie nie humanitaryzmu i łagodności, tak złączonych z tym zawodem.

Spytałem raz żołnierza odprowadzającego nas do kąpieli czy jest członkiem Partii. Tak, jest członkiem S.A. Czy był na zjazdach partyjnych w Norymberdze? Był. Jak to wyglądało? Wzruszył ramionami. Nie wie. „Ich war dabei" — odpowiedział. To znaczy „byłem przy tym". Stał z całym oddziałem na stadionie i nic nie widział. Jak wynikało z jego opowiadania, kongres partyjny dla uczestników zjazdu, dla prostych ludzi, był tym samym co dla prostego żołnierza parada wojskowa. Długie przygotowania, czyszczenie munduru, ogólne pucowanie, a potem stanie kilkugodzinne na miejscu.

PORANNY APEL W OFLAGU

Najlepiej lubię noc. Ciemności odgradzają mnie od rzeczywistości, a przede wszystkim jestem sam — nareszcie sam; Okropną rzeczą w niewoli jest ta ciągła obecność wokół tysiąca ludzi. Je się razem, śpi się razem, natutalne potrzeby też prawie załatwiane wspólnie.

Noc przerywa na chwilę kolektywne życie i daje zapomnienie. Sny, marzenia, wspomnienia, przeplatają się razem, tworząc nierealne życie na marginesie rzeczywistości.

Lubię noc i nienawidzę dnia. Nic w tym dziwnego. Dzień jest niewolą. Jeszcze bardziej nienawidzę poranka, to jest tego momentu, kiedy wyrwany ze snu, czy z marzeń, uświadamiam sobie rzeczywistość. Może bardziej niż rzeczywistość uświadamiam sobie beznadziejność sytuacji. Wiem, że cokolwiek bym robił w ciągu dnia, który idzie, nie zmieni się nic w tej jedynej, zasadniczej sprawie, która mnie obchodzi — odzyskania wolności.

Zbliża się 6. Za chwilę rozlegnie się budzik komendanta baraku, sygnał, że zaraz będzie pobudka, że trzeba się przygotowywać do rannego apelu.

Całe szczęście, że nie mam dziś dyżuru, że nie potrzebuję ciągać z kuchni kotła z kawą. To da mi jeszcze kilka chwil spokoju.

Wstajemy w milczeniu. Jeszcze nie mamy sobie nic do powiedzenia. Pierwszym tematem, na który nawiążą się rozmowy, będzie kawa. Tak jest codziennie.

Wacław jest w gruncie rzeczy parweniuszem. Wie, że wczoraj wieczorem zjadłem do herbaty całą swą kromkę chleba i że jestem teraz głodny, mimo to wyciąga swój zapas, małą przylepkę, i zajada ją na moich oczach i nawet smaruje ją jakimś tłuszczem. Gdybym ja był na jego miejscu, nie afiszowałbym się z zapasami. Tak mi się przynajmniej w tej chwili zdaje.

Dzień będzie ładny. Jest lekki przymrozek. Staję w pierwszym szeregu, celowo wypycham do drugiego szeregu X-a. Po co on drażni ciągle Niemców swym semickim profilem. Francuzi stojący naprzeciw nas już tupią i przestępują z nogi na nogę. Chwyta ich mróz.

Moje trzy brzozy wyglądają dziś ślicznie, na tle nieba, które zaczyna różowieć od wschodzącego słońca. Staram sobie zapamiętać delikatny rysunek moich brzózek, które są jedyną rozmaitością tego ponurego, szarozielonego krajobrazu. Jak to dobrze, że nasza grupka stoi twarzą do wschodu. Codziennie widzę zmiany w kolorycie nieba. Najbardziej lubię moment jak niebo się czerwieni. Czerwony kolor znakomicie ożywia zieleń. Corot miał rację, ożywiając pejzaże czerwonymi plamkami. Zieleń Corota była jednak bardziej soczysta od tej zieleni niemieckiej. Zresztą jest to już właściwie zieleń zimowa.

Komendant bloku komenderuje: baczność. W czworobok wchodzi oficer niemiecki, który ma sprawdzać stan. Komendanci grup powtarzają

komendę. Dowódca naszej grupy komenderuje po polsku — ,, proszę panów." Za chwilę druga komenda ,, Spocznij." Oficer niemiecki przechodzi od grupy do grupy i sprawdza czy stan liczbowy się zgadza. Szczęśliwie, dzisiaj jest pogoda. Stać godzinami w czasie deszczu jest bardzo nieprzyjemnie. Dzień jest wyjątkowo pomyślny — zaledwie tylko trzech zemdlało.

Komenda ,, rozejść się." Dwutysięczna gromada rozsypuje się po placyku. Na drodze robi się tłok. Wszyscy się pchają pod kuchnię, by zobaczyć ,, menu." Normalne: 240 gr. kartofli, 50 gr. marchwi, wieczorem herbata, 250 gr. chleba i marmolada.

Dziś jest mój dzień. Ja proponuję Wacławowi spacer.

" Może przejdziemy się trochę po drodze, to nam dobrze zrobi."

Wacław jest ironiczny : ,, Przypuszcza pan, że nasze zdrowie może być jeszcze komuś potrzebne."

O, niedobrze. Trzeba przerwać ten nastrój. Staram się ożywić rozmowę i przechodzę do sedna rzeczy. Rzucam stereotypowe pytanie : ,, No jak pan sądzi, kiedy się to skończy."

— Nie wiem, może jeszcze dwa lata, a może mają rację ci, którzy mówią, że to potrwa 10 lat. Okropna jest ta nieświadomość. Żeby człowiek przynajmniej wiedział, że będzie tu musiał jeszcze siedzieć 2, 3 lub nawet 5 lat, toby jeszcze można sobie jakoś życie urządzić. Ta nieświadomość jest na prawdę przygnębiająca.

— No, jesteśmy jeszcze młodzi — rzucam.

— Młodzi, młodzi, ale wyjdziemy stąd na pewno już starzy. Będziemy zresztą poza kursem. Będziemy niepotrzebni. Wszystkie miejsca będą zajęte. Będziemy musieli na nowo stwarzać sobie życie, o ile będziemy jeszcze do czegoś zdolni.

— Będziemy jeszcze potrzebni, będziemy jeszcze pożyteczni, tylko nie należy się opuszczać. Dbajmy o zdrowie i starajmy się w miarę możności wykorzystać nawet i ten pobyt w niewoli.

Wacław zaśmiał się ironicznie.

— Widzę, że i pana ogarnął ten śmieszny szał nauki. Czego pan się uczy ? Arabskiego, buchalterii, czy ekonomii. Ci śmieszni ludzie tu w obozie myślą sobie że zdołają nadrobić to co utracili, zakuwając się różnymi naukami, które im nigdy nie będą potrzebne. Cała ta śmieszna nauka to po prostu reakcja instynktu samozachowawczego przeciw powolnej śmierci.

— Naturalnie — odpowiadam. Gra tu tak samo instynkt samozachowawczy, jak gra on w czasie naszej przechadzki. Bronimy się, jak możemy, przed wyjałowieniem fizycznym i intelektualnym i nie trzeba się tego ani wstydzić ani potępiać. Zresztą niewola może też przynieść korzyści. Podobno Maurice Chevalier, który w czasie poprzedniej wojny był długi czas w niewoli niemieckiej, wykorzystał ten czas do nauczenia się języków i do pogłębienia studiów artystycznych, co mu się przydało w jego karierze artystycznej. Podobno niewola przekształciła go z kabotyna w artystę. Może niejeden z naszych kolegów, ucząc się arabskiego, hiszpańskiego czy ekonomii, będzie mógł potem w cywilnym życiu wykorzystać te umiejętności.

Wacław się uśmiechnął. — Może ma pan i rację. W każdym razie my aspiranci starajmy się wykorzystać tę chwilę szału intelektualnego, jaki ogarnął Oflag. Krążą pogłoski, że Niemcy mają przenieść wszystkich aspirantów do obozów żołnierskich, gdzie będziemy musieli pracować.

W dalszym ciągu odgrywam rolę nieprzejednanego optymisty.

— No więc cóż — odpowiadam — poznamy Niemcy, może i to nam się przydać.

Wacław wyciąga zegarek. Dochodzi 10. Za chwilę zaczynają się wykłady.

— Ja pójdę na wykład o Charles Peguy. Francuzów ogarnął teraz szał na temat tego autora. Zresztą trzeba skończyć spacer — zapomnieliśmy o zelówkach.

— Istotnie, za długo chodzimy. Trzeba pamiętać, że buty muszą nam starczyć na dłuższy czas, kto wie, może na kilka lat. — Zagadaliśmy się przy tym tak, że zboczyliśmy z trawnika na asfalt. Zawsze pamiętam o tym, by unikać chodzenia po asfalcie ze względu na oszczędność. Dziś zapomniałem.

STALAG

Na wojnie najgorsze przewidywania zawsze się widocznie sprawdzają. Tak też i sprawdziły się zapowiedzi, że odeślą nas z Oflagu do Stalagu. Początkowo dowództwo obozu chciało nas zmusić po dobroci. Zaczęto nas namawiać do zgłoszenia się do pracy i w ten sposób rzekomo poprawić sobie warunki bytu. Kilku kolegów zaczęło się nawet namyślać, czy tego nie zrobić. W wyjeździe do Stalagu upatrywali możliwości ucieczki, możliwość wydostania się na świat.

Z kilku przyjaciółmi oparliśmy się stanowczo tego rodzaju namowom, oświadczając, że nie mamy najmniejszego zamiaru pracować dla Niemców. W końcu cała nasza grupa aspirantów polskich oświadczyła, że dobrowolnie nie wyjedzie. Niestety aspiranci francuscy z innych bloków Oflagu zgłosili się gremialnie do pracy. Niemcy więc oświadczyli nam kategorycznei, że skoro Francuzi mogą i chcą pracować, to tym bardziej, nie widzą najmniejszego powodu, żeby Polacy nie pracowali.

25 listopada otrzymaliśmy zawiadomienie, że wszyscy aspiranci jutro odjeżdżają do nowego obozu, oczywiście do Stalagu. Za pośrednictwem komendanta grupy polskiej, majora K. złożyliśmy raport do generała niemieckiego, komendanta naszego Oflagu, przedkładając mu, że jako jeńcom wojennym, przysługuje nam prawo odmówienia pracy. Porucznik niemiecki, komendant naszego bloku, schował oczywiście papier do kieszeni i rozkazał nam przygotować się do wyjazdu. Tak ruszyliśmy w drogę.

Kilkumiesięczny pobyt w Oflagu zrobił swoje. Dwa kilometry dzielące nas od Oflagu do stacji pod Norymbergą przeszedłem z trudem. W czasie kilkuminutowych odpoczynków waliłem się jak martwy na ziemię, oddychając pełnymi piersiami. Byliśmy zupełnie pozbawieni sił.

Tym razem nie jechaliśmy przez Maerzfeld, lecz przez jakiś podmiejski przystanek Norymbergii. Dzielnice podmiejskie przedstawiały się jak wszystkie tego rodzaju dzielnice w miastach niemieckich. Ładne, schludne, kolorowe domeczki z kolorowymi dachami, ulice wyasfaltowane, przyzwoite chodniki. Było jeszcze rano, tak, że właśnie dzieci wychodziły do szkoły i robotnicy szli do pracy. W czasie naszej drogi nie zauważyłem żadnych wrogich manifestacyj pod naszym adresem. Ludność niemiecka widocznie już była przyzwyczajona do jeńców wojennych. Gdy przyszliśmy do stacji kolejowej, byliśmy w stanie ostatecznego wyczerpania.

Znowuż podstawione czekały na nas bydlęce wagony. Zapakowano nas, zaplombowano i ruszyliśmy w drogę.

Krajobraz górnej Bawarii, w szacie jesiennej, wygląda smutno. Uboga roślinność, ziemia nie zbyt urodzajna. Krajobraz ożywiają jedynie fabryki, które widać przy każdej prawie stacji. Trzeba im przyznać, że zabudowania fabryczne, dworce stacyjne jak i domki rozrzucone na horyzoncie świeciły nowością. Niemcy nie zmarnowali pożyczek angielskich i amerykańskich, jakich im szczodrze udzielano za czasów Republiki Wejmarskiej, a nawet i za czasów Hitlera. Koło fabryk kręcą się wszędzie jeńcy francuscy.

Nasi koledzy francuscy są ożywieni. Przypuszczają, że czeka ich jakaś interesująca praca. Zapobiegliwością iście francuską chcą wykorzystać nawet swój pobyt w niewoli. Jeden z aspirantów inżynier chemik z za-

wodu, który przed wojną pracował w jakimś browarze pod Paryżem, przypuszcza, że dostanie się do browaru niemieckiego i że będzie się mógł przyjrzeć niemieckiej produkcji piwa. Ogromnie sobie dużo obiecuje po tej praktyce w Niemczech. Będzie mu się to liczyło do jego kariery w zawodzie. Inny znowu jest nauczycielem języka niemieckiego spod Belfortu. Ten przypuszcza, że dostanie się może do jakiegoś gimnazjum niemieckiego, jako nauczyciel języka francuskiego. Przyznał mi się, że w skrytości ducha marzy o tym, żeby przydzielili go do katedry literatury języka francuskiego w Stuttgarcie. O święta naiwności ! Nie wiedzą biedacy co ich czeka.

Wieczorem przyjechaliśmy do miasteczka X. Małe, bawarskie miasteczko, liczące jakieś 5 tys. mieszkańców. Na dworcu przyjęto nas jak zwykłych podróżników. Mały chłopak, kręcący się po dworcu jako zastępca zawiadowcy czy coś w tym rodzaju, poinformował nas, że 4 kilometry od miasteczka mieści się Stalag i że w okolicy pracuje dużo jeńców wojennych wszystkich narodowości.

Przez miasteczko wlekliśmy się powoli, starając się przyjrzeć mu jak najwięcej. Ludność też już nie reagowała na jeńców. Od czasu do czasu z jakiejś piwiarni wychodziło kilku starych dziadów z fajkami w zębach, popatrzyło na nas przez chwilę i zawróciło z powrotem do swych kufli. Droga była bardzo ciężka. Cały czas szliśmy pod górę. Na skrzyżowaniu dróg figurki świętych w barokowych kapliczkach przypominały mi Polskę. Eskorta, starsi żołnierze, nie bardzo nas pilili. Sami może kiedyś byli jeńcami, wiedzieli co to jest wyczerpanie fizyczne, poza tym i sami ledwo przebierali nogami.

Do obozu przywlekliśmy się o godzinie 13 wieczór. Obóz był przepełniony i nic nie zostało przygotowane na pomieszczenie nowych jeńców. Na szczęście okazało się, że jest osobny barak polski, dokąd też nasza polska grupka natychmiast się udała.

Barak polski, ledwo oświetlony lampami naftowymi, zapchany był od góry do dołu drewnianymi pryczami. Otoczyły nas znajome mundury polskie. Żołnierze z Kampanii Wrześniowej. Zaczęli nas wypytywać kto my. Żołnierze z dywizji polskiej z Francji. Posypało się pełno pytań. Jak wyglądała armia polska we Francji. Gdzie się biła, dlaczego Francja się poddała. Co się dzieje z rządem polskim. Gdzie są resztki armii polskiej.

Zaczęliśmy opowiadać. Obstąpiła nas gromada słuchających. Co chwilę ktoś przerywał : Ależ dajcie im odsapnąć, przecież ledwo się trzymają na nogach. Wyciągały się ku nam flaszki z piwem, kawałki chleba i po chwili wrac..ły znów te same pytania. Tak, na stojąco, przegadaliśmy kilka godzin. Po tym troskliwie wynaleziono nam miejsca, ułożono nas do snu. Porozkładano pakunki, pookrywano kocami. Zasypiając słyszałem jeszcze w półśnie jak dwaj żołnierze wymieniali nade mną opinie na temat wiadomości, które zasłyszeli.

Następnego dnia zbiórka wszystkich aspirantów, którzy przybyli z Oflagu. Pofatygował się do nas sam pułkownik, komendant Stalagu. Złożył nam gratulacje, że przyjechaliśmy jako ochotnicy do pracy. Nie wiedział nic o tym, że nasza polska grupa wcale nie przyjechała z własnej woli. Staliśmy milcząco w szeregu. Poco protestować. Już się stało. Czekajmy co będzie dalej. Pułkownik nieco ironizował. Oświadczył bowiem, że jakkolwiek rozumie entuzjazm młodego pokolenia francuskiego do pracy, to jednak musi uprzedzić, że praca robotnika rolnego jest bardzo ciężka. Od razu rozwiał iluzje tych, którzy obiecywali sobie jakieś interesujące posady w przemyśle niemieckim. Zmęczony wreszcie długim przemówieniem wypuścił kilka kłębów dymu z cygara, którego nie wyjmował z ust, i odszedł zostawiając nas na łaskę lagerfeldfebla. Suchy, drobny,

o ostrych rysach twarzy, typowy żołdak pruski. Z nim odtąd mieliśmy do czynienia.

Przez pewien czas feldfebel B. zostawiał nas w spokoju. Poznawaliśmy życie obozowe. Warunki były najzupełniej prymitywne. O wiele gorzej niż w Oflagu. Stalag składał się z jakichś siedmiu, czy ośmiu długich baraków, zwilgotniałych, zaciekających, o przegniłej podłodze. Spało się na siennikach, napchanych wiórami drzewnymi, które po pewnym czasie twardniały na kamień. O żadnej bieliźnie pościelowej naturalnie nie mogło być mowy. Siennik przykrywało się kocem, drugim kocem nakrywało się samemu. Oczywiście większość spała w mundurach. Rozbierali się tylko odważniejsi, którzy woleli ryzykować zimno, niż niehigieniczny sposób wypoczynku w ubraniu. Aspiranci, ze względu na szarże, mieli spać osobno.

I znów zaczęły mijać dni, jedne podobne do drugich. Francuzi poczęli się denerwować. Niektórzy zgłaszali się sami jako ochotnicy na wyjazd do farm chłopskich. Inni do fabryk. Wiadomości, jakie otrzymaliśmy na miejscu od jeńców na temat warunków pracy w okolicy były bardzo niepomyślne. Przestrzegano nas specjalnie przed pracą w rolnictwie. Chłop bawarski jest trudny i stara się jeńca wyeksploatować do ostateczności, nic mu w zamian nie dając.

Z grupką najbliższych przyjaciół postanowiliśmy czekać póki się da najdłużej. Nie miałem najmniejszej ochoty pracować u chłopa niemieckiego, a tym bardziej w fabryce niemieckiej. I to zarówno ze względów zasadniczych jak i ze względów czysto praktycznych. Poza tym nie chcieliśmy się rozbić, w gromadce zawsze było raźniej.

Przez kilka tygodni wałęsaliśmy się z kąta w kąt, znudzeni, zmoknięci i głodni. Dzień w dzień z grupki aspirantów ubywało po kilku. Pierwsi wyjeżdżali Francuzi, po tym kilku młodszych kolegów z grupy polskiej postanowiło wyjechać na fermy by dokonać rozpoznania okolicy. Ostatecznie została na w obozie nieliczna grupka.

Feldfebel B. patrzył na nas coraz bardziej krzywym okiem. Coraz bardziej potrzeba było rąk do pracy, a tutaj pęta się po obozie gromada darmozjadów. Sytuacja stawała się naprężona. Trzeba było coś postanowić, bo w końcu wyśle nas sam do jakiejś ciężkiej roboty. Najcięższą i najbardziej niezdrową była praca w kamieniołomach i przy osuszaniu błot. Po kilku miesiącach wracało się zupełnie zniszczonym fizycznie, w jednym wypadku z chorobą płuc, w drugim — z reumatyzmem na całe życie.

Jednego dnia na zbiórce oświadczył kategorycznie, że wszyscy muszą pracować. Jednocześnie zgłosił zapotrzebowanie kilku aspirantów do pracy w biurach obozu, w kancelarii, na poczcie, w infirmieri i t.p. Warunek niezbędny — znajomość języka niemieckiego. Postanowiłem działać bezczelnie. Mówiłem po niemiecku słabo, łamanym językiem, którym mogłem się porozumieć z prostymi ludźmi. Mimo to wraz ze swym kolegą, ex-dyplomatą, zgłosiliśmy się.

Kandydatura moja nie przypadła jakoś do smaku feldfeblowi. Zagadał do mnie po niemiecku, nie zrozumiałem o co chodzi. Spytał mnie o zawód. Chwila wahania. Nie mogę powiedzieć, że byłem dziennikarzem. Dziennikarz, zwłaszcza Polak, w oczach Niemca — to kategoria najbardziej podejrzana politycznie. Zaczęłyby się od razu pytania, kto, skąd, co robił, co pisywał. Miałem w stosunku do Niemców poważne grzechy na sumieniu z czasów mojej kariery dziennikarskiej. Postanowiłem skłamać. Przyszła mi do głowy myśl. Odpowiadam: Ich bin Jurist. To mu widocznie zaimponowało. Zgodził się.

Codziennie o godz. 8 rano przychodziłem do kancelarii obozu gdzie niby pracowałem. Na początku praca moja polegała na sprawdzaniu liczby stanu jeńców w obozie, po tym robiłem kartotekę adresów jeńców odjeżdżających z obozów na „Arbeitskommando" do pracy. Według tych

adresów rozdzielano im pocztę i paczki, jakie przychodziły na adres obozu.

Siedziałem kilka godzin przy stoliku i obserwowałem. Był to znakomity punkt obserwacyjny. Przez kancelarię przesuwało się dziennie z 20 Niemców, chłopów i mieszczan, przyjeżdżających do obozu po ludzi do pracy .Przez kancelarię przewijali się żołnierze wracający z Arbeitskommando. Jedni i drudzy przynosili wiadomości, jedni i drudzy byli materiałem obserwacyjnym. Niemcy opowiadali o bolączkach swego zawodu, o sytuacji gospodarczej, uskarżali się na wojnę, na podatki. Żołnierze opowiadali o warunkach pracy, znosili wiadomości polityczne, informowali się gdzie są lotniska, gdzie był nalot R.A.F.'u, jakie szkody wyrządziły bomby, jakie są nastroje ludności i t.p.

W obozie panował nieopisany bałagan. Podoficerowie niemieccy prowadzący rachunkowość i ewidencję, nie mogli dać sobie rady z kilkudziesięcioma tysiącami jeńców, z problemem ich wyżywienia, ubrania i organizacji. Poza tym przez obóz przechodziły stale jakieś partie jeńców, udających się w różne miejsca przeznaczenia. To grupa Flamandów, zwalnianych do domów, to grupy górników francuskich, to Korsykanie, to Rosjanie z armii francuskiej. Wszystko to stwarzało stan ciągłego chaosu i bałaganu. W kartotekach można było działać jak się komu podoba, dorabiać sobie lata, zmieniać narodowość, rodzaj broni. Wszystko było w rękach jeńców.

Od mego stolika pod oknem zacząłem innym wzrokiem patrzeć na kraj, który dotychczas uważałem za kraj ładu, porządku i organizacji.

D.C.N.

EDWARD RACZYŃSKI

O NOWĄ POLITYKĘ EUROPEJSKĄ

Powersalska polityka zwycięskich mocarstw zakończyła się katastrofą. Nie ma rządu ani państwa, które by miało prawo wyprzeć się wszelkiej odpowiedzialności za popełnione błędy — choć na niektórych ciążą one bardziej — choćby dlatego, że ich ciężar gatunkowy był większy i decyzje ich donioślejsze. Jeśli pozwalam sobie o tym mówić, to dlatego, że fakty są powszechnie znane, że nikt im nie przeczy i że zawierają cenne nauki na przyszłość.

Zwycięstwo w roku 1918 powołało do życia na kontynencie europejskim pewną liczbę państw nowych lub odbudowanych. Jest faktem niezaprzeczalnym, że te mniejsze, a ściślej mówiąc, słabsze państwa — wbrew szeroko rozpowszechnionemu i błędnemu poglądowi — pod wielu względami dorosły do oczekujących je zadań. Trudno jest przy tym zapomnieć, że znalazły w Wielkiej Brytanii a także i poza nią, poparcie i pomoc niedostateczną i pełną wahania.

Wielkie kredyty, tak pilnie potrzebne dla odbudowy gospodarczej Europy, szły na dogodnych i łatwych warunkach do Niemiec, których terytorium nie zaznało zniszczeń długiej i okrutnej wojny. Natomiast cierpiące niedostatek i spustoszone kraje kontynentu opłacać musiały drogo słaby dopływ kredytów, który do nich dochodził. Niemcy wydawały się lepszym i bezpieczniejszym terenem inwestycji pieniężnych i — o ironio ! — właśnie w Niemczech dokonano wynalazku hurtownego „ zamrażania " należności zagranicznych, który też konsekwentnie stosowano aż do chwili wybuchu wojny.

Nie należy przemilczeć faktu, że Polska postępowała nierównie sumienniej, spłacając pożyczony jej kapitał i procenty konsekwentnie, z wytężeniem swych sił, mimo wielkich trudności, wywołanych ciężką sytuacją ogólną.

Wielka Brytania z wahaniem przystępowała do wiążących umów z kontynentem, trzymając się ,,roztropnie" w obrębie zachodniej granicy Renu. System europejski, zdany na opiekę Francji, cieszył się poparciem Anglii tylko po tę dowolnie obraną linię. System lokarneński, gorąco wychwalany w swoim czasie w imię realizmu politycznego, był raczej dzieckiem brytyjskiego tradycjonalizmu. Locarno nie wykluczało wprawdzie reakcji Wielkiej Brytanii, choć nie automatycznej, na wypadki rozgrywające się na wschód od Renu. Miało jednak właściwości usypiające. W cieniu czcigodnego, lecz próchniejącego locarneńskiego dębu, Wielka Brytania spoczęła z beztroską, podczas gdy teutoński knecht gromadził siły do uderzenia na wschód, zachód, północ i południe.

Znaczną część tych sił czerpały Niemcy ze środkowych i wschodnich rejonów Europy, rozległych i po części bardzo żyznych, pod względem przemysłowym niedostatcznie i nierównomiernie rozwiniętych, lecz wyposażonych przez przyrodę w wiele cennych surowców, produkujących nadwyżkę środków żywności i wciąż jeszcze eksportujących na wielką skalę taniego a wartościowego robotnika.

Niemcy od dawna gotowały się do opanowania państw i narodów tego wielkiego obszaru. Aby postępowaniu swemu nadać pozory słuszności, nazwali go ,, niemieckim obszarem życiowym." Przemienili go odtąd na ,, obszar śmierci." Z narodów zamieszkujących go — jedne zostały napadnięte i, poniósłszy klęskę, wydane zostały oprawcom, inne zmuszone strachem lub namową do posłuszeństwa. Żaden z nich nie ostał się wolny. Zanim rezultat ten został w połowie osiągnięty, Locarno żyć przestało. Nastąpił czarny okres ,, appeasement," smutny przede wszystkim tym, że opierał się na urojeniu i nie zawierał myśli twórczej. Pamiętać warto o zdaniu Frederyka Wielkiego, że żaden kraj nie jest dość bogaty, aby za pokój płacić wrogom ustępstwami. Okres ten zakończony został gwarancją, udzieloną Polsce. Wbrew krytykom niedostatecznie przemyślanym, gwarancja brytyjska dla Polski była aktem słusznym i płodnym. Nie był to akt kuglarstwa politycznego, dokonany czyimś kosztem — akt t. zw. Power politics — a hasło głoszące : ,, Dość grabieży," było wezwaniem do oporu, zwróconym do wszystkich gnębionych i straszonych. Był to nawrót do dumnych tradycji przeszłości, a zarazem zarys nowej polityki. Ten posiew teraz wzrasta. Kształtować się zaczyna samorzutnie nowy europejski system kontynentalny, w którym znajdzie się miejsce dla wszystkich mocarstw, większych i mniejszych — zdecydowanych swoją przyszłość i bezpieczeństwo oprzeć na ładzie zbudowanym na sprawiedliwości politycznej i społecznej. Jego znamieniem będzie łączenie w większe kompleksy elementów dotąd rozdrobnionych — nastąpi to jednak nie w drodze zaboru lub przetargu, lecz samorzutnej kooperacji — w odpowiedzi na hasło, które zabrzmiało wreszcie znowu na sali obrad Westminsteru.

Wielkie decyzje — takie, które pozostawiają po sobie trwałe skutki, wytyczając drogi przyszłości — są rezultatem silnego napięcia Woli i Uczucia, i wypływają one z głębokiego instynktu narodu. Mówiono w Anglii w roku 1939 : ,,decyzja rządu brytyjskiego udzielenia gwarancji Polsce była błędem — trzeba było zacząć od porozumienia z Rosją, a potem dopiero gwarantować innych!" Mimo woli przypomina się to westchnienie strudzonego wędrowca, który zatrzymując się w połowie drogi między Londynem a Edynburgiem, myśli z żalem o tym, że gdyby był zaczął od drugiego końca, to byłby już zaszedł na miejsce. Udział Związku Sowieckiego w tej wielkiej wojnie jest zasadniczo ważny i zaiste konieczny. Ten wkład budzi podziw i szacunek. Ale czy byłby on do osiągnięcia w roku 1939 ? Wolno jest w to wątpić. Bowiem błąd zasadniczy, który tkwił w założeniach politycznych mocarstw zachodnich w roku 1939, nie leżał w ich operacjach taktycznych, ale w wielkim niedociągnięciu strategicznym : niedostatecznej ich sile militarnej.

Po osiągniętym zwycięstwie nastanie okres ponownego budowania od podstaw gmachu Bezpieczeństwa Zbiorowego. Albo na gruzach dawnego porządku powstanie porządek nowy — albo też świat rozpadnie się na grupy, gotujące się nieświadomie, lub raczej świadomie, do nowej wojny.

Prawdą jest, że słowa zużywają się, jak ludzie i że do takich kategorii zużytych należy Liga Narodów. Słusznie powiedział generał Smuts w niedawnym przemówieniu, że punktu wyjścia nowego ustroju szukać należy w nowym ośrodku siły; we współpracy „Zjednoczonych Narodów". Taka reforma daje dwa cenne elementy: kładzie ona nacisk na konieczność utrzymania inicjatywy i decyzji na czas dłuższy, tak długi, jaki potrzebny będzie dla zapewnienia powodzenia całej akcji — w rękach tych państw, które tego powodzenia pragną. Zabezpiecza przed błędem, który popełniono po tamtej wojnie, a mianowicie przed dopuszczeniem do kierownictwa nowej Ligi niedawnych agresorów w nadziei, że to przyczyni się do ich poprawy — zanim dali jakikolwiek dowód chęci uczciwej współpracy. Stało się wówczas tak, jak stać się musiało i jak stanie się ponownie, o ile błąd dawny się powtórzy. Uczestnictwo w Lidze Narodów wyzyskane zostało przez napastnika niemieckiego i posłużyło do spaczenia aparatu Ligi i przyspieszenia jej upadku.

Drugą korzyścią, którą przy budowie nowego świata przyniesie oparcie się na „Zjednoczonych Narodach", jest mocne zaznaczenie decyzji zerwania z neutralnością. Rzecz nie jest nowa. Neutralność nie była do pogodzenia z Paktem Ligi Narodów, który zobowiązywał wszystkich członków Ligi do zbiorowego działania. Jednak praktyka okazała się inna. Kolejne interpretacje paktu coraz więcej otwierały możliwości chronienia się członków Ligi Narodów w dogodnej przystani neutralności, a równolegle, wbrew logice, Duch neutralności, z pozoru wzniosły i bezstronny, ale daleki od rzeczywistości — chłodny i nieskłonny do ofiar w obronie głoszonych zasad — zdobywał sobie nieproporcjonalnie wielki głos w Ligowych naradach.

Idąc po myśli generała Smuts'a, należałoby zastąpić zużytą nazwę Ligi Narodów nazwą mniej może ceremonialną, a ściśle oddającą jej charakter i zadanie: „The United Nations League" — Liga posiadać winna The United Nations Executive Council i ramię wykonawcze.

Najstaranniejsze jednak zorganizowanie międzynarodowych i międzykontynentalnych władz nadrzędnych nie może zastąpić niezbędnej pracy u podstaw wszędzie tam, gdzie istnieją po temu warunki, a przede wszystkim na terenie tak trudnym i tak zagrożonym, jak kontynent europejski. W istocie dla zapewnienia stosunków uregulowanych, opartych na czterech Wolnościach Prezydenta Roosevelta, nie wystarczy mieć narzuconą z zewnątrz „Siłę Policyjną". Trzeba, przeciwnie, kontynent ten tak zorganizować, aby agresora w miarę możliwości pozbawić chęci i możności dalszego szkodzenia, natomiast wzmocnić elementy, szukające bezpieczeństwa i praworządności. Do tej pracy koniecznie wciągnięta być musi Europa Locarneńska wraz z Francją. Tezy tej nie potrzebuję bronić ani uzasadniać, gdyż nikt jej serio nie kwestionuje. Natomiast stwierdzam, że to jest nie dosyć. Twierdzę, że jest koniecznością nie do uniknięcia pójście dalej po linii polityki, rozpoczętej przez Wielką Brytanię w roku 1939 — przez wciągnięcie do bliższej współpracy pokojowej państw i narodów, położonych na Wschód od linii Locarneńskiej. Państwa te w czasie ćwierćwiecza, dzielącego pierwszy etap wojny światowej od drugiego, osiągnęły duży postęp we wszystkich dziedzinach. Warto zaznaczyć, że to nie one są w jakikolwiek sposób odpowiedzialne za wybuch ponownej wojny światowej. Natomiast przyrost sił niemieckich, osiągnięty z chwilą ich opanowania, odsłonił kruchość i niedostateczność systemu locarneńskiego. System ten nie przewidywał udziału Rosji Sowieckiej. Dziś Związek Sowiecki siłą rzeczy odgrywa ważną rolę w organizacji



HENRYK GOTLIB

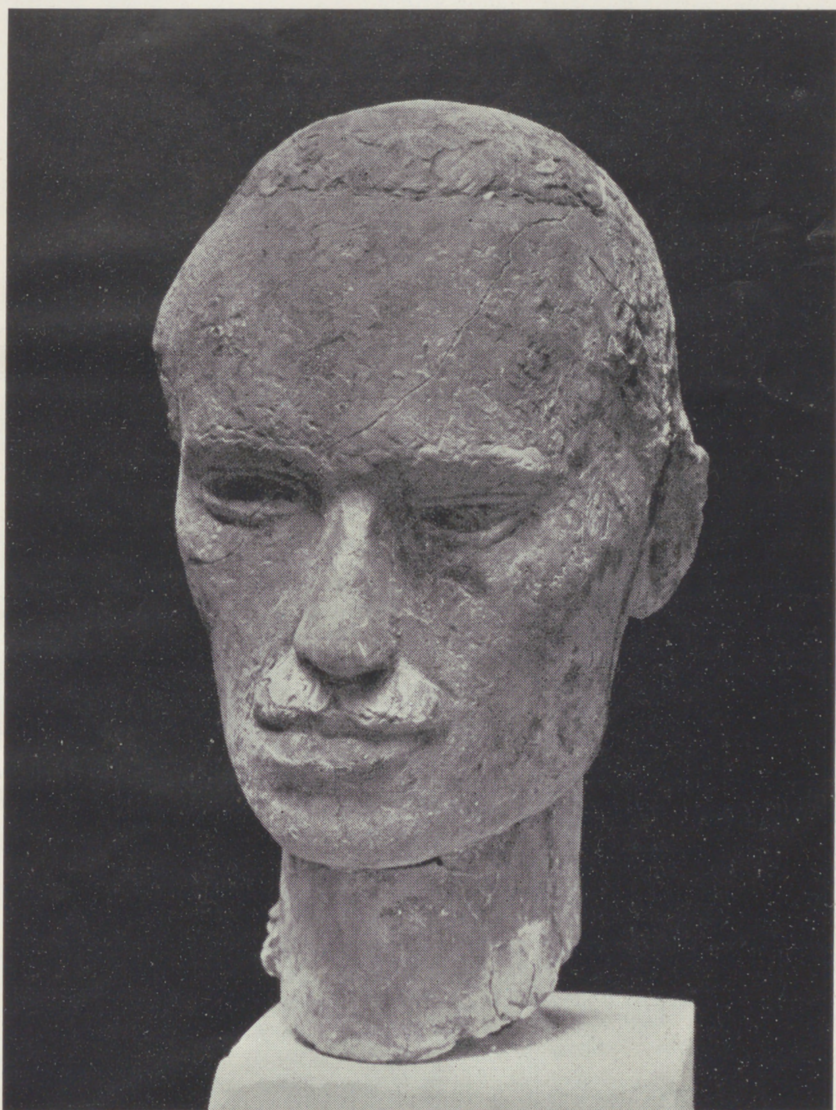
FRAGMENT OBRAZU:
„Warszawa—wrzesień 1939"



HENRYK GOTLIB — Pejzaż z Hampsteadtu



HENRYK GOTLIB — Pejzaż z Kornwalji



TADEUSZ KOPER „MAREK”



TADEUSZ KOPER „RENETA”

Zjednoczonych Narodów. Państwa Środkowo — Wschodniej Europy czują się podobnie powołane do wzięcia udziału w rozwiązaniu zadań na nie przypadających. Jest oczywiście nie do pomyślenia, by współpraca ich, która przybrać może różne formy, mogła — czy to przez swą organizację czy duch ją ożywiający — zająć stanowisko nieprzyjazne w stosunku do Związku Sowieckiego. Przeciwnie, stanowić ona będzie dodatkową gwarancję pokoju wzdłuż zachodniej granicy Związku Sowieckiego.

Istnieje aksjomat, że jeśli się chce mieć przyjaciół, trzeba mieć siłę. W polityce, a i w życiu — to tylko połowa prawdy. Trzeba bowiem poza tym jeszcze umieć wzbudzić zaufanie przez stałość w trzymaniu się zasad i celów, które muszą być zrozumiałe i winny służyć nie tylko interesowi własnemu, ale także interesowi przyjaciół, których się poszukuje.

Wielka Brytania nieraz już w swej pełnej chwały przeszłości umiała skupić wokoło siebie wiernych sojuszników. Przeszła ona w latach, poprzedzających wojnę, przez okres słabości. Słabość tę pokonała. Jest silna, a przyjaciele jej wierzą, że zechce i po osiągnięciu zwycięstwa silną pozostać. Liczy na to z najgłębszym przekonaniem Polska, która w marcu roku 1939 była przedmiotem pierwszej z kolei gwarancji brytyjskiej. Podczas gdy niektóre państwa wschodniego rejonu Europy, sparaliżowane terorem niemieckim, uchyliły się od ofiarowanej im gwarancji, inne zaś zadowolniły się biernym jej przyjęciem, nie odważając się same odsłonić przyłbicy, Polska zdobyła się na przyjęcie na siebie zobowiązania wzajemnego, zajmując tym samym miejsce pierwszego po Francji sojusznika Wielkiej Brytanii. Sojusz ten jest ważny i wiążący. Zobowiązuje on m.i. obie strony do niezawiązania osobnego rozejmu. Jest wykonywany przez obie strony z pełną lojalnością. Jeśli chodzi o Polskę, to związanymi czują się i Rząd jej, i żołnierz, marynarz czy rolnik, a także cały Naród tam, pod okupacją znoszący okrutne cierpienia i codzień ponoszący krwawe straty w swych najlepszych synach. Trwający mimo to w niezłomnym oporze, nie wydawszy ze siebie nikogo, który by się zgodził współpracować z wrogiem. Nie chodzi tutaj zresztą o sojusz formalny, obliczony na okres wojny. Polska wierzy, że, wytrzymawszy najcięższą próbę, która na nią spaść mogła, zdobędzie zarazem możność konstruktywnego jej wyzyskania w oparciu o brytyjskiego sojusznika i w interesie przyszłego europejskiego porządku. Posiada ona po temu potrzebne kwalifikacje. Dość znaczna ludnością i obszarem, jest ona przede wszystkim i najistotniej zainteresowana umocnieniem bezpieczeństwa własnego i innych państw jej rejonu, znajdujących się w podobnym do niej położeniu. Stąd jej stałe i konsekwentne wysiłki do ścisłego powiązania się z nimi na zasadach zupełnej równości. Nie mając z żadnym z nich nierozwiązalnych zatargów, uważa się za czynnik zespalający i mogący w danym razie być pomocnym w łagodzeniu trudności innych. Osiągnięcia pożądanego celu szuka przy poszanowaniu zasad demokratycznych u siebie i zabezpieczeniu sprawiedliwości społecznej. Współpracując z sąsiadami Czechosłowakami, Rząd generała Sikorskiego rzucił podwaliny pod konfederacje obu państw w deklaracjach z 11 listopada 1940 roku i 9 stycznia 1942 r. Przy tej sposobności oba rządy powitały z gorącym zadowoleniem deklarację grecko — jugosłowiańską z dn. 15 stycznia 1942 roku, która ożywiona jest tym samym twórczym duchem.

Świadoma swej odpowiedzialności Polska nie może zamykać oczu na niebezpieczeństwa, które nawet po osiągnięciu zwycięstwa nie przestaną jej grozić od Niemiec. Dlatego oczekuje, że otrzyma tym razem środki, pozwalające na spełnienie przypadających jej zadań przez zmiany terytorialne, wzmagające jej obronność i zapewniające jej zarazem lepsze warunki niezależności gospodarczej.

Stwierdzić należy z zadowoleniem, że Rząd Brytyjski docenia celowość naszych wysiłków około zorganizowania Wschodniej połaci Europy. W

szczególności podkreślić należy ważne oświadczenie Sekretarza Stanu dla Spraw Zagranicznych w Leamington dnia 26 września 1942 roku, które pozwolę sobie przypomnieć:

,,Rad jestem, że mniejsze państwa również zdają sobie sprawę z konieczności współpracy między sobą. Istnieje umowa Polsko — Czechosłowacka i umowa Grecko — Jugosłowiańska, które obie są równocześnie wynikiem i wyrazem tego poczucia jedności. Jeśli o nas chodzi, będziemy nadal popierali tego rodzaju umowy i porozumienia i będziemy zachęcać mniejsze państwa do skupiania się w większe, aczkolwiek nie ekskluzywne ugrupowania. W ten sposób państwa te będą mogły, we współpracy z Wielkimi Mocarstwami, spełnić swoje zadania w utrzymaniu pokoju".

BOLESŁAW ZUBRZYCKI

METAMORFOZY

I

W epoce, której charakter ogólny najzwięźlej może określił Malraux, nazywając ją ,,czasami pogardy", wydają się nieraz burze i przewroty minionego wieku czymś bukolicznym i sentymentalnym, jak wyblakłe akwarelki w starym sztambuchu. W epoce Matteotiego, Thaelmana i Starzyńskiego łatwo zapominamy o tragiźmie rewolucyjnym wieku Pellica i Łukasińskiego. O tragiźmie tym głębszym dzisiaj, gdy na chwiejnych szalach wojny ważą się losy puścizny ideowej naszej nowoczesnej cywilizacji. Pochód wojenny totalistów nie tylko przekreślił granice wielu państw i narzucił swój ład polityczny przeważającej części naszego kontynentu, ale wtargnąwszy w biblioteki, pracownie, szkoły, sale sądowe, wypowiedział nieubłaganą walkę tym ideałom etycznym i zasadom ładu gromadzkiego, których zwycięstwo kosztowało tyle krwi, przelanej na barykadach w XIX wieku.

Drogą siły wywołano kryzys podstawowych pojęć etycznych i ideałów cywilizacyjnych na kontynencie, tak jak swego czasu stworzono kryzys już nie parlamentaryzmu, ale demokracji w ogóle, by utorować sobie drogę do władzy absolutnej na popiołach podpalonego parlamentu i spalonej deklaracji praw człowieka i obywatela.

Cechą charakterystyczną krucjaty ideologicznej totalistów jest fakt, że usunięto siłą i starto z tablicy praw nietylko te, które wynikały z wolnościowych koncepcji ideologicznych, przeciw którym skierowane zostało ostrze frazeologii ideowej proroków totalizmu, ale że podkopano też i te doktryny, które stanowiły jeden z artykułów credo ,,Nowego Ładu".

I w tym wypadku potwierdza się stara prawda po paradoksalności rewolucji, niszczącej w swym rozwoju te koncepcje i doktryny, które stanowiły pierwsze ideologiczne usprawiedliwienie jej początków.

II

Prawo samostanowienia narodów i koncepcja państwa narodowego są niewątpliwie jednymi z najważniejszych pozycji w spadku ideowym, który zostawił nam ów rewolucyjny ,,wiek supremacji wolnomularskiej", jeśli tak za Rosenbergiem nazwiemy wiek XIX.

Prawo narodów do własnego, niezawisłego państwa było dla ideologów demokracji XIX wieku równie oczywiste i uzasadnione, jak prawo obywateli do kontroli rządów i do udziału w życiu politycznym. Sprawa polska była w owych czasach najbardziej aktualną ilustracją krzywdy dziejowej i ona też była wysuwana jako postulat, warunkujący sprawiedliwy

ład międzynarodowy przez wszystkich bojowników wolności ludzkiej od dekabrystów rosyjskich, poprzez „Młodą Europę“ Mazziniego aż do Karola Marksa. Prawo narodów do stanowienia o sobie stało się jedną z programowych zasad demokracji nowoczesnej i jasnym jest też, że z chwilą gdy alianci nadali wojnie lat 1914-1918 charakter wojny ideologicznej o zapanowanie zasad demokracji, to prawo stało się jedną z podwalin stworzonego przez nich systemu wersalskiego.

Pojęcie narodu ulegało jednak głębokiej ewolucji w długim i burzliwym okresie od wojen wywołanych rewolucją francuską aż do epoki Wersalu, podobnie jak ewolucji ulegały poglądy na istotę i cel państwa. Rewolucja francuska narzuciła Europie niejedno z pojęć typowo francuskich, dojrzałych w wiekowym procesie historycznym na ziemi francuskiej i długie dziesiątki lat francuskie pojęcie „nation“, obejmujące ogół obywateli, wychowanych we wspólnej kulturze, bez względu na różnice językowe i etnograficzne pomiędzy poszczególnymi odłamami ludności, panowało w języku ideologów demokracji europejskiej. Dla Mickiewicza pojęcie narodu polskiego obejmowało równie dobrze Litwinów, jak i Polaków, tak jak dla Mistrala prowansalczyk nie przestawał być Francuzem. Kilkusetletnia tradycja wspólnoty kulturalnej i państwowej Litwy i Korony, łącząca etnograficzną Polskę, Litwę, Białoruś i Ukrainę uzasadniała całkowicie to stanowisko. Naród w tej koncepcji był dojrzałym owocem dziejów, łączącym w sobie bogactwo różnych elementów spójnią jednej tradycji historycznej, jednej gleby, jednej ojczyzny, jednego wspólnego wiekowego trudu i jednej, z tego trudu wyrosłej, kultury.

Poczucie przynależnosci narodowej łączyło się w tym pojęciu z określoną przestrzenią geograficzną, której granice wykuły doświadczenia gospodarcze, kulturalne i strategiczne wielu wieków. Związek ten był ścisły i dawał w swej syntezie to poczucie patriotyzmu, którego tak piękną elogię zostawił nam Karol Libelt.

Ale wiek niespokojny rozrywał związek człowieka z ziemią. Postępującemu uprzemysłowieniu i rozwojowi środków komunikacji towarzyszyły wielkie ruchy migracyjne, od wsi do miast i z kontynentu na kontynent. Coraz bardziej zacierały się odrębności obyczajowe i kulturalne narodów i coraz większą rolę w kształtowaniu się poczucia narodowego zaczęła odgrywać wspólnota językowa, tak, że gdy w drugiej połowie XIX wieku wtargnęły w europejską umysłowość biologiczne i ewolucyjne sposoby oceny zjawisk społecznych, pojęcie narodu i grupy etnicznej, językowej, stały się niemal synonimami. Klasy mieszczańskie zwłaszcza, żyjące w lwiej części poza obrębem procesu produkcyjnego, na marginesach produkcji, jak to określał Sorel, wykazywały w atmosferze dosytu i nieuzasadnionej wiary w nieograniczone możliwości nauk przyrodniczych i technicznych, w dziedzinie moralnej i politycznej, wysokie lekceważenie historyczności bytu ludzkiego. Oderwane od gleby produkcyjnej i od historii, oszołomione zdobyczami, jakie im dawał postęp techniczny, ulegały te klasy łatwo lingwistycznym i antropologicznym spekulacjom pozytywistów, tym sympatyczniejszym, że dalekim od surowego historycyzmu nauki Marksa i Engelsa, której pierwsze, niemiłe dla nich skutki, dawały się już odczuć w życiu środowisk przemysłowych. Proudhonowskiej koncepcji ojczyzny, jednoczącej ludzi produkcji we wspólnym dziele budowania kultury na wspólnym kawałku ziemi, zaczęto przeciwstawiać pojęcie narodu pozaklasowego i pozahistorycznego, opartego na mitycznej „wspólnocie krwi“. I nie był jedynie zbiegiem okolicznosci fakt, że w stosunkach polskich, po upadku powstań inspirowanych romantyczną miłością historycznej ojczyzny, pierwszą walkę o prawo do wolności narodowej podjęły w roku 1905 ręce stwardniałe w warsztacie produkcyjnym, związane z Ojczyzną długimi dziejami polskiego trudu. Nie przemawiała do nich doktryna „wspólnoty mowy krwi“ między cie-

miężonymi i ciemięzcami, chętnie budująca mosty porozumień w imię słowiańskiej mowy.

III

Gdy „Młoda Europa“ rewindykowała prawo narodów do własnego państwa, było wówczas jasnem dla wszystkich, że chodzi tu praktycznie o Włochów, Polaków, Czechów i pozostające pod władzą turecką narody bałkańskie. Tak Mazzini jak i Proudhon ujmowali pojęcie narodu w sensie historycznym. W tym sensie weszła ono też do frazeologii katechizmu demokracji, który pozostał niezmieniony przez długie lata polemik i walk politycznych, dzielące Wiosnę Ludów od lata 1914 roku. Ale sens pojęć podstawowych uległ ewolucji, i mieszczańska, lingwistyczna koncepcja narodu zdołała przez ten czas zróżniczkować i tak już rozproszkowany kontynent na szereg małych i nieraz zupełnie wszelkiej własnej przeszłości historycznej pozbawionych grup, różniących się od siebie tylko akcentami języka. Zwłaszcza, że rywalizujące ze sobą mocarstwa zajmowały się na ogół chętnie propagowaniem idei odrębności narodowej i ambicyj irredentystycznych wśród drobnych nawet grup etnicznych u swoich sąsiadów. Charakterystyczne dla pierwszego dziesiątka lat naszego wieku rozbudzenie narodów, tak zwanych małych narodów, pokrywa się z epoką gorączkowych zbrojeń i przygotowań, poprzedzających wybuch I wojny światowej. Temu też w znacznej mierze należy przypisać fakt, że koncepcja lingwistyczna narodu odniosła zwycięstwo, nawet w kołach socjalistycznych, nad koncepcją historyczną w okresie, gdy wyłaniały się pierwsze zręby Europy wersalskiej.

Nie należy się też dziwić, że politycy anglosascy, układający formuły traktatu wersalskiego, uważali za słuszne oprzeć mapę polityczną Europy na mapie językowej, zwłaszcza, że ich koncepcja państwa była bliższa Wiktorjańskiego „stróża nocnego“ aniżeli Bismarkowskiego Reichu, a nowowynaleziony system bezpieczeństwa zbiorowego napełniał ich optymizmem, pozwalającym traktować lekko sceptycyzm strategów. Sceptycyzm, uzasadniony jednym rzutem oka na kontury granic nowych tworów państwowych, kreślonych przez statystyki wątpliwych spisów ludności i nieprawdopodobne eksperymenty plebiscytowe, w/g przekornej w ich oczach zasady najmniejszych możliwie spółczynników obronności, sprzecznej z wszystkim tym, czego ich uczono w różnych Wyższych Szkołach Wojennych.

IV

Wydawaćby się mogło, że w Europie Arystydesa Brianda prawo narodów do wolności przestanie spędzać sen z oczu naczelników wydziału bezpieczeństwa po licznych stolicach kontynentu. Żaden z wolnościowych burzycieli ładu europejskiego w XIX wieku nie wyobrażał sobie tak daleko idącego zrealizowania prawa narodów do stanowienia o sobie, jakie zostało osiągnięte w Wersalu. I takby napewno i pozostało, gdyby nie ewolucja stosunków gospodarczych i społecznych i z nią idąca ewolucja pojęć.

Młode i stare państwa nie były bowiem w stanie ograniczyć swych zadań do funkcji przysłowiowego stróża nocnego; przyciśnięte koniecznościami gospodarczymi, wynikłymi z wojny i z gospodarczej emancypacji krajów pozaeuropejskich musiały się odgrodzić od siebie coraz to wyższymi barierami ceł, zmieniającymi się szybko w chińskie mury odosobnienia, już nie tylko gospodarczego, ale kulturalnego. Niepokój socjalny kontynentu zmuszał by stróża nocnego zastąpiono policjantem, umiejącym nietylko strzec pokoju i mienia obywatelskiego, ale także rozpraszać coraz liczniejsze tłumy bezrobotnych gazem łzawiącym i ogniem cekaemów.

W rosnącym niepokoju społecznym i politycznym, który ogarnął kontynent, zmieniała się struktura społeczeństw; procesowi przeobrażeń

społecznych wtórowały procesy przemian ideowych. Na gmachu demokracji mieszczańskiej, politycznej par excelence, zaczęły ukazywać się coraz liczniejsze rysy, spowodowane przesunięciami w tektonice społecznej.

Przemiany wewnętrzne kapitalizmu nowoczesnego wywołały pogłębiający się z każdym dniem proces rozpadu mieszczaństwa. Eliminował on z ram klasy macierzystej coraz liczniejsze elementy drobno — i średnio kapitalistycznej burżuazji, zdeklasowane przez koncentrację kapitału do materialnej sytuacji proletariatu, ale różniące się od niego zupełnym brakiem związku z aparatem wytwórczym. Wynikała stąd całkowicie pozahistoryczna postawa tych elementów. Pozbawione świadomości klasowej, przywiązane do urzędniczego biurka płacą proletariusza, stanowiły te elementy idealne środowisko do rozwoju wszelkiego rodzaju mistyki, usprawiedliwiającej ich zdeklasowanie, odczuwane jako głębokie poniżenie swego ja, i sublimującej ich z wydziedziczenia pochodzący kompleks niższości w mesjaniczną wiarę, w powołanie do celów wyższych. Lata, spędzone w okopach wielkiej wojny, nauczyły ich cenić irracjonalne pierwiastki życia, tak często zależnego od zupełnie przypadkowego toru nieprzyjacielskiego pocisku; odczuwane poniżenie napełniało ich gorączkowym uwielbieniem siły i nienawiścią do ładu, który im to poniżenie zdeklasowania przyniósł. Na rosnących marginesach produkcji rodziły się manifesty artystyczne Marinettiego i Mussoliniego „fasci d'azione", legenda Horst — Wessela i Möller Van Den Brucka, idea trzeciej Rzeszy. Wyrośli poza zasięgiem trudu produkcyjnego widzieli nowi ludzie wszelkie źródło zła w ustroju politycznym społeczeństw które ich wychowały i zdeklasowały; stąd rodząca się z nich i w nich fala rewolucji mieszczańskiej, byla falą rewolucji politycznej przede wszystkim, a nie społecznej. A jeśli mówili o sobie jako o ruchu „robotników i żołnierzy" to tylko przez własny kompleks niższosci, każący im szukać pozorów siły w zaprzeczeniu własnego rodowodu.

V

Obcą była nowym ludziom, ludziom z „fasci" i pierwszych szturmówek proletariacka wiara w dobrą istotę natury ludzkiej, wynikające stąd dążenie do postępu i mit człowieka wolnego, wyswobodzonego z pęt ekonomizmu. Z rowów strzeleckich, z poniżenia doznanego, z rozczarowań politycznych wynieśli oni poczucie nieodmiennosci, wieczności zła, ugruntowane zresztą w Europie pierwszych lat powojennych powodzeniem neovicianizmu Benedetta Croce i „organicznej teorii dziejów" Spenglera. Indeterminizm i relatywizm poznawczy nauk przyrodniczych stwarzał w swej wulgarnej formie dobre podłoże do rozpowszechnienia się relatywizmu etycznego, lekceważącego ustalone pojęcia o ładzie i prawach moralnych. W taki klimat duchowy uderzała Nietzscheańska „wola Mocy" ludzi wydziedziczonych, znajdując w panującej pesymistycznej koncepcji człowieka uzasadnienie gwałtu, jako jedynej naturalnej metody działania i przemocy, jako jedynego celowego systemu organizacyjnego w społczeństwie ludzkim. I powstawała z tego uderzenia i splotu idei wola władzy i wola rewolucyjna, pragnąca nie przebudowy świata, ale jego podporządkowania, widząca w historii nie twórcę kultury, ale ciążące przekleństwo losu. A historyczny pogląd na świat mieszczaństwa przemienił się w nowych ruchach w postawę antyhistoryczną, pragnącą przekształcać dzieje w/g własnych wyobrażeń i wizji.

Podobnym przekształceniom uległo i pojęcie narodu. Nie był to już ahistoryczny, lingwinistyczny naród demokracji mieszczańskiej; przeciwstawiono mu biologiczną koncepcję narodu — rasy, antyhistoryczną i irracjonalną. W mistyce ruchu naród stawał się tworem abstrakcyjnym i absolutnym, wiążacym ludzi tajemniczymi „węzłami krwi", bez względu

na przeszłość historyczną, która ich wychowała, i przestrzeń geograficzną, z której wyrośli. Straciło swój sens słowo ,,ojczyzna", nie była ona niczym innym jak więzieniem narzuconym narodowi przez historię, ciemiężącą przez wieki siłą dynamiczną narodu, ograniczającą jego pęd do nieograniczonej ,,przestrzeni życiowej", do małego skrawka ziemi; stworzono obszerną mitologię pseudonaukową, mającą wykazać, jak dalece rozwój historyczny był wynikiem działania demonicznych, tajnych i przewrotnych potęg, krzyżujących drogi rozwojowe narodu. Historia była przekleństwem, więzieniem, upokorzeniem; walka o władzę była jednoznaczna z walką o przezwyciężenie historii. Taki był sens hasła o prawie narodu do stanowienia o swoim losie, z którym wystąpiły pierwsze kadry wyznawców totalizmu do walki o władzę w państwie.

VI

Państwo stało się wyrazem zewnętrznym, materialnym narodu, jego szkieletem i kośćcem, jego sens został zdynamizowany, zespolony z ideą narodu — rasy. Zagubił się w tym ujęciu jego sens geograficzny, immanentny związek z określonym obszarem, z terytorium historycznym, czy etnograficznym. Zadaniem jego stało się utrzymanie spójni organizacyjnej pomiędzy ludźmi jednej krwi, a nie między mieszkańcami określonego terytorium; stąd w konsekwencji musiało nastąpić wyłączenie spod opieki państwa wszystkich obywateli innej rasy, ich podział na kategorie i nadanie obywatelstwa narodowego wszystkim członkom narodu — rasy, choćby byli obywatelami innych państw — obszarów, synami innych ojczyzn, wychowanymi przez inne kultury. Stało się jego zadaniem zebranie wszystkich okruchów narodu do jednego, wspólnego pnia. Ono motywowało pierwsze agresje, okupację Nadrenji, Anschluss Austrii, ono było atutem rozmów w Godesbergu i Monachium, w jego imię, w imię prawa Niemców gdańskich należenia do wspólnego ogólno — narodowego państwa formułowano pierwsze próby szantażu wobec Polski. Pojęcie granic historycznych, etnograficznych, strategicznych, traciło swój sens dla państwa— narodu, ideologicznie było ono organizacją żywego tworu, obszar jego stracił sens ojczyzny; naród pozahistoryczny stawał się coraz bardziej oderwaną od określonej przestrzeni gromadą, żyjącą w takiej czy innej przestrzeni życiowej. Koncepcja ,,Lebensraumu" zastąpiła historyczną koncepcję ojczyzny. Jak w dawnych wiekach organizacja hordy znajdywała swą przestrzeń życiową wszędzie, gdzie konie znalazły trawę w stepach, a szable nie napotykały na zbyt duży opór, tak w koncepcji nowoczesnego totalizmu naród — państwo, organizacja dynamiczna narodu — rasy, koncepcja pozageograficzna i antyhistoryczna, wyruszyła na poszukiwanie swego Lebensraumu, wysyłając swe dywizje pancerne i eskadry bombowców na kolejny podbój Polski, Francji, Bałkanów, kontynentu, świata.

VII

Uderzenie, przygotowywane od lat, opracowane z mistrzowską precyzją przekreśliło jednym niemal zamachem kunsztowną mapę nakreśloną w Wersalu. Znakomita przewaga ilościowa, tak w ludziach jak i w materiale, doskonała organizacja całej maszyny wojennej, zdyscyplinowanie społeczeństwa dały Niemcom hitlerowskim w ogromnie krótkim czasie możność owładnięcia znaczną częścią kontynentu europejskiego. Starcie żywych sił okazało, jak słabym tworem są państwa, których wielkość wyznaczały granice językowe, nie pokrywające się ani ze strategicznym ukształtowaniem ich obszaru geograficznego, ani z historycznymi tradycjami kontynentu. Okazało też bezsilność wszelkich formuł, stwarzanych przez dyplomatów dla zabezpieczenia ich pokojowego rozwoju, wszelkich, choćby najbardziej precyzyjnych systemów bezpieczeństwa zbiorowego, systemu przymierzy obronnych, systemu bilateralnych paktów o nieagresję. Udowodniło, że

pojęcie równowagi międzynarodowej ma tylko wtedy sens, gdy układ równowałgi złożony jest z gospodarczo i liczebnie mocnych, równych sobie siłami stron; że nie można opierać równowagi na artymetycznym dodawaniu do siebie sił drobnych partnerów, choćby powiązanych najsilniejszymi, najświętszymi przymierzami. Pakty i przymierza pękały prędzej, niż granice, a przysłowiowe „karmienie krokodyla", że użyjemy historycznego już dziś określenia Churchilla, rozbijało wszelkie traktaty i oparte na nich kombinacje obronne przez kilka dobrych lat, od układu Hoare — Laval aż do napadu na Pearl-Harbour, torując w sposób pokojowy drogę żołnierzowi osi.

Koncepcja państwa etnograficznego, tak popularna w epoce układania traktatu wersalskiego, została zdmuchnięta przez pierwszy powiew burzy dziejowej, jak wiele innych iluzji mieszczańskiego, ahistorycznego intelektualizmu. W ten sposób na podartych kartach Wersalu uzyskali twórcy Trzeciej Rzeszy możność organizowania „przestrzeni życiowej narodu niemieckiego", którą stał się praktycznie niemal cały kontynent europejski.

VIII

W antyhistorycznej mistyce narodowego socjalizmu oznacza przestrzeń życiowa, „Lebensraum", klasyczną ziemię zdobywców, szeroki step, puszczę, abstrakcyjny twór wyobraźni rewolucyjnej. Ona jest terenem ekspansji dynamicznego, bezterytorialnego narodu—państwa zdobywców, dzieje jej poczynają się z chwilą podboju przez rasę zwycięzców. Ziemia dziewicza, bez rodowodu i bez „ciężaru historii", ład jej jest ładem zdobywcy, który nie może się liczyć z takim, czy innym zastanym porządkiem rzeczy, z podziałami wytworzonymi przez historie czasów ubiegłych. Strategiczne i gospodarcze cele zdobywców określają jej nowy ład, one dyktują prawa ludom podbitym, autochtonom, o których prawie do życia decyduje interes zwycięzcy. Etnograficzne uporządkowanie przestrzeni życiowej musi być pierwszym krokiem jej organizacji.

Uporządkowanie to zaczęto przeprowadzać bezpośrednio po dokonanym podboju. Po pokojowym eksperymencie wymiany ludności niemieckiej z włoskiego Tyrolu zaczęto przeprowadzać masowe przesiedlenia ludności niemieckiej, ściąganej z terenów bałtyckich, okupowanych przez Związek Radziecki na ziemiach polskich, wcielonych do Rzeszy. Podobnie postąpiono w Alzacji i Lotaryngii, na terenach Eupen i Malmedy. Masowe migracje ludności, dokonywane pod przymusem, okazały się technicznie zupełnie nietrudnymi do przeprowadzenia. Zwłaszcza pokojowy transfer Niemców tyrolskich może służyć za kapitalną ilustrację możliwości, jakie dzisiejsze środki techniczne otworzyły dla zagadnienia masowego przerzucania osiadłej ludności na dowolnie wybrane miejsce, w celach politycznych, lub gospodarczych organizatorów transferu. Te migracje masowe, dokonywane z pogwałceniem wszelkich dotąd przyjętych pojęć i praw, zostały przeprowadzone w imię jednolitości etnicznej państwa — narodu. Wykazują one dosadnie płynność i niestałość pojęcia obszarów etnograficznych wobec nowoczesnych środków technicznych. Mistyka narodowego socjalizmu, identyfikująca intelektualistyczną koncepcję narodu rasy z pojęciem państwa, w zupełnym oderwaniu od rzeczywistości geograficznej i historycznej, doprowadziła w realizacji swych ideałów do jedynego w swoim rodzaju „reductio ad absurdum" koncepcji państwa narodowego, takiej, jaką sobie wyobrażali twórcy Traktatu Wersalskiego, uważający opieranie podziałów politycznych na granicach obszaru etniczno — językowego za najwyższy wyraz sprawiedliwości międzynarodowej, a plebiscyty za najsłuszniejszy sposób rozstrzygania zastarzałych „sporów o mur graniczny".

IX

Doświadczenia, jakie wynoszą społeczeństwa europejskie z ponurego okresu" czasów pogardy" i straszliwej nocy wojennej wykazują nietylko kruchość intelektualistycznych koncepcyj narodu i ładu międzynarodowego w zetknięciu z rzeczywistością przemian historycznych. Wykazują one też dowodnie głębokie niebezpieczeństwa, jakie dla kultury europejskiej przynieść może oparcie na tych koncepcjach życia politycznego jednego choćby tylko narodu. Nie przypuszczał nigdy pozytywistyczny hrabia Gobineau, że jego fantazje naukowe trafiwszy w ręce ludzi bez skrupułów, płonących żądzą odwetu za poniżenia, jakie im przyniósł proces ekonomiczny i szaleństwo polityczne minionego pokolenia, staną się dynamitem, niszczącym wszystko to, co na kontynencie było dla ludzi jego typu drogie i cenne. Nie przypuszczali też twórcy Traktatu Wersalskiego, że ich realizacja wolności narodów nie tylko nie da tym narodom potrzebnego bezpieczeństwa, ale każąc im żyć w ustawicznej trwodze wobec silniejszego gospodarczo czy militarnie sąsiada, zamknie je w odosobnieniu by zamienić je wreszcie z rozwojem wydarzeń politycznych w niewolników już nie w przenośni, ale w straszliwej rzeczywistości obozów koncentracyjnych tego wielkiego domu niewoli, którym się stała Europa.

Noc, w którą zapadliśmy, daleka jest jeszcze od świtu. Nie wiemy kiedy ów świt nadejdzie i jaki przed nami otworzy obraz. Wiemy tylko, że będzie to obraz spustoszeń okropnych i że wśród ruin miast leżeć będą ruiny idei, doktryn i praw. I że na tych ruinach przyjdzie nam budować nowy ład, nowy porządek rzeczy i idei. Uprawnia nas do tej wiary świadomość, że wojna, która zmienia i przeobraża życie narodów, nie przerywa ciągłości dziejów i jej nieubłaganej konsekwencji, której nie może przełamać wola najbardziej nawet rewolucyjna.

Idea wolności ludów, ich prawa do swobodnego rozwoju, idea Mazziniego i Mickiewicza jest istotną składową systemu etycznego, na którym oparł się rozwój kultury europejskiej. I jakkolwiek koncepcje ideologiczne, wywiedzione z tej idei, wynaturzone i spaczone zagroziły zatamowaniem rozwoju kultury, a wersalska próba oparcia na niej ładu międzynarodowego załamała się w ogniu próby historycznej, to jednak zasada wolności państwowej ludów musi być spełniona, jeśli ludzkość nie ma się pogrążyć w odmętach barbarzyństwa.

Dlatego też dziś, gdy doświadczenia historyczne wykazały całą słabość lingiwistycznej koncepcji narodu i na niej opartej idei państwa narodowego, myśl polityczna Europy zwraca się coraz bardziej ku idei federacyjnej, dającej narodom wolność, a państwom siłę, wystarczającą do stworzenia rzeczywistej i trwałej równowagi międzynarodowej. Odrzucając doktryny mieszczańskiego intelektualizmu, oprzeć ona musi swe plany na historycznym pojęciu narodu i geograficznej ojczyzny.

Nie jesteśmy dziś jeszcze w stanie przewidzieć form, jakie przybierze praktyczna realizacja tych idei, ani dróg, które do tych realizacji nas doprowadzą. Ale czujemy ciepły podmuch Wiosny Ludów i jej niezwyciężonych ideałów, który znów owiewa nasz kontynent. I znów, po stuletnim kręgu przemian, staje kontynent w kręgu „Młodej Europy".

SIR STAFFORD CRIPPS

ROZWÓJ CHRZEŚCIJAŃSTWA

Przemówienie wygłoszone w Albert Hall'u dn. 26 września

Zebraliśmy się dzisiaj, — złączeni wiarą, że jest siła większa od wszystkich potęg materialnych — siła ducha — bez której nie możemy udoskonalić naszego życia, ani naszego społeczeństwa.

Tę siłę ducha nazywamy Bogiem. A ponieważ Chrystus pokazał nam, jak mamy żyć, tu, na ziemi, i przezwyciężać wszystkie nasze tragiczne trudności i konflikty, — jesteśmy głęboko zainteresowani rolą, jaką nasze Kościoły powinny i mogą odgrywać w życiu naszego kraju i świata.

Bądźmy między sobą szczerzy — Pomoc Boska i przewodnictwo Boskie, które powierzone zostało Kościołowi, — nie przejawiło się głębiej w ostatnich czynnościach Kościoła i nie wywarło wpływu na postęp świata.

My, którzy stanowimy Kościół — a nie Bóg — odpowiadamy za to.

Istniały zawsze i dotąd istnieją dwie zasadniczo różne koncepcje, dotyczące zadań Kościoła. Chociaż nie wykluczają się one wzajemnie, wyrażają dwa przeciwstawne podejścia do zagadnień naszej cywilizacji. Pierwsza uważa Kościół za narzędzie Boga, przez które możemy osiągnąć zbawienie własne w życiu przyszłym. Druga, widzi w Kościele czynnego orędownika przykazań Boskich tu, na ziemi, — pioniera zbawienia społecznego, zainteresowanego bardziej realizacją dobra i szczęścia ludzkiego na ziemi i w chwili bieżącej, niż głoszeniem cnót indywidualnych, jako środka do osobistego zbawienia w życiu przyszłym.

Pierwszy z tych dwuch poglądów dąży do oderwania jednostki od jej odpowiedzialności społecznych na rzecz życia kontemplacyjnego i modlitwy w oczekiwaniu świata przyszłego.

Drugi uważa nasze codzienne uczynki (nie słowa, ani myśli) za najżywotniejszy środek stosowania etyki chrześcijańskiej wśród ludzi.

Rosnące zrozumienie i znaczenie, przywiązywane do tego drugiego poglądu na religię, oraz wzrost uświadomienia społecznego wszystkich Kościołów, stały się jednym z najbardziej znamiennych zjawisk w rozwoju uczuć religijnych naszych czasów.

To właśnie podejście do religji czyni ją tak pociągającą dla wielu jej gorliwych wyznawców, zwłaszcza wśród młodej generacji. Przez to podejście jedynie możemy ożywić i wzmocnić siłę chrześcijaństwa.

Stare formy i zdania, związane z minioną erą cywilizacji, a kładące główny nacisk na zbawienie duszy, przestały być pociągające, pomimo ich piękna i tradycji dokoła nich wytworzonej. Nie znajdują już zastosowania w trudnych praktycznych zagadnieniach życiowych, które nas nękają i które chcemy rozwiązać.

Istnieje wyraźny przedział pomiędzy pouczaniem religijnym a wprowadzaniem w życie cnót społecznych. Pouczanie może popaść w niebezpieczeństwo zachęcania nas do swego rodzaju formy „ucieczki" religijnej („a form of religious escapism").

Dwa światy stają przed nami. Jeden — doskonały, duchowy, pośmiertny, — do ideałów którego staramy się dostosowywać bez nadziei i bez wiary w ich obecne osiągnięcie. Drugi — ziemski, dotykalny, który uważamy z natury rzeczy za niedoskonały i grzeszny.

Jeden jest życiem Boga, drugi — życiem człowieka.

Ta dwoista koncepcja wytwarza jednak fałszywą perspektywę. W rzeczywistości bowiem żyjemy życiem Boga już tu, na ziemi. Dobre czy złe, życie nasze dane jest nam przez Niego, Jego jest dziełem i służyć ma Jego celom.

Przeznaczeniem nauki Boskiej jest by zapanowała na ziemi. Jej wska-

zania muszą być wypełnione, a Chrystus dał nam obraz tego, co znaczy Królestwo Boże na ziemi.

Ta dwoista koncepcja religii zniechęca naszą wiarę do społecznych i ekonomicznych zadań życia.

Z jednej strony wytwarza ona pojęcie „religji na niedzielę", praktykowanej przez jeden dzień w tygodniu i odgraniczonej od wszystkiego, dla ułatwienia nam kontaktu z „tamtym" niewidzialnym światem; z drugiej strony wytwarza pojęcie normalnej ludzkiej egzystencji, przeznaczonej na pozostałe sześć dni tygodnia, podczas których problem religijny sprowadza się do niepopełniania grzechów powszednich, w trosce o życie przyszłe.

W moim głębokim przekonaniu nieodzownym warunkiem dalszego istnienia Kościoła i jego wpływów jest wzięcie na siebie — i to od zaraz — obowiązku zbawienia społecznego, jako środka udoskonalenia panowania Boga nad ziemią.

Nigdy nie mogłem uwierzyć, aby Bóg stworzył ten świat wyłącznie jako „dolinę cierpień i łez" w oczekiwaniu na szczęście przyszłe. Nauka Jego — którą objawił nam Chrystus — uczy, abyśmy sami sobie wypracowali własne zbawienie tu, na świecie stworzonym przez Niego, a przez to osiągnęli swoje i Jego szczęście.

Ta wielka przygoda życia, w której wojna dzisiejsza jest tylko jednym z pojedyńczych epizodów, powinna natchnąć nas do czynnego wprowadzenia celów chrześcijańskich w życie.

Przyjąwszy więc za cel chrześcijaństwa ocalenie społeczne („social salvation") przechodzę z kolei do sprawy dotyczącej wprowadzenia w życie naszych zadań.

Kościół, jako zorganizowana instytucja, nie powinien zaciągać się na listę partji politycznych. Gdyby uczynił to, znaczyłoby, że przekreślił swoje powołanie i wystawił na szwank siłę religii.

Siłą Kościoła jest wytwarzanie właśnie kierującej siły moralnej w socjalnym i ekonomicznym rozwoju świata. Do polityków zaś należy technika rządzenia i prawodawstwa. Nie znaczy to jednak, by politycy mieli być materjalistami. Przeciwnie, dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek, potrzebujemy odważnych chrześcian w naszym życiu politycznym.

Odkąd bowiem zadaniem kierujących sił moralnych ma być wpływanie na myśl polityczną, zazębiać muszą się one bezpośrednio o myśl i działalność polityczną.

Zasady chrześcijańskie winny stać w tak ścisłym związku ze społecznymi i ekonomicznymi zagadnieniami chwili bieżącej i tak głęboko przeniknąć opinię publiczną, aby żaden rząd nie był w stanie przeciwko nim występować. Nie mogą to już być więcej mgliste i idealistyczne teorie, w niczym niezwiązane z dzisiejszą strukturą społeczną i palącymi zagadnieniami aktualnymi; taka postawa rozdrażnia tylko ludzi.

Obowiązkiem Kościoła jest interpretowanie etyki chrześcijańskiej w zastosowaniu do zagadnień chwili bieżącej; wiele bowiem gorzkich i bolesnych spraw wynikło z powodu naszych zaniedbań w przeszłości.

Siła przewodnictwa moralnego Kościoła zależeć będzie od odwagi z jaką Kościół będzie interpretował i stosował swe wskazania. Najważniejszymi cnotami chrześcijańskimi są: odwaga i brak lęku; w tym nowym przewodnictwie moralnym muszą one sięgnąć najwyższego szczytu. Przewodnictwo moralne nie polega na tym, aby ograniczać się do idei, a następnie podążać za głosem większości, ale raczej na tym, aby ogarnąć zbiorową myśl ludzką i skierować ją na drogę prawdziwie chrześcijańskiego działania.

Przewodnictwo duchowe i popularność często wydają się sobie przeciwstawne; tak było za życia Chrystusa i w pierwszych dniach chrześcijaństwa. Ale na dłuższą metę przewodnictwo moralne znajdzie zawsze

szerokie zrozumienie u ludzi, nie dlatego, że schlebia im chwilowym pragnieniom i uczuciom, ale dlatego że w rezultacie przyciąga do siebie wszystko to, co jest najlepsze w naturze ludzkiej.

Zastosowanie etyki chrześcijańskiej do okoliczności dnia dzisiejszego ma zasadnicze aspekty.

Jeden z nich, który moglibyśmy nazwać negatywnym, potępia istniejące warunki socjalne i ekonomiczne, nie będące w zgodzie z zasadami chrześcijańskimi. To odziedziczyliśmy w spadku po pokoleniach przeszłych.

Drugi — pozytywny — pragnie urzeczywistnienia takich społecznych i ekonomicznych warunków życia, któreby współbrzmiały z naszymi zadadami chrześcijańskimi, — albo, żeby użyć innych słów, któreby się stały naszym społecznym celem chrześcijańskim. To powinno być naszym spadkiem dla pokoleń przyszłych.

Raz jeszcze podkreślam, że nie chodzi o poświęcanie się dla jakiegoś idealistycznego świata, który kiedyś nadejdzie — ale o nasz świat, o nasze społeczeństwo takie, jakie istnieje obecnie. Nie interesuje nas wypracowywanie — w beznadziejnym świecie zła — jakiegoś idealnego świata pośmiertnego. Interesuje nas i obchodzi nasz obecny świat i wytworzenie z niego lepszego i radośniejszego życia dla ludzi na „naszej zielonej kwitnącej ziemi".

Istniejące życie społeczne, wszystko jedno dobre, złe, czy obojętne, jest życiem, które nas bezpośrednio obchodzi.

„Po ich owocach poznasz ich" nie oznacza wcale wizji lepszego, odmiennego świata w przyszłości, ale oznacza poznanie człowieka po tym, co w danej chwili czyni.

Za wytwarzanie tych owoców jesteśmy odpowiedzialni my, ludzie, a jeśli nie jesteśmy zdolni nawet do powzięcia starań, by je wytwarzać, grzeszymy ciężko pychą i brakiem wiary.

Nie możemy też ograniczać uczynków do słów chwalebnych ; musimy je wprowadzić w życie. Niektóre z uczynków naszych wydawać się mogą równie błahe, jak rzucenie kartki papieru do urny wyborczej lub uczestniczenie w zebraniu. Inne mogą mieć głębsze i istotniejsze znaczenie, jak stworzenie przez nas samych programu społecznego. Nie zapominajmy jednak, że właśnie z tych czynów, często tak niepozornych i nic samych przez się nieznaczących, kształtuje się życie narodów i buduje się w rezultacie świat.

Członkowie Kościoła muszą zobowiązać się wzajemnie do realizowania tych celów chrześcijaństwa, które uznane zostały dziś za najpilniejsze. Realizując te cele, Kościół musi być nieskrępowany żadnymi materjalnymi względami, tak, iżby mógł swobodnie pobierać decyzje, jedynie na podstawie własnego przekonania moralnego. „Idź, sprzedaj wszystko co posiadasz i rozdaj biednym" — było nakazem danym bogatemu młodzieńcowi dla umożliwienia mu głoszenia sądów moralnych, nieobciążonych żadnym uprzedzeniem.

Kościół cierpiał wielokrotnie, i cierpi dzisiaj, z powodu świadomości, lub lęku, że odważne nauczanie zasad chrześcijańskich, w zastosowaniu do nowoczesnego społeczeństwa, wymagać będzie daleko idących zmian socjalnych i ekonomicznych, które nawet mogą podkopać finansową i organizacyjną równowagę samego Kościoła. Ta świadomość nie jest pozbawiona słuszności, ale nie stoi w żadnym stosunku do obowiązku Kościoła zakładania nieodzownych podwalin pod nasze ocalenie społeczne. Ta świadomość nie może w niczym naruszyć celów, dla których każdy chrześcijanin musi pracować.

Które z zasad chrześcijańskich — mówiąc krótko — mają być stosowane w naszym życiu społcznym ?

Nie będę poruszał negatywnej strony gdyż wszystko, co jest w naszym

życiu ekonomicznym i społecznym nieudolne i niesprawiedliwe, znamy aż nadto dobrze.

Na prawdę ważna jest pozytywna, twórcza strona zagadnienia, związana raczej z dniem dzisiejszym i z przyszłością, a nie z przeszłością.

Po pierwsze — jako chrześcijanie — odrzucamy całkowicie i ostatecznie nazistowską, materialistyczną doktrynę społeczną, odrzucamy brutalne prawo do-spychania człowieka, stworzonego na obraz Boga — do roli jednej z miliona śróbek w maszynie materialistycznego świata oraz nieograniczone stosowanie prześladowań i niewolnictwa wobec wszystkich ludzi za wyjątkiem, wybranej przez nich samych, jednej kasty lub rasy.

Jako alternatywy pozytywnej, żądamy poszanowania godności ludzkiej oraz równych praw dla wszystkich ludzi — w uczestniczeniu w nowym, planowym rozwoju naszej i ich cywilizacji — bez względu na ich pochodzenie, wyznanie i rasę. Wypływa to z nauki chrześcijańskiej o braterstwie wszystkich ludzi.

Zdajemy sobie w całej pełni sprawę, jak trudnym zadaniem będzie niszczenie zła i zaprowadzanie dobra, zadanie to nie będzie osiągnięte przez zniszczenie nazismu i jego okrutnej potęgi ; czeka nas jeszcze wiele innych złych sił i wielu innych wrogów na drodze do osiągnięcia naszych celów chrześcijańskich. Konieczność chrześcijańskiego samozaparcia się będzie może większa po skończonej wojnie, a w każdym razie nie mniejsza niż obecnie.

Z kolei będziemy musieli się poświęcić sprawie zaprowadzenia sprawiedliwości społecznej i to poświęcić się z taką energią i z taką dobrą wolą, z jaką obecnie walczymy o zwycięstwo. Nie może tu być mowy o odkładaniu tej sprawy do czasu wygrania pokoju ; i ostrzegam, że walka o sprawiedliwość społeczną będzie długa i zażarta.

Z kolei wypowiadamy się za systemem demokratycznym, gdyż on jeden nadaje prawdziwą wartość chrześcijańskiemu braterstwu w naszym życiu narodowym. Idea dyktatorska jest sama w sobie całkowicie przeciwna idei równości, której wymaga braterstwo ludów. Nie możemy zatem uznać żadnej jednostki ludzkiej za najwyższą, ani za powołaną do rządzenia i kierowania przeznaczeniem innych ludzi, w jakiejby to nie było dziedzinie życia : politycznej, społecznej, lub ekonomicznej.

Techniczna struktura naszej demokracji — (za wyjątkiem tego, że musi ona szanować prawdziwą równość i dawać wszystkim jednakowe szanse życiowe) — jest rzeczą specjalistów, a nie nas, chrześcijan. Do nas należy stawianie zagadnień i dezyderatów.

Niezależnie jednak od tych zasadniczych i ogólnych wskazań, musimy wskazywać także na praktyczne, bezpośrednie sprawy, dotyczące sprawiedliwości społecznej i ekonomicznej. Jako nasz cel chrześcijański moglibyśmy wziąć pięć skromnych dezyderatów narodu amerykańskiego wyrażonych przez Roosevelta :—

1. Jednakowe możliwości życiowe dla młodzieży i dla wszystkich.
2. Praca dla tych, którzy chcą pracować.
3. Zabezpieczenie życiowe dla tych, którzy go potrzebują.
4. Zerwanie z przywilejami dla nielicznych.
5. Swobody obywatelskie dla wszystkich.

Nikt z nas z pewnością nie zaprzeczy, że te skromne dezyderaty mają swe źrodło w elementarnych zasadach sprawiedliwości chrześcijańskiej. Sądzę, że każdy z nas gotów jest pracować niestrudzenie, conajmniej dla realizacji tych pięciu punktów sprawiedliwości społecznej.

Niektórzy chcieliby zapewne pójść dalej w kierunku prawdziwej ekonomicznej i społecznej równości, ale gdybyśmy osiągnęli już tylko powyższe cele, w czasie stosunkowo najkrótszym, moglibyśmy powiedzieć, żeśmy się częściowo przyczynili do wprowadzenia w życie słów mistrza — „uczyń to, a będziesz żył". Chcę zwrócić uwagę na znaczenie urzeczywistnienia

tych celów w życiu. Stawianie sobie celów nie ma wartości tak długo, póki nie zdecydujemy się na przedsięwzięcie stanowczych kroków do wcielenia ich w życie. Jeżeli zgodzimy się, że wyrażają one podstawowe zasady chrześcijańskie — na co oczywiście zgodzić się musimy — wtedy nic nie powinno stać na drodze do ich zrealizowania.

Może się zdarzyć, że sami stanowimy przeszkodę, będąc cząstką jakichś uświęconych praw i interesów finansowych lub innych, które należałoby odrzucić precz, abyśmy mogli osiągnąć nasze zamierzenia. Warunki naszego życia, komfort, nawyki i obyczaje, wszystko to może stawać nam na przeszkodzie. Jeżeli mamy zapewnić pracę wszystkim, którzy mogą pracować, będziemy musieli przeprowadzić wielkie zmiany w planowaniu i organizowaniu produkcji, co nigdy nie było możliwe w przeszłości, odkąd przemysł został zmechanizowany.

Jeżeli chcemy zerwać z przywilejami, musimy być gotowi do zrzeczenia się własnych przywilejów, nie wyłączając przywilejów Kościoła.

Jeżeli chcemy zrównać start życiowy dla młodych, nasze dzieci muszą dzielić wspólny system wychowawczy, jednakowy dla wszystkich. Jeżeli chcemy zabezpieczyć życie wszystkich tych, którzy tego potrzebują, musimy sami pozbawić się wielu rzeczy, aby zaopatrzyć w nie, w razie potrzeby, potrzebujących.

Te przykłady wykazują jak głębokie są czekające nas i Kościół przemiany, jeśli mamy uczynić z chrześcijaństwa żywą siłę, jeśli zasady Chrystusa mają przeniknąć nasze społeczeństwo.

Kościół musi nam odsłonić swoją wiarę w swoje posłannictwo, nie oglądając się na żadną cenę, jeśli chce, by chrześcijaństwo, w które wierzymy, nie było spopielałym grobowcem faryzeuszów, a rzeczą najbardziej prawdziwą w naszem życiu. Nie możemy głosić ratunku społecznego tak długo, póki nie wywalczymy sprawiedliwości społecznej.

Najtrudniejszym z naszych zadań będzie przekonać świat, że egoistyczny interes osobisty nie będzie mógł więcej stawać na przeszkodzie do pełnego wprowadzenie w życie zasad, w które wierzymy. Te zasady muszą stanąć ponad wszystkie zyski materialne, ponad wszelką materialną korzyść. Pierwsi jednak musimy dać przykład siły i niezłomności naszej wiary.

W tym celu łączymy się w braterstwie nowej religii, chociażby się na pozór wydawało, że braterstwo ludzkie straciło swą treść wewnętrzną i swój drogowskaz. Zasady nasze muszą polegać nie tylko na nawracaniu innych ludzi, ale muszą stać się naszą własną, gorącą i fanatyczną wiarą, kierującą każdym naszym czynem.

Nie możemy zasłaniać się żadnym zaniedbaniem ani żadnym ochłodzeniem naszego entuzjazmu, jeśli mamy zwyciężyć.

Ludzie mówią dzisiaj o zawodach życiowych, o życiu bez celu, a nie dostrzegają, że tu, w urzeczywistnianiu nakazów chrześcijańskich, leży największe posłannictwo; w wykonywania Boskiego nakazu; a przez nie w wytwarzaniu szczęścia i radości w świecie.

Nigdy jeszcze żaden apel do uczuć naszej wiary, nie był tak silny, jak dzisiaj. Świat chwieje się pod ciosami brutalnej przemocy materialnej. Nie zwyciężymy, jeśli tą samą bronią będziemy chcieli walczyć przeciw brutalności i materializmowi złych sił, które stoją naprzeciw nas. Siła nasza musi się opierać na wierze w Boga i w ludzkość. Jest to tragedią dla świata, że ta wielka siła moralna i dynamiczna zamknięta jest w naszych sercach i nie przynosi wcale, lub tak mało korzyści, w toczącej się walce.

Społeczność chrześcijańska, ani Kościół nie dotknęły jeszcze klucza, który może te wielkie siły potencjalne wyzwolić. Przeciwnie, wydaje się czasem, że ten klucz zagubiły i nie starają się go nawet odszukać. Ale gdy raz te drzwi zostaną otwarte, nie odsłonią nam łatwej i wygodnej ścieżki, ale drogę trudną i twardą, najeżoną niebezpieczeństwami. U mety tej drogi jednak odnajdziemy nasz cel, królestwo Nieba tu, na ziemi —

ocalenie społeczne ludzi i świata. Czeka nas droga najwspanialszej przygody, skąd nikt z nas nie będzie mógł nigdy zawrócić. Pozwólcie mi zakończyć dwoma zapytaniami, które poruszają podstawowe zagadnienia naszej wiary.

Czy zechce Kościół w tej godzinie prób i nieszczęść świata podjąć znowu moralne przewodnictwo swego ludu ?

Czy my, jako chrześcijanie, zechcemy postawić naszą wiarę i nakazy Boga ponad egoistyczne pragnienia, ponad zdobycze światowe i korzyści, i ponad wszystko inne, abyśmy przez to mogli pomóc dokonaniu się Królestwa Bożego na ziemi, które objawił nam Chrystus i za które umarł dwa tysiące lat temu ?

DOROTA FALSKA

WOJENNA RZECZYWISTOŚĆ ROSYJSKA

Blisko półtora roku wojny niemiecko — sowieckiej rzuciło wiele światła na tę Rosję, która w 1942 roku, brocząc krwią i walcząc, obchodziła 25-cio lecie swego istnienia. A jednak kraj ten pozostaje nadal wielką zagadką w świetle wydarzeń wojennych nie mniej, lecz jeszcze bardziej skomplikowaną. Reakcja szerokich sfer angielskich wobec problemu rosyjskiego jest na ogół emocjonalna. Skłoniło to nie dawno Sir Stafford Crippsa do uwagi, że „nie wystarczy podziwiać naszego rosyjskiego sojusznika ; trzeba go również zrozumieć". Możnaby do tego dodać, że nie wystarczy potępiać. Jednakże dane dla urobienia sobie sądu o Rosji są w czasie tej wojny równie, jeśli nie bardziej, szczupłe, aniżeli były przedtem. Na angielskim rynku wydawniczym książki i rozprawy na tematy rosyjskie cieszą się z reguły wielkim powodzeniem. Większość tych wydawnictw to opracowania kompilacyjne lub teoretyczne, nie dające bezpośredniego wglądu w splot problemów rosyjskich. Jedną z nielicznych książek, opartych na bezpośredniej obserwacji jest „Russian Glory" Philipa Jordana.* Autor, popularny dziennikarz, korespondent liberalnej „News Chronicle" spędził blisko rok w Rosji, naprzód w Moskwie, a następnie w Kujbyszewie.

Książka ta jest ciekawa nie tylko ze względu na materiał obserwacyjny który zawiera, lecz również ze względu na akcenty polemiczne i na porównanie między atmosferą socjalną a polityczną W. Brytanii i Rosji podczas wojny. Philip Jordan sam o sobie mówi, że jest pisarzem subjektywnym. Subjektywizm ten w samej rzeczy przejawia się często zarówno w bezkrytycznym czasem podziwie dla metod rosyjskich jak i w ultra — krytycznych „sweeping statements" na tematy polityki angielskiej. Mimo to autor przejawia znacznie więcej obiektywizmu, niżby się można spodziewać po tej autodefinicji, a obserwacje jego są jednym z ciekawszych przyczynków w tej dziedzinie.

Pytanie, które się najczęściej narzuca dotyczy owego niesłychanie zaciętego i bohaterskiego oporu, stawianego najazdowi przez lud rosyjski. Łatwizny myślowe i uproszczone „wyjaśnienia" nie wystarczą wobec epizodów takich, jak obrona Sebastopolu i Leningradu. „Żołnierze sowieccy walczą na gruzach Sebastopolu w maskach gazowych, albowiem odór gnijących trupów nie pozwala już oddychać" — pisze korespondent „Timesa". Rzecz jasna, że do walki w takich warunkach nie zmusi żołnierza żaden teror wewnętrzny, żadna groźba kuli rewolwerowej za dezercję. Teror w każdym razie może tu być tylko jednym z czynników i to

* „Russian Glory" — Philip Jordan. The Cresset Press. London 1942.

czynnikiem prawdopodobnie podrzędnym. Czynnikiem natomiast głównym i decydującym jest niewątpliwie wysokie morale ludności.

Na czym opiera się owa ,,morale" rosyjska ? ,,Poświęcenie i ofiarność są we krwi rosyjskiej" — pisze Philip Jordan — ,,Naród ten zawsze cierpiał, a od ćwierć wieku był właściwie stale w stanie potencjalnej wojny. Przez ćwierć wieku stale słyszał, że musi pracować i cierpieć, albowiem pewnego dnia zostanie zaatakowany przez któreś z zachodnich mocarstw. Jedenaście lat temu Stalin wołał z Kremla : ,,Zwolnić tempo rozbudowy przemysłowej oznacza pozostawać w tyle, a ci którzy pozostają w tyle, są bici. My zaś nie chcemy być bici . . Historia dawnej Rosji świadczy, że kraj nasz wciąż był bity za jego zacofanie. Bili nas mongolscy chanowie, bili nas tureccy bejowie, bili nas szwedzcy feudałowie, bili nas polscy i litewscy obszarnicy, bili nas angielscy i francuscy kapitaliści, bili nas japońscy baronowie, bili nas wszyscy za nasze zacofanie."

Można i należy oczywiście wprowadzić pewne poprawki historyczne do tego przekroju dziejów rosyjskich. ,,Polscy i litewscy obszarnicy" bili Rosję, ale był to tylko epizod historyczny ; natomiast Rosja, nawiasem mówiąc carska i bojarska — opuszczenie wszelkich określeń socjologicznych, gdy chodzi o Rosję, jest tu wielce znaczące — była najważniejszym czynnikiem w rozbiorach Polski. Lecz nie ulega wątpliwości, że ten apel Stalina miał swoją siłę sugestywną dla porewolucyjnego pokolenia rosyjskiego. Reżym niejako brał na siebie misję odrobienia ogromnych zaległości historycznych i położenia kresu" rosyjskiemu zacofaniu". Groźba wojny stanowiła od lat motyw przewodni propagandy. ,,W ciągu niemal ćwierć wieku — pisze Jordan — mówiono obywatelowi sowieckiemu, że prędzej czy później, kraj jego zostanie zaatakowany przez jedno, lub kilka z zachodnich państw kapitalistycznych. Czasem, być może, trudno mu było w to uwierzyć, lecz obecnie stwierdza, że polityka rządu była słuszna, bo kraj jego rzeczywiście napadnięty został przez grupę państw zachodnich. Zwiększa to zaufanie jego do rządzących".

Autor angielski kładzie szczególny nacisk na moment ustrojowy. i na przemiany psychologiczne wywołane przez nowy ustrój. Około 60% ludności sowieckiej — pisze — to pokolenie porewolucyjne, lub urodzone tuż przed 1917 rokiem. Obserwatora angielskiego uderza przede wszystkim odmienność reakcji psychicznych tego społeczeństwa. Podstawowe pragnienia obywatela sowieckiego są może takie same jak wszędzie na świecie, ale stosunek do tych pragnień jest inny. Pieniądze nie są w Sowietach potęgą, ani nie dają władzy politycznej. Nie można za nie właściwie wiele kupić. Nie znaczy to — powiada autor, — że przywileje zniknęły z życia społecznego Rosji. Pieniężny wyraz różnic socjalnych zanikł, lecz równość startu została zniesiona w dziedzinie tak podstawowej, jaką jest np. szkolnictwo. ,,Wychowawszy elitę pośród tych, którzy w pierwszych dniach byli wiernymi budowniczymi państwa socjalistycznego, Stalin postanowił wykształcić jeszcze wyższą arystokrację : kadry intelektualistów i specjalistów, organizatorów. Wprowadził opłaty szkolne i w ten sposób w praktyce tylko córki i synowie tej arystokracji mogą kończyć wyższe studia." Reakcyjny ten krok nie zahamował jednak żywiołowości rewolucyjnego i porewolucyjnego pokolenia rosyjskiego, chociaż psychika społeczeństwa przeorana została do gruntu przez potężny pług propagandy. Państwo sowieckie wykazało ,,kłamliwość zasady, która stanowiła usprawiedliwienie lenistwa : zasady, że nie można zmienić natury ludzkiej." Jordan na przykładzie młodzieży sowieckiej wykazuje, że mit o stałości dotychczasowych stosunków społecznych rozpadł się. ,, Nowe pokolenie walczy a żadne interesy trustów, koncernów i towarzystw akcyjnych nie stoją na drodze totalnego wysiłku wojennego." To

stwierdzenie służy autorowi za punkt wyjścia do ostrego ataku na stosunki społeczne w swej własnej ojczyźnie. W teorii — pisze Jordan — jest rzeczą zrozumiałą, że państwo totalistyczne jak Sowiety, ma łatwiejszą rolę w prowadzeniu wojny totalnej. Ale tylko w teorii. W praktyce demokratyczny rząd brytyjski dysponuje taką samą władzą jak rząd sowiecki. Różnica polega na tym, że rząd brytyski z władzy tej nie korzysta. Autor wskazuje na zależność metod organizacji wojennej od form ustroju gospodarczego. Nieistnienie własności prywatnej ziemi i fabryk dało sowieckiej organizacji wojennej oczywistą przewagę. Uwolniło ją od oporów i tarć, które stwarza zazwyczaj interes prywatny. Ilustruje tę tezę porównaniami i przykładami. Porównuje np. szybkość z jaką Rosjanie zakładają lotniska, w Anglii założenie lotniska wymaga długich i przewlekłych pertraktacji z landlordem i przedsiębiorcą. Postulat reformy społecznej autor opiera w ten sposób na argumencie natury militarnej. Przebudowa społeczna staje się koniecznością z punktu widzenia skutecznego prowadzenia wojny. Argumentacja jest w szczegółach bardzo czasem trafna. Lecz ma ona swoje słabe strony. Jedno z dwojga: albo reforma społeczna jest sama przez się koniecznością, a wtedy nie potrzeba dla jej uzasadnienia pretekstu wojennego, albo też siły konserwatyzmu w Anglii są zbyt wielkie, by pozwolić na tę reformę, a wówczas argument na temat „ efficient conduct of the war " nie będzie w stanie skłonić społeczeństwa angielskiego do reformy. Argument, że sam interes wojenny wymaga przemian ustrojowych, wydaje się nieco uproszczonym. W czwartym roku wojny światowej Stany Zjednoczone mobilizują swój potencjał wojenny z rozmachem, który już teraz nie ulega wątpliwości. Dzieje się to jednak bez podstawowych zmian ustrojowych, jedynie przy zastosowaniu szerokiej kontroli państwowej nad interesami prywatnymi. Kontrola tego rodzaju, choć na skalę mniejszą, wprowadzona była w okresie zeszłej wojny i była mniej lub więcej zlikwidowana po wojnie. Stopień konieczności tej kontroli dla skutecznego prowadzenia wojny jest oczywiście zależny od zasobów materialnych danego kraju. Stanom Zjedn. wystarczy kontrola państwowa przy nietkniętym w zasadzie ustroju społecznym dla skutecznego prowadzenia wojny. W Rosji prawdopodobnie ustrój oparty na prywatnej własności nie potrafiłby się uporać z zadaniami wojny totalnej. Anglia mimo wszystko zdaje się być pod tym względem bliżej Stanów Zjednoczonych, aniżeli Rosji. Wołanie o reformę ma oczywiście swoje uzasadnienie i swoją rację bytu niezależnie od sytuacji wojennej.

II

Philip Jordan krytykuje bardzo ostro politykę Foreign Office i jej „ spóźnione reakcje." Zarzuca jej brak orjentacji w możliwościach wojennych Sowietów. Potęga rosyjskiego alianta była niespodzianką dla Foreign Office. Colonel Blimp nie przeczuwał nawet wartości bojowej armii czerwonej. Lecz zarzut ten jest mimo woli autora osłabiony przez jego własne twierdzenia, że koła rządzące Rosją również nie doceniły odporności i potencjału bojowego swych własnych sil zbrojnych. Jordan stwierdza, że nawet najwyżej postawione w Sowietach osobistości nie zdawały sobie sprawy z tego, jak wielki opór potrafi stawić najeźdźcy chłop i robotnik sowiecki. Jest rzeczą możliwą — twierdzi — że gdyby sowiecki Foreign Office na prawdę miał więcej zaufania do własnej armii, gdyby rząd rosyjski bardziej wierzył w polityczną lojalność wojska, nie trzeba by może było w lecie 1942 wołać o „ drugi front," dla tej prostej przyczyny, że w Europie byłyby dwa fronty jeszcze w 1939 roku. Pogląd ten jest jednym z najciekawszych momentów książki Jordana. Przyszli badacze dziwnych kolei tej wojny oraz osobliwego okresu sowieckiego „ Appeasement" między 1939 a 1941 rokiem, znajdą

w tym przykład niesłychanej złożoności czynników, które kształtowały przebieg kampanii niemiecko-sowieckiej. Oto z jednej strony był rząd, który z niezawodną dalekowzrocznością i żelazną konsekwencją przygotowywał własne społeczeństwo do obrony w totalnej wojnie. Lecz z drugiej strony popełniony zdaje się był błąd nie mniej ważki w ocenie imponderabiliów tego społeczeństwa. Samo postawienie problemu zawiera tu już w sobie odpowiedź. Cały ogromny wysiłek scentralizowanej i planowanej gospodarki nastawiony był od lat na obronę. Ogromne zapasy nowoczesnego sprzętu wojennego — Jordan twierdzi, że zapasy są wciąż jeszcze nieporównanie większe niż się przypuszcza za granicą—przygotowane były z konieczności kosztem standardu życiowego ludności. Nawet przemysły pozornie cywilne rozbudowywano w okresie trzech pięciolatek z myślą o wojnie. Celom wojennym podporządkowana była geograficzna dyspozycja nowopowstających ośrodków przemysłowych. Trzecia pięciolatka streszczała się właściwie w przesuwaniu punktów ciężkości rosyjskiego organizmu przemysłowego na wschód ku Uralowi i do Azji. Ewakuacja przemysłów w okresie wojny — ten gigantyczny manewr gospodarczy, który wprawił w zdumienie cały świat — nie mogła być jedynie dziełem improwizacji. Jordan opisuje ewakuację przemysłów z okręgu moskiewskiego, już w pierwszych tygodniach wojny. Wszystko to są dowody bezprzykładnej dalekowzroczności polityki sowieckiej. Pozostaje do wyjaśnienia kontrast między przygotowaniem się do wojny a niedocenianiem morale własnego społeczeństwa. Wyjaśnienie być może tkwi w niewątpliwej jednostronności, w nastawieniu psychicznym i w sposobie myślenia Rosji w okresie industrjalizacji. Maszyna w Sowietach zakryła swym cieniem człowieka. Momentom materialnym poświęcono niesłychanie wiele uwagi, lecz zlekceważono, czy też nie doceniono czynnik bardziej nieuchwytny — ludzką gotowość do ofiar i poświęceń. Błąd ten zostal zimą 1942 roku zrekompensowany bohaterstwem mas, lecz został zarazem okupiony straszliwym zniszczeniem materialnym, cierpieniami i upustem krwi.

III

Jedną z rzeczy najbardziej zastanawiających w tej książe jest ta względna łatwość, zjaką liberalno-lewicowy dziennikarz angielski rezygnuje z zasad liberalizmu w zetknięciu z rzeczywistością sowiecką.

„Cała piąta kolumna Rosji — pisze Jordan — wraz z wielu niewinnymi ludźmi znajduje się w więzieniu. Zadałem raz urzędnikowi N.K.W.D. pytanie dlaczego tylu niewinnych ludzi w Związku Sowieckim znajduje się w więzieniu. . . . Odpowiedział, że N.K.W.D. zdaje sobie sprawę z tego, że w więzieniach są niewinni ludzie, ale dodał, że ponieważ kraj czuł się zawsze w stanie wojny, musiano przedsiębrać środki ostrożności, które w normalnych czasach nie byłyby konieczne. „Gdy wiemy, że wśród 1.000 ludzi znajduje się jeden szpieg, a nie wiemy który to jest — aresztujemy ich wszystkich" —taka była odpowiedź. „Sądzę, że kłopot nasz polega na tym, że myśmy nie aresztowali ich wszystkich (the whole lot) u nas w kraju i że na wysokich stanowiskach są jeszcze ludzie, których miejsce powinno być w więzieniu." Autor dodaje: „W rosyjskiej metodzie rozwiązywania bardziej kłopotliwych problemów wojny jest pewna bezpośredniość, która może odstręczać tylko sentymentalistów." Jest on zarazem dość szczery i niekonsekwentny, by kilka zdań dalej dodać: „Gdybym byl obywatelem Związku Sowieckiego, z całą pewnością byłbym w więzieniu." Sprzeczność i mętność tego stanowiska jest aż rozbrajająca: zażądawszy zastosowania w Anglii metody sformułowanej przez owego urzędnika N.K.W.D., autor niemal jednym tchem wywodzi: „Ale Rosjanom z tym jest dobrze. Toczą oni wojnę o swoją wolność, a jeśli wolność nie

oznacza w Związku Sowieckim tego samego co oznacza w W. Brytanii i Stanach Zjednoczonych — nie przeczy to temu, że posiada ona realną wartość dla Rosjan. " Trudno jednak nawet brać te sprzeczności zbyt serio i mieć je autorowi za złe. Liberalny Anglik pozwala sobie na entuzjazmy i zachwyty dla pewnych rzeczy tym łatwiej, że wie, że po powrocie z wycieczki w inną rzeczywistość, nie zastanie ich na swoich wyspach. Pozwala sobie nawet na ,, krwiożercze " pogróżki, woła niemal o N.K.W.D. w Londynie, ale nie potrafi ukryć westchnienia ulgi, z jakim ląduje z powrotem w ,, starej, zgniłej " liberalnej Anglii.

IV

Autor poświęca również kilka uwag sowieckiej polityce wobec Niemców. Oficjalne stanowisko sowieckie rozróżnia między Niemcami a hitlerowcami. Przeciwnicy Lorda Vansittarta w Anglii powołują się zazwyczaj na stanowisko rządu sowieckiego dla poparcia swej własnej argumentacji. Jordan ostrzega anty-Vansittartowców przed naiwnym złudzeniem. Wprawdzie prasa sowiecka pisze wciąż o opozycji w Niemczech i podkreśla każdy rzeczywisty, czy też urojony przejaw działalności skierowanej przeciw reżymowi hitlerowskiemu. Autor angielski nie ukrywa swego sceptycyzmu co do nadziei sowieckich na rewolucję w Niemczech. ,,Rosjanie sami — twierdzi — w gruncie rzeczy przygotowują odwet na skalę tak masową, o jakiej nie myśli żaden vansittartysta angielski." Propaganda sowiecka mówi o ,, wytępieniu histlerowców." Autor zadał urzędnikom komisariatu spraw zagranicznych pytanie : ,, A jeśli 90 procent ludności niemieckiej stoi za Hitlerem — cóż wtedy ? " Rozmówcy sowieccy nie godzili się z pesymistyczną oceną Jordana, twierdząc, że co najwyżej 40 % Niemców stoi za Hitlerem. Urzędnicy sowieccy nie czuli się zbici z tropu, gdy dziennikarz angielski zauważył, że 40 procent ludności 80 milionowej ,, is a good many people to have to exterminate." Z obserwacji nastrojów rosyjskich autor wnosi, że po ukończeniu wojny nic nie będzie w stanie powstrzymać ludów Europy wschodniej od dokonania żywiołowego samosądu nad Niemcami. Ostrzega czynniki angielskie, że próby przeciwdziałania tej tendencji i hamowania nienawiści do Niemców okażą się bezsilne, i że Anglia może je przypłacić utratą swych wpływów na kontynencie.

Warto na zakończenie przytoczyć uwagę autora o Polakach w Rosji : ,, Polacy cierpieli w Rosji, ale nie z powodu wyrachowanego i planowanego okrucieństwa, które ich spotyka w Polsce okupowanej przez Niemców. Ani czas, ani miejsce nie pozwalają na to, by głębiej zająć się opisem tego co przeżyli ci dzielni ludzie, ponieważ oni sami nie uważają za stosowne poruszać te sprawy publicznie. Wystarczy jeśli stwierdzę tu, to co stwierdziłem już przedtem : niema Polaka w Związku Sowieckim, któryby nie był gotów cierpieć jeszcze bardziej a nawet oddać życie, byleby Niemcy zostały pobite." W inny kontekście autor pisze o Polakach jako o narodzie najszlachetniejszym wśród przeciwności losu, lecz nieporadnym i nieodpowiedzialnym, gdy los mu sprzyja."

OPINIA PRZEMYSŁU BRYTYJSKIEGO

O POWOJENNEJ GOSPODARCE ŚWIATA

Przed kilku miesiącami President of the Board of Trade zwrócił się do Federacji Brytyjskich Przemysłów o wyrażenie opinii w przedmiocie powojennej, gospodarczej organizacji globu ziemskiego i roli w niej przemysłu i handlu Wielkiej Brytanii. Federation of British Industries składa się ze 182 związków (Trade Associations), które reprezentują wszystkie główne przemysły kraju. Organa Federacji opracowały zagadnienie i projekt wypowiedzi przesłały sfederowanym związkom i członkom Rady.

Memoriał ujęty jest w 82 punkty W punkcie 3 zaznaczono, że dokument należy traktować jedynie jako preliminarz. Trzeba dokładnie ustalić problemy. Nie należy jednak dogmatyzować środków, jakie do sanowania sytuacji są niezbędne. Jest wojna, jest tyle jeszcze elementów niewiadomych, że trudno definitywnie mówić o przyszłości i już z góry ustalać ostatecznie politykę przemysłową kraju. Jeszcze się przecież dużo może zmienić i niewątpliwie zmieni. Jedno można już powiedzieć. Teoria i praktyka czasów przeszłych nie może przesądzać o przyszłości. Celem memoriału jest przedłożenie Rządowi większości zagadnień mających zasadnicze dla przemysłu znaczenie. Przemysł uważa podanie tych uwag do wiadomości Rządu za pierwszy ważny krok w tej kwestii.

BEZPIECZEŃSTWO

Celem gospodarki planowej ma być przywrócenie dobrobytu świata i zapewnienie wszystkim narodom kuli ziemskiej bezpieczeństwa. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza dwa razy porządek świata był burzony. Jest zadaniem gospodarki planowej, by się przed możliwością takiej nowej katastrofy zabezpieczyć. Powojenna ekonomiczna organizacja świata może się przyczynić do utrzymania pokoju, ale ona sama nie może ochronić świat przed wzrostem bandyckich sił (bandit powers). Musi przeto istnieć siła, która zdoła zabezpieczyć świat przed agresorami i musi być określone kiedy i jak należy użyć tej siły, gdy potrzeba zaistnieje (punkt 5 memoriału). Nie jest rzeczą przemysłu decydować, jak to należy zrobić. Jedno jest jasne. W przyszłości nie jeden tylko kraj winien być silny, by chronić pokój. Posiadanie sił zbrojnych przez każdy z miłujących pokój narodów też nie jest w stanie zabezpieczyć pokoju. Przekonaliśmy się w bardzo niedawnej przeszłości o tym; agresor atakował naród jeden po drugim po kolei, zanim napadnięci zdołali ustalić właściwą w stosunku do agresora politykę. Musi koniecznie istnieć ścisły związek narodów pragnących pokoju, przy czym w sprawach obrony może trzeba będzie nawet zrezygnować z dawnych koncepcji narodowej niezawisłości. Federacja stwierdza kategorycznie, że ten punkt o bezpieczeństwie ma znaczenie zasadnicze. Jest rzeczą absolutnie niezbędną, by Demokracje i miłujące pokój ludy świata, utrzymywały stale i ciągle dostateczną siłę do trzymania w karbach agresorów, i powinny one być przygotowane do użycia siły bez wahania i zwłoki.

PRZEDMIOT BRYTYJSKIEJ POLITYKI PRZEMYSŁOWEJ

Jakie są główne zadania przemysłu angielskiego ? Mówiąc krótko : zaspokoić potrzeby 46-milionowej ludności, dać jej maksimum zatrudnienia, środki utrzymania i i wyżywienia na poziomie jak najwyższszym.

Pierwszym zadaniem będzie *uzyskanie środków płatniczych na zakup* niezbędnego dla nas *importu żywności*, *surowców* i innych artykułów, bez których się obyć nie możemy i które sprowadzić musimy. Trudności będą duże. Wojna znisz-

czyła całą masę dóbr i środków produkcji. Ponad to przemysł został nadwyrężony nadmiernie wysokimi podatkami. Wielka Brytania wyjdzie z tej wojny jako państwo dłużnicze, a nie jako wierzyciel narodów, jak to było dawniej. Nowe warunki będą wymagały nowych metod, a nie wracania do przedwojennych sposobów. Nie znaczy to, by kompletnie zerwać z przeszłością. W wielu punktach zmienimy metody i musimy stworzyć odpowiednie warunki, stosować właściwą politykę dla ich stworzenia. Te metody bedą wymagały świeżego poglądu na świat, stałej gotowości do poświęceń i do maksimum wysiłku.

Drugie. Racjonalny standard życiowy będzie możliwy jedynie przy *usilnej pracy wszystkich obywateli* kraju, którzy muszą zrozumieć ważność obowiązków, jak dotąd rozumieli ważność swych praw.

Po skończeniu wojny będziemy mieli 3 *fazy*. *Pierwszą* można nazwać "*humanitarną*." By uchronić ludność krajów podbitych i wyniszczonych wojną, od głodu i zarazy, trzeba będzie posłać *żywność*, *ubranie i lekarstwa*. *Druga faza* to *pomoc w życiu ekonomicznem tych krajów*. By nie dopuścić do kompletnej ekonomicznej ruiny trzeba będzie *pomóc w odbudowie urządzeń użyteczności publicznej*, *kolei*, *opału*, *źródeł siły*, *i systemów monetarnych*. *Trzecia faza*— musimy pomyśleć o sobie, i *odbudować nasze normalne życie ekonomiczne* oraz odbudować *wymianę między narodami świata*. (p.10).

Trzecie. Odbudowy nie da się dokonać przez konferencje i traktaty pokojowe. Jedynie ciągła i stała współpraca międzynarodowa, koniecznie elastyczna w miarę zmiany warunków i narastających potrzeb, może dać wynik. Współpraca z naszymi sprzymierzeńcami w czasie tej wojny jest niezbędnym punktem startu.

Reasumując, co wyżej powiedziane, jako *czwarty dezyderat* musimy wysunąć: natychmiastowym zadaniem po skończonej wojnie będzie zaopatrzyć kraje dziś podbite w podstawowe artykuły niezbędne dla życia i odbudować ich gospodarczy mechanizm, mając na widoku odbudowę gospodarczego systemu światowego i prosperity całego świata. Polityka Zjednoczonego Królestwa musi być nastawiona na ten cel, a system ekonomiczny świata nie powinien być w sprzeczności z polityką gospodarczą Zjednoczonego Królestwa.

PROBLEMY MIĘDZYNARODOWE

Jednym z ważniejszych ekonomicznie rezultatów poprzedniej wojny było powstanie wielu państwowych jednostek narodowych w życiu gospodarczym. Ten stan rzeczy, słuszny być może z punktu widzenia aspiracji narodowych, okazał się ekonomicznie zabójczy. Tak na przykład likwidacja Austro-Węgier, politycznie usprawiedliwiona, spowodowała chorobę życia ekonomicznego Centralnej i Południowo-Wschodniej Europy. "Bałkanizacja" Europy nie może mieć miejsca po tej wojnie. Raczej należy dążyć do tworzenia wielkich obszarów gospodarczo-politycznych, które również będą mogły być lepiej zabezpieczone przed ewentualną agresją.

Jest rzeczą trudną, dziś przewidzieć, jakie to będą ugrupowania. Lecz można sobie wyobrazić Amerykańską grupę albo grupy; Europejską grupę albo grupy; Wschodnio-Azjatycką grupę, i grupę Imperium Brytyjskiego, miejmy nadzieję, w kooperacji ze Stanami Zjednoczonymi Północnej Ameryki. Niektóre z nich mogą sie złączyć, względnie współpracować ze sobą (punkt 16).

W rozważaniu tego problemu musimy brać pod uwagę fakt, że w końcu tej wojny U.S.A. będą najważniejszym organizmem gospodarczym świata, i powodzenie odbudowy zależeć będzie w wielkim stopniu od tego, jaką rolę Ameryka sobie do odegrania w tej odbudowie przygotuje. Choćby z tego jednego powodu, obok przyczyn natury politycznej, ze względów bezpieczeństwa, jest rzeczą zasadniczą, by Ameryka i Zjednoczone Królestwo prowadziło zgodną i na

porozumieniu opartą politykę, w której brałoby udział całe Imperium Brytyjskie. Ta Brytyjsko-Amerykańska grupa dałaby innym krajom przykład prowadzenia racjonalnej polityki.

Stoi przed nami jeszcze trudność powstała dzięki " lease-lend." Wprowadzenie " lease -lend act " stanowi zwrotny punkt w tej wojnie i jest w pełni doceniane. Chodzi o to jakie on wywoła refleksy w powojennej gospodarce światowej, zarówno pod względem wymiany jak i płatniczym. Czy będzie Ameryka żądała wolnych wielkich dostaw jako kompensaty za "lease-lend," czy też uzna ona dostawy "lease-lend " za swój wkład do wojny przeciw agresorom ?

Jest wiele różnic w poglądach naszych i Ameryki. Istnieje konieczość zrozumienia potrzeb i trudności wzajemnych.

Jeden problem jest wspólny. Musimy pomyśleć, co należy zrobić, żeby zabezpieczyć możliwość przyzwoitego życia mieszkańcom obu krajów po wojnie.

Z powyższego wynika nasza *piąta* uwaga :

a) wspólna polityka Zjednoczonego Krolestwa, Imperium i U.S.A. jest sprawą zasadniczą,

b) polityka ta musi mieć za zadanie przywrócenie, w stopniu możliwym, prosperity świata, i musi również ułatwiać prosperity Zjednoczonego Królestwa,

c) system konsultacji ze Stanami Zjednoczonemi musi być zorganizowany w celu przedyskutowania środków, które muszą być przedsięwzięte dla przywrócenia prosperity własnej i reszty świata.

Kooperacja pomiędzy przemysłami Wielkiej Brytanii i Ameryki jest możliwa nawet dziś i musi być wzięta pod uwagę zarówno przez Rząd jak i przemysł. Pomimo warunków wojennych tego rodzaju rozmowy i pertraktacje mogą przynieść owoce w okresie powojennym.

d) System konsultacji z Dominiami, włącznie z Indiami, musi zamienić się we wspólną politykę Imperium, przygotowaną do konsultacji z U.S.A.

e) Jakakolwiek grupa Imperium Brytyjskie-Stany Zjednoczone, która byłaby utworzona, musi utrzymywać ścisły kontakt z Rosją i Chinami, celem ekonomicznej współpracy,

f) w rozważaniu tych problemów, i rozważaniach, które będą następowały, współpraca elementów przemysłowych i sfer gospodarczych winna być w pełni wykorzystana.

ZDOLNOŚĆ NABYWCZA ŚWIATA

Zasadniczym elementem odbudowy jest kreacja systemu politycznego, który będzie zabezpieczał pokój, i systemu ekonomicznego, który stworzy aparat światowej wymiany dóbr i usług. Aby stał on się nie tylko teoretycznie ale i praktycznie możliwy, konsumenci muszą mieć zdolność nabywania dóbr. Przed wojną istniał ciągle wzrastający stan nierównowagi pomiędzy krajami, produkującymi surowce i artykuły spożywcze, a krajami przemysłowymi. Siła nabywcza krajów nieprzemysłowych była coraz mniejsza. Nadprodukcja surowców i artykułów spożycia łatwiej się trafia i jest trudna do kontroli. Ceny artykułów tych spadały w stosunku do cen artykułów przemysłowych, producenci surowców mieli coraz mniejszą zdolność nabywczą i coraz mniej kupowali artykułów przemysłowych. To z kolei powodowało bezrobocie krajów przemysłowych. Kraje przemysłowe zaczęły rozwijać swoje rolnictwo, kraje rolnicze budować nowe fabryki i uprzemysławiać się. Zjawiły się tendencje autarkiczne. Autarkia jest jedną z przyczyn tej wojny.

Problem znalezienia równowagi pomiędzy krajami przemysłowymi i rolniczymi jest zasadniczy i musi być rozwiązany.

Być może kraje rolnicze i produkujące surowce będą musiały ograniczyć produkcję dla podniesienia cen. Choć to nie jest droga do dobrobytu. Gdyby posiadłości kolonialne Imperium Brytyjskiego i Chiny, które razem reprezentują około jednej trzeciej ludności świata,

choć trochę podwyższyły standard życiowy swych mieszkańców, miałoby to głęboki refleks w gospodarce świata. Przy czym dla osiągnięcia tego wystarczyłoby może rozwinąć najprostsze typy produkcji przemysłowej. Jeśli chodzi o finansowanie, to zamiast przyznawania pożyczek bardziej praktyczne i pożądane byłoby stosowanie zasady „lend-lease".

Z tych wszystkich względów jako *szóstą* zasadę wskazujemy :

a) jednym z podstawowych warunków odbudowy jest podniesienie się siły nabywczej ;

b) dla osiągnięcia równowagi może być potrzebne kontyngentowanie produkcji, choć kontrola i restrykcje nie mogą być podstawą podniesienia się prosperity świata,

c) trzeba będzie poświęcić dużo uwagi i starań, dla podniesienia standardu życiowego krajów pod względem gospodarczym zacofanych.

FINANSE

Przemysł musi mieć środki na odbudowę. W przeciwnym razie wszelkie plany na przyszłość będą nieosiągalne. Obecny system podatkowy oraz polityka rządowa, dotycząca cen uniemożliwia przemysłowi budowanie rezerw na potrzeby powojenne. A finansowe potrzeby przemysłu będą wielkie. Machinę przemysłową trzeba będzie przestawić z wojny na produkcję pokojową. Stracone rynki muszą być odzyskane. Trzeba będzie przyjść z pomocą przemysłowi w dziedzinie podatkowej. Sugestie ze strony przemysłu były już zresztą Rządowi w tym przedmiocie czynione.

Reasumcją powyższego jest dezyderat *siódmy*. Rząd natychmiast winien zmienić politykę tak podatkową jak i kontroli cen, by umożliwić przemysłowi przygotowanie rezerw do odbudowy, oraz winien porozumieć się z przemysłem we właściwym czasie co do zastosowania środków dla naprawienia strat. Potrzeby przemysłu w zakresie stałej pomocy dla jego rozwoju po wojnie wymagają specjalnych rozważań.

KONTROLA PRZEMYSŁU

Wojna spowodowała konieczność kontroli produkcji ze strony Rządu. Ta konieczność wojenna nie powinna się przerodzić w nasz narodowy system ekonomiczny. Nie myślimy przez to, że kontrola musi ustać z momentem zawarcia pokoju. Uczynić to, znaczyłoby wprowadzić chaos. Zabraknie surowców, żywności, transportu, oszczędności na inwestycje i pożyczki. Dopóki handel międzynarodowy nie zostanie odbudowany, a może i potem,trzeba będzie prostej kontroli eksportu i importu. Fizyczne rozplanowanie skoncentrowanej produkcji będzie wymagało określonego programu. Trzeba będzie się zdecydować, co zrobić ze sztucznie rozbudowanymi z racji wojny warsztatami produkcji. Nadmiar pewnych, a brak innych artykułów, wreszcie naprawienie fizycznych szkód wojennych wymagać będzie może przez szereg lat właściwej polityki i opieki ze strony Rządu. Wszystko to jednak powinno być czynione przy współpracy przemysłu.

Memoriał formułuje te poglądy w pezyderacie *ósmym*. Kontrola przemysłu ze strony Rządu musi być ograniczona do okresu rzeczywiście niezbędnego. Jakiekolwiek sugestie co do systemu stałego związania przemysłu z Rządem winny być rozważane z udziałem przemysłu a nie bez niego, przy czym jeżeli jakiekolwiek uregulowanie tej sprawy byłoby gospodarczymi względami uzasadnione, sprawa winna być załatwiona przez umowę z przemysłem i przy jego współpracy. Trzeba unikać przy tym niebezpieczeństwa wpływów biurokracji, oraz niedoceniania wysiłku indywidualnego i prywatnej inicjatywy.

POZYCJA ROLNICTWA

Zagadnienie przemysłu nie może być rozpoznawane bez uwzględnienia innych gospodarczych elementów. Jednym z najbardziej ważnych zagadnień powojennego planu jest pozycja

brytyjskiego rolnictwa. Decyzja, jaka w tym przedmiocie zapadnie, będzie miała ważne znaczenie dla przemysłu.

Że dobrze prosperujące rolnictwo, zatrudni wielką liczbę naszych współobywateli przy racjonalnym standarcie życiowym, jest pożądane z ekonomicznego i socjalnego punktu widzenia. Takie społeczeństwo rolnicze będzie reprezentować dużą siłę nabywczą dla artykułów przemysłowych i będzie miało wpływ na stabilizację stosunków w kraju. Z punktu widzenia bezpieczeństwa samowystarczalność kraju jest rzeczą pożądaną, jeśli chodzi o produkcję artykułów spożycia w czasie wojny.

Przemysłowcy mogliby się zgodzić, że rozwój rolnictwa brytyjskiego jest dla kraju korzystny. Tym bardziej, że reprezentuje ono wtedy ważny rynek zbytu dla brytyjskich artykułów przemysłowych. Ale jest i druga strona medalu. Zjednoczone Królestwo musi i na przyszłość, tak jak to było dawniej, zostać narodem wielkiego eksportu, jeśli ma mieć środki na opłacanie koniecznego importu, i jeśli ma mieć produkcję przemysłową na skalę tak wielką, jak przedtem. Aby zachować eksport, nasze ceny muszą być konkurencyjne, i ci, którzy nasze produkty kupują, muszą być w dostatecznie dobrej sytuacji gospodarczej, by byli w stanie je nabyć.

Jeśli pewne działy naszego rolnictwa mają prosperować, koszta utrzymania bedą wyższe, co z kolei spowoduje wzrost cen artykułów przemysłowych i utratę naszej zdolności konkurencyjnej na rynkach eksportowych. Z drugiej strony musimy pamiętać, że jest wiele krajów na świecie, dobrych odbiorców angielskiego przemysłu, których dobrobyt i zdolność zakupu oparta jest na fakcie, że my kupujemy ich produkty do spożycia. Przemysł nieraz w przeszłości operował argumentem, że jeżeli oni nie będą kupować naszych artykułów przemysłowych, my nie będziemy kupować ich artykułów rolniczych i surowców. Jeżeli w sposób drastyczny przerwiemy nabywanie ich artykułów, świat będzie coraz mniej zdolny do zakupywania naszych artykułów przemysłowych.

Dlatego nasz *dziewiąty* dezyderat formułujemy, jak następuje: Przemysł rozumie, że prosperity rolnictwa leży w interesie narodowym, lecz powojenne planowanie przemysłowe, mające na widoku tak wewnętrzny jak i zagraniczny obrót, wymaga odpowiedniej polityki rolnej, jeżeli polityka przemysłowa ma stanowić podstawową bazę gospodarki kraju.

DEMOBILIZACJA

Jest pewna kategoria ludzi, których zdemobilizowanie ma specjalne znaczenie dla przemysłu. W czasie wojny kluczowe przemysły zatrzymały pewną ilość ludzi, lecz to się nie stało z ludźmi, zajętymi w handlu. Po wojnie odbudowa handlu, szczególnie zamorskiego, będzie wymagała natychmiastowego zwolnienia ludzi, do niej powołanych. Musi być więc specjalnie wzięta pod wagę jak najwcześniejsza demobilizacja ludzi, którzy będą niezbędni dla naszego wysiłku handlowego i przemysłowego, i którzy będą mieli za zadanie naprawić nasz zepsuty przez wojnę mechanizm handlowy.

Dziesiąta nasza sugestia będzie: Troskliwej opiece trzeba poddać problem demobilizacji. Rynek pracy musi być gotowy do przyjęcia zdemobilizowanych.

ORGANIZACJA PRZEMYSŁU

Jesli chodzi o organizacje przemysłu jako całości, to z ekonomicznego punktu widzenia problem można rozbić na dwie grupy: badania dróg, po których przemysły kroczą i łączą się dla aktywności w sferze ekonomicznej, oraz łączenia się przemysłów, dla rozwinięcia aktywności eksportowej.

Ruch związków handlowych zaczął sie rozwijać od pierwszej wojny.

W przeszłości przemysł, reprezentowany w Federacji (F.B.I.), był zwolennikiem dobrowolnych związków. To miało dobre i złe strony.

Naszym zdaniem w przyszłej organizacji przemysłu winni decydować sami przemysłowcy. F.B.I. uważa tę sprawę za jedną z najważniejszych, jeśli chodzi o przyszłą odbudowę.

Drugie zagadnienie, to sprawa organizacji eksportu. Poza konkurencyjnymi cenami, co jest najważniejsze, eksport zależy od jednostek, od znajomości rynków i doświadczenia eksportowego. Nasi producenci byli nieraz krytykowani, lecz nie należy zapominać, że dzięki nim Zjednoczone Królestwo, do wybuchu wojny, było największym eksporterem świata.

Jedenaste. Reasumując, stwierdzamy, że przemysł jest gotowy rozpatrzyć wszystkie wnioski tyczące się organizacji przemysłu, lecz Rząd ze swej strony musi ustalić swój stosunek.

POLITYKA PIENIĘŻNA I FINANSOWA

Celem polityki monetarnej powinno być: (1) dostarczenie maksimum zatrudnienia, (2)utrzymanie ceny na takim poziomie, by produkcja miała zapewniony racjonalny zysk, (3) popieranie stabilizacji w strukturze cen i równowagi produkcji tak na rynku wewnętrznym jak i w skali ogólnoświatowej.

Jako dwunasty dezyderat Federacja wskazuje: polityka monetarna i finansowa jest zasadniczym elementem odbudowy zarówno narodowym jak i międzynarodowym; stabilizacja środków wymiany i polityka finansowa musi być oparta głównie na interesach przemysłu i handlu.

RYNEK WEWNĘTRZNY PRACA

Trzynaste. Siła rynku wewnętrznego do konsumowania produktów przemysłu w okresie powojennym jest zasadniczym elementem odbudowy. Rząd powinien rozważyć, jak tę siłę można powiększyć i rozwinąć w kierunku dóbr konsumcyjnych i zaopatrzenia w kapitał, i winien w tych rozważaniach brać pod uwagę opin e przemysłu.

Czternaste. Federacja jest zdania, że wzięcie pod rozwagę uwag, przytoczonych w tym memoriale, będzie pierwszym, korzystnym dla odbudowy krokiem.

W sprawach *pracy* Federacja się nie wypowiada.

Przemysł Brytyjski wypowiedział się zupełnie wyraźnie, że nie pójdzie na żadną politykę, którąby była sprzeczna z interesami Zjednoczonego Królestwa. Przez cały czas przewija się myśl, że najwięcej i wszystko prawie zależeć będzie od tego, jaką rolę w odbudowie wyznaczą sobie i zechcą odegrać Stany Zjednoczone.

Charakterystyczne jest, że gdy przed wojną Zjednoczone Królestwo było zasadniczo zwolennikiem wolnego handlu, obecnie przemysł angielski myśli o kontroli eksportu i importu, kontroli walutowej, umowach preferencyjnych, handlu wymiennym, stojąc na stanowisku, że wolny handel, niekontrolowany import—to droga do narodowego bankructwa.

Mówi się o współpracy ekonomicznej ze Stanami Zjednoczonemi, Rosją i Chinami.

Polski dotyczy ustęp o pomocy w dwóch pierwszych fazach po wojnie: żywność, ubranie i lekarstwa, oraz pomoc finansowa.

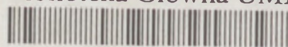
Wprawdzie w początkach jest ogólnie mowa o nowych prądach i metodach, ale widać, że przemysł angielski ma raczej zaufanie do starych metod, kiedy radzi krajom rolniczym, by ograniczyły produkcję, celem podniesienia cen artykułów rolnych (punkt 35).

Zjednoczone Królestwo ma zostać krajem przemysłowym. Ceny na artykuły rolne mają być niskie. Jak więc kraje rolnicze mają poprawić swój standard życiowy? O Karcie Atlantyckiej nic się nie wspomina.

Całość robi wrażenie, że przemysł angielski myśli kategor ami nie najnowszymi. S. W.

W najbliższym numerze „Nowej Polski" podamy szerokie omówienie planu Beveridge'a, który stanowi pierwszą twórczą próbę realizacji podstawowych zasad Karty Atlantyckiej.

SPIS RZECZY



3/-

Published by "Nowa Polska" 91 Great Titchfield Street London W 1 and Printed by John Bale & Staples Limited (subsidiary of Staples Press Limited) 83-91 Great Titchfield Street London W 1